

lesiojot

Wilhelmina Skulska



SŁOWO INSPEKTORA



Wilhelmina Skulska

Słowo inspektora



ISKRY · WARSZAWA · 1979

Rozdział 1

Jeszcze się na dobre nie rozbudził, kiedy ogarnęła go niechęć do dnia, który miał się za chwilę rozpocząć. Pokój zalegała ciemność, chroniona zasłoną. Błądził po omacku ręką, by wygasić dźwięk budzika. Nareszcie cisza. Uciec w drzemkę, choćby na kwadrans, pięć minut. Za oknem dał się słyszeć regularny warkot silnika. Ktoś ruszał spod domu samochodem. Rozpoczął się dzień, jak co dzień. Nie ma alternatywy! Trzeba mu wyjść naprzeciw. O godzinie ósmej musi podpisać listę obecności. Liczą skrupulatnie godziny rozpoczynania pracy, wieczorowe pozostawiając na łasce zapomnienia. Ile razy w tygodniu nie wraca do domu przed nocą? Ile razy w roku nie musi się trudzić rozścielaniem własnego łóżka? A właściwie do czego wracać? Po co się śpieszyć? Było kiedyś inaczej. Ktoś niecierpliwil' wyglądał oknem, czekał z gorącą kolacją. Dawne czasy minione bezpowrotnie.

Wciąż jeszcze drzemał. W połowie drogi między snem a rzeczywistością pojawił się obraz kuchni, stołu nakrytego trzema serwetkami. Jakiś dzbanuszek, gałązka bzu. Krystyna, on i mały przy dzbanku parującej kawy. - Syneczku! nie wyjadaj ze słoika miodu. Daj talerz. Posmaruję ci bułeczkę...

Obraz rodzinnego śniadania rozpląnął się, zakłócony dźwiękami dochodzącymi z ulicy. Trzeba wstać, jak najszybciej zająć łazienkę, zanim Janek się zbudzi. Chłopak wyskakiwał zwykle z łóżka, kipiący energią i humorem, który powinien był cieszyć ojca. I cieszył. Tyle że on sam był ostatnio coraz bardziej zmęczony, szczególnie rankiem. Odrzucił energicznie kołdrę, wsadził bose nogi w rozciapane pantofle. - Wypijże sobie, chłopie, filiżankę mocnej kawy, ciśnienie ci podskoczy, od razu będziesz lepszy - pomyślał. Poranna kosmetyka urozmaicona zapachem kawy, dymem z papierosa. Męski

obyczaj. Pomaga znosić poranne stresy.

Do łazienki przechodziło się przez sypialnię chłopca. Janek wtulony w poduszkę spał, nieczuły na hałasy budzącego się dnia. Na łóżku leżała otwarta książka w czarnej okładce. Agatha Christie! Na półeczce puchaty miś, pamiątka po matce, podpierał serię kryminałów spod znaku „Srebrnego Klucza”, czy zabawnych jamniczków.

Że też nie zdołałem go uchronić przed tego rodzaju lekturą - pomyślał z żalem. Nigdy nie rozmawiał z synem na temat swojego zajęcia. I czynił to rozmyślnie. Miał powody, żeby trzymać chłopaka jak najdalej od problemów swojego zawodu. To z pewnością Żarnowski truje Janka kroniką kryminalną. Musi mu zwrócić uwagę. Wystarczy rozmów w biurze. Niech dom i chłopca zostawią w spokoju.

W kuchni zaśpiewał czajnik. Podeszedł do szafki w poszukiwaniu filiżanki do kawy, nie mógł jednak niczego znaleźć. Szkło, talerzyki poustawiane były bez ładu i składu, jak popadło. Za to w zlewozmywaku piętrzyły się brudne naczynia. Zazwyczaj zmywał je sam. Ale wczoraj zatrzymano go w komendzie. Nie umiem wychować Janka jak należy - pomyślał z żalem. Umył dwie filiżanki. Do jednej nasypał sporą łyżeczkę zmielonej kawy, ocukrzył i nie czekając, aż fusy opadną na dno, wypił spory łyk. Resztę odstawił na później. Zaciągnął się papierosem. - Niech tam piszą sobie co chcą o szkodliwości palenia - pomyślał. Gdyby nie Janek...

Kawa plus papieros zrobiły swoje. Już się trochę rozruszał. Teraz do łazienki, nim ją zajmie Janek. Rozrabiając w miseczce pieniący się krem do golenia, spojrział w lustro. Zobaczył twarz o regularnych rysach, znalazł nowe zmarszczki pod oczyma, których przedtem nie zauważył. Mówiono o nim kiedyś - przystojniaczek. Nie stronił ani od zabawy, ani od dziewcząt. Przynajmniej do czasu, nim poznał Krystynę. Z początku nie chciała się z nim wiązać. Nie lubiła jego zawodu. Ale uparł się i postawił na swoim. Czy powodzenie towarzyszyło mu i w innych okolicznościach życia? Był wytrwały, nie dawał łatwo za wygraną. Nawet wtedy, kiedy wszyscy go przekonywali, że

trzeba ustąpić. Między wytrwałością a uporem jest cienka granica. Major twierdzi, że ją przekroczył, walczy o straconą pozycję jedynie z uporu. Czy zwierzchnik musi być nieomylny? A najrozsądniejsi ludzie nie popełniali błędów?

Nadal przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Nie podobał się sobie. Czoło przecięte głęboką bruzdą, zmęczone oczy. Zamalował białą pianką policzki, brodę i wydało mu się, że przekreśla, zamazuje zniekształcenia, które na twarzy odcisnęły lata jego niełatwego życia. Właściwie tylko włosy pozostały nietknięte działaniem czasu. Ani jednego siwego włosa w czterdziestym ósmym roku życia.

Wcale nieźle - stwierdził nie bez satysfakcji. Wylał twarz ręcznikiem, wypił resztkę kawy i sięgnął po sporta. Od razu poczuł się różnie. Może i nie ma racji, narzekając od świtu? Jest zdrowy, ma gdzie mieszkać, jest ojcem syna, który nie przynosi mu wstydu. A co do szefa? Różnica zdań dotyczy tylko jednego przypadku. Zdawał sobie sprawę, że powinien właściwie ustąpić. Ale wiedział, że tego nie uczyni...

Zbudził Janka i spojrzawszy na zegarek uznał, że zdąży wyskoczyć do pobliskiego samu po świeże pieczywo. Ekspedientka obsłużyła go poza kolejką. Zнали go tu od lat. Ciekawe, że samotnemu mężczyźnie więcej osób chce pomóc, aniżeli kobiecie, znajdującej się w analogicznej sytuacji. Kupił rogalę, solanki, za którymi przepadali obaj i nie czekając na windę popędzi! na trzecie piętro. Chłopak pluskał sit; w łazience, wylewając znacznie więcej wody na podłogę i ściany, aniżeli na własną szyję i plecy.

- Stary! Śniadanie! Skubaniec zamyka drzwi punktualnie o ósmej.

- Nie uznajecie takiego słowa, jak woźny?-zapytał, nie oczekując odpowiedzi. Jego wpływ na syna był raczej enigmatyczny. Także w dziedzinie języka. Janek używał słownictwa, którym posługiwali się jego koledzy. Nie chciał się od nich różnić. Nade wszystko cenił koleżeństwo. - Niechże mu będzie - pomyślał. Wciąż doznawał wyrzutów sumienia, że nie zastępuje chłopcu matki. Jego nadmierna pobłażliwość wobec Janka miała swe źródło w tym właśnie

kompleksie.

Zasiedli do śniadania. Janek zauważył zgorzony:

A cukier? Przecież byłeś w samie? Żeby choć raz u nas było tak, jak u innych ludzi.

Rzeczywiście. Cukierniczka pusta, zapasów w szafie ani śladu. Ojciec narzucił marynarkę i zapukał do drzwi sąsiadki. Otworzyła mu młoda kobieta w lokówkach, które jak blaszana aureola okalały dość atrakcyjną buzię.

- Można by pożyczyć do popołudnia szklaneczkę cukru?

- Już przynoszę. Proszę wejść do pokoju - zachęcała blondyna.

Wymówił się brakiem czasu. Przyniosła pełny słoik i kawałek szarlotki dla Janka. - Może jeszcze czegoś potrzeba? Zawsze służę pomocą, panie Zbyszku. Po sąsiedzku. Jakoś pan nas omija!...

Podziękował, wycofując się pośpiesznie do własnego mieszkania. Zobaczył jeszcze, że kobieta wzruszyła ramionami i nie słysząc wiedział, że zaraz powie do męża: - Egoista z tego Rogosza. Zamiast się ożenić, marnuje dom i syna. Nie wyobrażasz sobie, co się u nich dzieje. Chłopiec chodzi z dziurami na łokciach. Lata za dziewczętami. Marnuje się.

Chłopiec nie wyglądał bynajmniej na „zmarowanego”. Właśnie wychylił do dna drugą szklankę mleka, zagryzając solanką, i szykował się do wyjścia.

- Obiad zjem u Olka. Pomagam mu w matematyce, a jego stara mnie karmi. Transakcja wiązana. To teraz modne.

Rogosz nie protestował. Co mógł chłopcu zaoferować? Wspólny posiłek w stołówce? Jedzenie może nawet nie najgorsze, ale nastrój surowości, pośpiechu.

I rozmowy profesjonalne przy stole. Chłopiec przysłuchiwał się im gorliwie. Problemy marginesu były bardziej interesujące aniżeli wykłady z gramatyki.

- No to spotkamy się wieczorem. Niezły ten francuski serial?

- Jeszcze jedna bujda na resorach. W każdym odcinku zwycięża sprawiedliwość. Sam wiesz, że bywa różnie... Mógłbym zaprosić na telewizję Władka? Bo jakby nie, to

bym do nich poszedł. Kupili kolorowy.

Zaproś Władka. Czemu nie? - powiedział Rogosz i pomyślał nie bez żalu, że jeszcze rok temu Janek najchętniej w towarzystwie ojca zasiadał przed małym ekranem. Dziś mu ojciec nie wystarcza. Janek zauważył zmianę nastroju starego. Nie zamierzał go urazić. Chciał mu powiedzieć coś ciepłego na pożegnanie. Kiedy ojciec zapinał gabardynowy płaszcz, zbierając się do wyjścia, odezwał się:

- Tato! Odfajkuj wreszcie tamtą sprawę. Nic nie wskórasz! U Agathy Christie śledztwo rozgrywa się błyskawicznie. A ty wierzysz, że coś się wyjaśni po tylu latach?... Daj temu spokój. Chodzilibyśmy znowu razem na mecze.

- Gdybym nie miał własnego syna... Może kiedyś to zrozumiesz? -1 dodał surowiej, aniżeli zamierzał: - Nie wdawaj się w rozmowy. Niech nie próbują nastawiać cię przeciwko ojcu. Wiem, że Andrzej dobrze mi życzy, ale radzę mu pilnować swojego nosa.

Zatrzasnął drzwi i zbiegł po schodach, nie oglądając się na syna. Janek westchnął melancholijnie. W gruncie rzeczy dumny był z ojca. - Ma charakter - pomyślał i wyciągnął z tylnej kieszeni lewisów gumę do żucia. Po chwili zapomniał o rozmowie z ojcem. Koło samu czekał Władek. Wypili po szklaneczce soku porzeczkowego i poszli razem w kierunku szkoły...

Rozdział 2

Rogosz mieszkał w pobliżu placu Trzech Krzyży. Autobus 144 podwoził go tuż pod komendę.

W wozie panował nieznośny tłok. Stanął w pobliżu drzwi. Na następnym przystanku wsiadał zazwyczaj kolega Z tego samego wydziału. Porozmawiają jak co dzień, ponarzekaają, a za kwadrans podporządkują się szybkiemu rytmowi pracy, który narzucają pilne z reguły zadania, nagłe potrzeby, dramatyczne wydarzenia. Czy otrzymał kiedykolwiek zlecenie: - Wykonaj to i to, ale spokojnie, bez pośpiechu. Rogosz uśmiechnął się do

siebie na samą myśl o tego rodzaju propozycji.

Na przystanku, przy Pięknej, wsiadł rzeczywiście Janowski i jak co dzień, zaczęli rozmowę od spraw polityki, przechodząc do zagadnień rynkowych, a kończąc analizą porażek piłkarskich. Stali obok siebie, ściśnięci jak śledzie w beczce, kiedy wtoczył się między nich korpulentny jegomość, który okazał się wbrew wyglądowi poczciwego pyknika kontrolerem: - Bilety proszę!

Powiedzieli jednocześnie: - Miesięczny! - i kontynuowali rozmowę. Ale kontroler, człowiek uparty, poprosił o okazanie biletów. Janowski wyjął swój z portfela, ale Rogosz, sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni marynarki, uprzytomnił sobie nagle, że zmienił ubranie. Bilet zostawił w starym. Niech to diabli!

- Zostawiłem w domu - powiedział poirytowanym głosem. Nie znosił tego rodzaju sytuacji. Kto je lubi?

Kontroler przyjrzał mu się podejrzliwie. Co się teraz z ludźmi porobiło? Niemłody człowiek i chce mu się oszukiwać. Pasażerowie odwrócili głowy w ich stronę. Nareszcie jakieś urozmaicenie podróży! Rogosz wyciągnął z portmonetki banknot pięćdziesięciozłotowy: - Płacę mandat. Wystarczy? Bardzo się śpieszę...

Kontroler wzruszył ramionami: - To ja jestem winien? - Wyjął kwitariusz z wielkiej torby, szukał w jej głębi długopisu i zauważył nie bez złośliwości: - Najlepiej płacić za bilety. Ja bym czas zaoszczędził, a pan pieniądze...

Janowski próbował interweniować: - Panie kontrolerze! Kolega jest... - zwrócił się do Rogosza: - Pokaż mu legitymację!

Rogosz spojrział nieprzyjaźnie na kolegę. - Zostaw! Mam większe kłopoty. - Zapłacił mandat, schował kwit do kieszeni, ale w gruncie rzeczy był wściekły, że urządził z siebie widowisko. - Dobrze mi się dzień zaczął - pomyślał. - I wcale się nie pomylił.

Rozdział 3

Już. w biurze, ledwo zrzucił płaszcz i wyciągnął z szuflady skoroszyt, kalendarz i przybory do pisania, zadzwoniła

sekretarka szefa prosząc na odprawę. Codzienne spotkania były zwyczajem, nienaruszalną pozycją w chronologii dnia, nawet w okresach spokoju. Major Zawadka lubił rano zbierać swoich podkomendnych i uważał, że tego rodzaju spotkania, niezależnie od doraźnych zadań, umacniają współzycie tego niewielkiego kolektywu.

Kiedy Rogosz wszedł do gabinetu, major, mężczyzna w średnim wieku, śniady brunet, żonglował dwoma telefonami, próbując zadowolić jednocześnie obu rozmówców. Ta ekwilibrystyka nie przeszkodziła mu obrzucić uważnym spojrzeniem wchodzącego i Rogosz wyczuł, że oczekuje go reprimenda ze strony zwierzchnika. Usiadł pod oknem, pełen niepokoju, choć poza głupią sprawą z biletem nic się tego dnia ani w ciągu poprzednich nie wydarzyło. Jego nerwy były w kiepskim stanie. Wiedział o tym. Czyjeś nieprzychylnie spojrzenie, krytyczna uwaga mogły wyprowadzić go z równowagi. Niedobrze! - A więc tak już będzie ze mną do końca - pomyślał. To może jednak przejść na wcześniejszą emeryturę?

Gabinet zapełniał się pracownikami wydziału do walki z przestępstwami gospodarczymi. Obsiedli stół, zajęli miejsca pod oknem. Byli z reguły młodszy od niego. Nawet major ledwo przekroczył czterdziestkę. - Może po prostu jestem za stary? Nie pasuję do nich? - Rogosz poczuł żal, co mu się chyba po raz pierwszy zdarzyło, że to nie on siedzi za biurkiem, a przed nim grono młodszych kolegów. Do kogo mógł mieć pretensji? Świadomie pokierował swoim życiem tak a nie inaczej. Przyjaciele mówili o zmarnowanej karierze. To przez tę jedną sprawę, której poświęcił całą swoją energię i zdolności, nie miał już czasu na inne pasje. Jego upór budził niezadowolenie zwierzchników i protesty kolegów. Nikt nie lubi, kiedy ktoś żyje, pracuje na odmiennych prawach. A prawem odrębnym była zgoda na kontynuację śledztwa, które wiodło - inaczej być nie mogło - w ślepią uliczkę. Uparł się, że doprowadzi sprawców do ławy sądowej. I uczyni to. Nikt nie jest w stanie mu przeszkodzić!...

Dyskusja na odprawie trwała już od dziesięciu minut. Chodziło o dwa przypadki przestępczej działalności

pracowników PIH-u. Janowski, który był uczony w dialektyce i ekonomii, szukał szerszego tła tej specyfiki przestępstw w skomplikowanym systemie kontroli. Wieloszczeblowa drabina nadzoru utrudnia może działalność przestępczą jednostki, ale sprzyja zmwom. Jakiś młody inspektor, którego Rogosz widział po raz pierwszy, okrągłymi zdaniami uzasadniał tezę o współzależności moralności środowiskowej, grupowej od ogólnego poziomu społecznej etyki.

Z pewnością absolwent wydziału humanistycznego - pomyślał Rogosz. - Ma gadane. Zobaczymy, jak się sprawdzi przy pierwszym śledztwie!

Na koniec major wtrącił swoje trzy miarodajne grosze do dyskusji. Wydał polecenia inspektorom i zakończył odprawę. Rogosz chciał się wymknąć pierwszy, ale szef go zatrzymał: - Zaczekaj! Musimy porozmawiać!

Dał oczyma znak sekretarce, że ma nie łączyć, nie wpuszczać do gabinetu nikogo! Wskazał Rogoszowi krzesło za biurkiem. A więc rozmowa będzie urzędowa.

Zaległa chwila milczenia, póki inspektorzy nie zabrali krzeseł. Sekretarka, tęga, niemłoda kobieta opróżniła bez pośpiechu popielniczkę, otworzyła szeroko okno. - Co za pech, że wszędzie pełno ślicznych dziewcząt, tylko nie w komendzie - zwykł narzekać stary. Czuł się jednak bez swojej pomocnicy jak inwalida bez ręki. Zresztą Janka zdawała sobie sprawę, że szef ją ceni. Obrzuciła Rogosza współczującym spojrzeniem. Wiedziała, co w trawie piszczy.

Pozostali sami, ale major wciąż milczał, przeglądając ostatnie meldunki z terenu.

- Wal wreszcie, o co ci chodzi - powiedział Rogosz.

- Jakbyś nie wiedział? Jest decyzja, nie moja... „Konwój” idzie na NN. Koniec! Ciągniesz śledztwo kilkanaście lat. Starczy!

- Według mnie nie - powiedział Rogosz, choć czuł, że walczy tym razem na straconej pozycji. - To jest sprawa mojego życia. Uczestniczyłem w różnych... nie zliczę tych operacji. W tę jedną zaangażowałem wszystkie moje siły. Poświęcałem każdą wolną chwilę. Czy nie spełniałem

twoich poleceń, nie robiłem, co do mnie należy? Czekam choćby na jeden zarzut.

- To decyzja kierownictwa - powiedział major. Z intonacji jego głosu nie wynikało jednak, ażeby był odmiennego zdania. - Nie widzimy możliwości ujawnienia zabójców Krawczyka. Pomyśl! Pieniądze są. Znaleziono je dzięki fantastycznemu zbiegowi okoliczności. O napastnikach do dziś nic nie wiemy...

- Tak uważasz, czy chcesz mnie poniżyć? Przecież dobrze wiesz, że ustaliłem pewne fakty, co do których nie można mieć wątpliwości. Było ich trzech. To jasne. Było? Nadal są, żyją sobie spokojnie. Może zajmują dziś dyrektorskie stołki? Ludzie rosną. Ale my wiemy, z jakiej broni zastrzelono Krawczyka. I mamy ślad linii papilarnych mordercy. Zostały utrwalone na klamce ciężarówki. Zarówno strażnicy jak i kierowca stwierdzili zgodnie, że zabił ten, który chwycił za klamkę. To wszystko nic? Myślisz, że trzeba być docentem habilitowanym kryminalistyki, żeby ci przytoczyć sprawy wykryte po latach?

- Chłopie - powiedział major prawie ze smutkiem. - Nic nie rozumiesz. Wiesz, co mogło się dzieć z ludźmi w ciągu tylu lat? Mogli wyjechać za granicę. Może siedzą w więzieniu za przestępstwa z zupełnie innych paragrafów? A jeżeli się zmienili, założyli rodziny, prowadzą bogobojne życie? Za trzy lata będą mogli skorzystać z prawa przedawnienia.

- A Krawczyk? Wiesz, ile miałby teraz lat? Miał prawo przeżyć życie.

- Człowieku! - Major nie ukrywał zniecierpliwienia. - Wiesz, ilu zginęło ludzi w latach powojennych? W dobrej i złej sprawie. Bez powodu i przyczyny. Matka Krawczyka dostaje rentę. Siostrze przyznaliśmy stypendium. Ledwo pamięta brata. A ty, jak kozioł, uparcie swoje. O co tu idzie gra? O sprawiedliwość czy twoją ambicję?

No i nareszcie wyszło szydło z worka!

Twarz Rogosza nabrzmiała czerwienią, nie był w stanie

zapanować nad sobą. Major jednak nie rezygnował, starał się przemówić mu do rozsądku:

- Dałem ci szansę - powiedział. - Zgodziłem się, żebyś pracował w wydziale, w którym się marnujesz. Z twoim doświadczeniem pracować w sekcji nadużyć? Tyle lat siedziałeś w „czystej” kryminalistyce. Poszedłem ci na rękę. Żebyś wyprowadził ten „Konwój”. Ale nie będziemy tolerowali maniactwa, nawet u ciebie...

- Zapominasz, że mogę się zwrócić do komendanta o przyznanie wcześniejszej emerytury. Chyba nie kwestionujesz takiej drogi wyjścia? - Głos Rogosza brzmiał już spokojnie, wręcz sarkastycznie.

- Szantaż?

- Nie! To wy nie macie do mnie przekonania. Nie mam studiów wyższych, magisterium. Żebym był doktorem, a na dodatek habilitowanym. Inna byłaby rozmowa.

- Zbyszk! Nie chcesz przyznać się przed sobą samym. Zawiodły cię wszystkie wersje.

- Dobra! Na pochyłą gałąź... poskaczcie sobie. Powiesz mi wreszcie, jaka jest decyzja?

Rogosz wstał. Major podszedł do niego i powiedział prawie ciepło: Trzeba spisać protokół, zamykający sprawi; pod kryptonimem „Konwój”. Jej miejsce jest w archiwum... - Położył mu rękę; na ramieniu.

Przechodzisz do sekcji zabójstw... Od jutra!

Rogosz odtrącił rękę szefa i przyjaciela. Wyszedł bez słowa z gabinetu.

Rozdział 4

Zajrzał do kancelarii biura kryminalnego. Janka rozdzielala listy do podpisu. Obsługiwała dwóch szefów: kierownika i jego zastępcę, urzędującego w gabinecie naprzeciw. Młodsza pracowniczka sekretariatu, zajęta pisaniem na maszynie, na widok Rogosza przerwała stukanie. Janka filar wydziału - zwróciła się głosem rzeczowym do wchodzącego: - Przenosimy kapitana do 237. Biurko przygotowane.

Rogoszowi wydawało się, że młodsza z kobiet uśmiechnęła się ironicznie. Był w tak fatalnej formie, że każdy gest, nic nie znaczące słowa zapisywał na swoją niekorzyść.

- W pokoju 237 zrobi się tłoczno powiedział, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Przesada - zauważyła Janka. - Zajmuje pan kapitan miejsce majora Lutowskiego. W ubiegłym tygodniu został przeniesiony na emeryturę. Z wielką pompą. Był komendant, goździki i koperta.

Na pewno myśli w duchu: jeszcze rok, dwa i ciebie czeka taka sama uroczystość. W tej służbie po pięćdziesiątce trafia się na emeryturę. Maszyneria zużyta, spisać na straty. I zapytał głośno, starając się nie zdradzać zdenerwowania: — 237? Z Kopciem? Zaraz przy windzie. Byłem tam kiedyś. - I wrócił do swojego pokoju piętro niżej, żeby przekazać dokumenty kolegom.

Wiedzieli już o przeniesieniu Rogosza do innego wydziału. Jakoś wciąż ściśle przestrzegamy reguły, że zainteresowany dowiaduje się ostatni nowin o sobie - pomyślał Rogosz i zabrał się do porządkowania szuflad. Były tam zapiski, kwalifikujące się do kosza, ale i rozpoczęte dochodzenia, relacje z rozmów.

- Zazdroszczę ci - powiedział Andrzej Żarnowski, który zajmował biurko naprzeciw i przyjaźnił się z nim, jeszcze od czasów, kiedy żyła Krystyna. - Świetnie mi się pracowało w zabójstwach. Pamiętasz, Zbyszek, jeszcze w Stołecznej? Sekcja zabójstw to jakaś ranga, męska sprawa. Nie protestuj! Popatrz, z której strony chcesz. Dramat! Ktoś i z jakiegoś powodu zabił. Człowiek stracił życie. Nie będzie się już kochał, martwi!, chorował, pił wódki. A my egzekwujemy rachunek za unicestwienie cudzego życia. Idealnie prosty rachunek. A wydział nadużyć? Mdli mnie od tych brudów. Czasem mam tak dosyć, że poszedłbym do starego i poprosił o przeniesienie do zakładu oczyszczania miasta. Przypatrz się te j sprawie z MHD, Trzy niemłode kobiety i szef. Babki mają na utrzymaniu rodziny. Jedna bez męża. Drugiej udało się zdobyć towarzysza życia - stałego klienta izby wytrzeźwień. A tej trzeciej mąż

choruje. Kupa nieszczęść i codziennych kłopotów.

Pewnego dnia szef MHD przychodzi na zaplecze, sklep już zamknięty, kobiety wreszcie siadły po całym dniu użerania się z klientkami. A on woła do swojego pokoju - okropnie lubi rozmowy w cztery oczy - i mówi: szefunio jest bardzo zmęczony. Wybiera się w lipcu na urlop. Czy wiecie, w jaki sposób przygotowuje się wakacje dla szefa? Koszty rosną, a jeszcze na wczasach!... Co miały robić? Ja wiem. Naszym zdaniem taka kobiecina powinna zadzwonić na milicję. Po pierwsze nie zna numeru telefonu. A po drugie jest przekonana, że facet ma chody i tak czy inaczej ona zapłaci. Zniszczy ją, oskarży o oszczerstwo. Zresztą chcą żyć, mieć spokój.

Szef wyjedzie na wspaniałe wakacje. Moja rola? Bo któraś z nich jednak zadzwoniła. Możesz mi nie zazdrościć. Że faceta posadzę - cała przyjemność po mojej stronie. Ale te kobiety? Kradły. Z początku dla szefa, ale później dla siebie. Żal mi tych babek, ich dzieci, choć może niewiele są warte. Nie wylażę z tego bagna... Wiadomo, ktoś to musi robić. W twoim wydziale sprawy mają inną rangę. Życzę ci jak najlepiej. Choć mi przykro, że już nie będziemy parzyć sobie wspólnie kawy. Będziesz pracował z Kopciem. To dopiero piła.

Rogosz słuchał przyjaciela jednym uchem. Kończył porządkować szafę. W wielkiej, żelaznej szafie pozostała już tylko jedna teczka, z którą trzeba się było pożegnać. Okładka pożółkła od starości, rogi pogięte czyjaś nerwową ręką. I długopisem naniesiona data i tytuł: „Konwój”.

- Tu cię boli - powiedział Żarnowski. - Pozwolę sobie na szczerłość. Cieszę się, że zamykasz ten rozdział. Sprawa nie wyszła. Nie ona jedna. Na całym świecie istnieją sprawcy niewykryci. U nas ich mniej niż gdzie indziej.

Rogosz wziął teczkę do ręki, jakby ją ważył, przeliczał na stracone dni, miesiące pracy, utrwalone w nieważnym dziś dokumencie.

- Andrzej! - próbował znaleźć zrozumienie u przyjaciela.
- Oni tego nie wiedzą. Nie chcą wiedzieć. Przecież to ja namówiłem Krawczyka, żeby pracował u nas. Wcale się nie

kwapił. Autorytet jego ojca zdecydował. Moje nalegania. Miał zupełnie inne plany życiowe. Wtedy mieliśmy wpływ na młodych. Słuchali się. Żeby nie ja...

- No i co z tego wynika? Skąd mogłeś przewidzieć ten napad, tragiczną śmierć Michała? Nieszczęśliwa rodzina. Ojciec chyba też zginął od kuli bandyckiej? Chyba w Nowosądeckiem?

- Byliśmy razem. Obiecałem tam w lesie, kiedy nie można było już pomóc, tylko pot śmiertelny ocierać z czoła, że będę chronił Michała jak własnego syna.

I nie uchroniłem! Moim obowiązkiem jest znaleźć zabójcę. Tyle jestem winien ofiarom.

- Ciągle tylko rozliczasz siebie, innych. Zostaw to wszystko. Pociągnąłeś ten pościg rok, pięć lat. Rozumiem. Ale jak długo można? Sam sobie szkodzisz!

- O tym wiem najlepiej. Zrobili ze mnie maniaka. Szef by mnie najchętniej posłał do psychiatry. Może ma rację. Sam pójdę!

- Głupota. Narobiłeś kłopotów sobie i swojej rodzinie. Bo ty musiałeś wyprowadzić na czysto „Konwój”. Myślisz, że Krystyna była szczęśliwa? Wciąż sama. A jak byłeś w domu, to też nie przy niej. Ciągle żyłeś tą sprawą.

Rogosz spojrział niechętnie na przyjaciela:

- Zostaw nieżyjących. I Janka nie wprowadzaj w moje sprawy. Smarkacz będzie mi radził. Dostyc tych rozmów. Daj mi spokojnie popracować. Mam wypichcić protokół zamknięcia sprawy. I wolę to zrobić dziś. Jutro od rana zaczynam pracę w pierwszym wydziale. Jeżeli łaska, zajmij się sobą i swoimi ekspedientkami z MHD.

Wyjął z szafy duży arkusz biurowego papieru, napisał datę. Chwilę zastanowił się i zaczął pisać płynnie, bez sięgania do akt. Znał każdy szczegół, miejsce, okoliczności na pamięć. Dokument zawierał punkty zgodnie z przepisami obowiązującymi dla protokołów, i zaczął się od tytułu:

RELACJA

ze sprawy kryptonim „Konwój”, dotycząca napadu rabunkowego z bronią na konwój bankowy NBP.

I. Treść sprawy

W dniu 14 października 1953 o godz. 20.10 na szosie prowadzącej z Żyrardowa do Warszawy, na wysokości miejscowości Brwinów, dokonany został napad rabunkowy z bronią na konwój bankowy Narodowego Banku Polskiego, przewożący nadwyżki bankowe z oddziałów powiatowych NBP do Centrali w Warszawie. Konwój ten w składzie:

Marian Lipiński lat 56 - konwojent Waclaw Leski lat. 52 - strażnik NBP Kazimierz Ignar lat 57 - strażnik NBP Michał Krawczyk lat 21 - funkcjonariusz MO Jerzy Perak lat 47 - kierowca wyruszył z W-wy w dniu 14.10 1953 o godz. 15.30 samochodem marki „Star-20”\ Strażnicy Leski i Ignar oraz szeregowy Krawczyk uzbrojeni byli w pistolety TT-33. Trasa konwoju biegła przez Piaseczno, Grójec, Żyrardów - gdzie pobrano z miejscowych oddziałów NBP pieniądze w kwocie 3 620 000 zł. Po drodze z Żyrardowa do Warszawy miano jeszcze odebrać nadwyżkę; bankową z oddziału powiatowego NBP w Pruszkowie. Pieniądze znajdowały się w trzech zaplombowanych workach. Po wyjeździe z Żyrardowa (około godz. 19.35) obok kierowcy Peraka w szoferce samochodu siedział strażnik Ignar. Leski i Krawczyk znajdowali się wewnątrz samochodu, przykrytego brezentową plandeką. Kiedy minęli Milanówek, w miejscu, gdzie szosa zataczała łuk, przecinając niewielki las, kierowca Perak zauważył w świetle reflektorów sylwetkę człowieka leżącego na prawym poboczu nie opodal przewróconego roweru, a obok stojącego mężczyznę. Mężczyzna rękami dawał znaki. Sądząc, że chodzi o udzielenie pomocy, Perak zatrzymał samochód. Mężczyzna dający znaki podszedł do samochodu od strony siedzącego strażnika Ignara. Powiedział, że znalazł na szosie nieprzytomnego mężczyznę, którego prawdopodobnie potracił samochód, i poprosił o podwiezienie ofiary do szpitala w Pruszkowie. Strażnik Ignar wyszedł z szoferki, by obejrzeć leżącego. Jednocześnie z tyłu samochodu wysiedli Krawczyk i strażnik Leski. Wraz z obcym mężczyzną podeszli do

rzekomej ofiary wypadku. Nagle z pobliskich zarośli wybiegł trzeci mężczyzna krzyząc: „Ręce do góry!” Zaskoczony szeregowiec Krawczyk odwrócił się; w stronę biegnącego, padł strzał. W tym momencie leżący na szosie podniósł się; i krzyknął: „Nie strzelać!” Jednocześnie padły dwa strzały, skierowane do Krawczyka. Krawczyk upadł na ziemię. Napastnicy obezwładnili strażników, którzy pozostawili w samochodzie broń, nie spodziewając się; niebezpieczeństwa. Wepchnęli do wnętrza samochodu strażników i kierowcę oraz wrzucili do wozu ciężko rannego Krawczyka. Napastnik, który był zabójcą, krzyknął do drugiego mężczyzny, żeby jechać. Alt' ten jakby się ościągł. Wtedy on sam usiadł za kierownicą, uruchomił silnik, ale widać było, że nie daje sobie rady z samochodem. Kierownicę przejął od niego inny mężczyzna, prowadzący bardzo sprawnie wóz. Należy sądzić, że był to zawodowy kierowca. Po przejechaniu kilkuset metrów skręcił w las, na boczną drogę, która prowadzi do Nadarzyna. Tam skrępowali sznurami strażników i kierowcę, zakneblowali im usta i pozostawili w samochodzie wraz z nieprzytomnym już Krawczykiem. Kierowca samochodu w tych czynnościach nie brał prawdopodobnie udziału. Napastnicy zabrali trzy worki z pieniędzmi oraz służbową broń strażników i funkcjonariusza MO, po czym wysiedli z wozu. Wkrótce usłyszano warkot silnika samochodowego. Był to najprawdopodobniej wóz osobowy, który oddalał się w kierunku Leśnej Podkowy. Kierowca Perak stwierdził potem, że rozpoznał po warkocie warszawę albo pobiedę.

Po około 20 minutach Perakowi udało się wypchnąć knebel z ust i zaczął wzywać pomocy. Wkrótce nadszedł ob. Władysław Flur, zamieszkały w Leśnej Podkowie, który uwolnił związanych. Ponieważ napastnicy najwidoczniej uszkodzili przed odjazdem bankowego stara, Lipiński i Leski przygodnie zatrzymanym wozem udali się do Pruszkowa i tutaj o godz. 21.05 powiadomili miejscową KPMO o

dokonanym napadzie. Przed odjazdem z miejsca napadu stwierdzili, że funkcjonariusz MO Krawczyk nie żyje. Natychmiast na miejsce udała się grupa funkcjonariuszy KPMO w Pruszkowie. Powiadomiono jednocześnie KWMO w Warszawie i o godz. 21.35 zarządzono blokadę dróg w promieniu około 30 km od miejsca napadu.

II. Omówienie ustaleń wstępnych W wyniku oględzin miejsca przestępstwa i czynności wstępnych ustalono wyżej podany przebieg napadu oraz zabezpieczono następujące dowody rzeczowe:

1. Na miejscu dokonania napadu znaleziono dwie łuski z broni palnej 7.62 mm (amunicja produkcji radzieckiej o symbolach 1945 - 710).

2. Rower męski sportowy marki „Favont” -zidentyfikowany następnie jako skradziony w dniu napadu około godz. 18.30 z ulicy Wiosennej 11 na szkodę ob. Stanisława Morawieckiego, zam. w domu pod powyższym adresem.

3. Z kierownicy samochodu ciężarowego star zdjęto odblaski linii papilarnych (prawdopodobnie dłoni), które zabezpieczono po wyeliminowaniu śladów kierowcy Peraka. Odblaski te według opinii Zakładu Kryminalistyki KGMO nadają się jedynie do badań indywidualnych.

4. W pobliżu miejsca postoju stara, na poboczu drogi prowadzącej do Leśnej Podkowy, ujawniono nikielne ślady opony samochodu osobowego. Ślady te zostały następnie zidentyfikowane z odciskami protektora opony samochodu warszawa M-20 nr rej. H-23871, skradzionego w dniu 14.10.1953 w godzinach między 9-12 z ulicy Wolskiej w Warszawie na szkodę ob. Andrzeja Wrońskiego, zam. w Warszawie ul. Marszałkowska 15 m 37, a odnalezionego w dniu 15.10.1953 o godz. 16.40 przy ul. Uniwersyteckiej w W-wie.

5. W odległości około 40 km od miejsca napadu znaleziono w krzakach, znajdujących się na poboczu drogi, broń zrabowaną strażnikom oraz funkcjonariuszowi MO. Na znalezionej broni żadnych śladów nie ujawniono. Broń była przeniesiona najprawdopodobniej przy użyciu szmaty,

którą znaleziono nieco dalej.

6. W toku przesłuchań ofiar napadu zdołano ustalić następujące dane, dotyczące rysopisu sprawców. Należy jednak zaznaczyć, że ustalenia te były utrudnione przez fakt a) panujących ciemności b) napastnik nadbiegający z bronią w rękę miał na głowie kapelusz, nasunięty głęboko na czoło c) „leżący na szosie” po odwróceniu się i podniesieniu z miejsca miał twarz i głowę zasłoniętą kapturem, czymś w rodzaju damskiej czapki wełnianej, sprzedawanej w sklepach MHD d) można było ustalić jedynie rysopis twarzy mężczyzny zatrzymującego samochód, ponieważ działał bez nakrycia głowy i twarzy e) istnieje sprzeczność W obserwacjach ofiar, która utrudnia ustalenia. A mianowicie: Lipiński Marian mówi o czterech napastnikach. Ignar i Leski o trzech. Lipiński twierdzi, że z lasu wybiegło dwóch napastników, grożąc użyciem broni, przy czym tylko jeden posiadał pistolet. Pozostali nie potwierdzają tego oświadczenia.

Z fragmentarycznych danych ustalono więc, co następuje:

a) Mężczyzna, który udawał ofiarę wypadku, był wysokiego wzrostu. Mógł mieć lat 20-25. Budowa szczupła. Ubrany w ciemny golf, koloru spodni nie zdołano ustalić. Sprawiał wrażenie człowieka inteligentnego, wyrażał się poprawnie, zwracając się do pozostałych napastników. Był wyraźnie niezadowolony z użycia broni przez drugiego napastnika. Wyglądał na kierownika grupy. Przynagłał do pośpiechu.

b) Mężczyzna, który zatrzymał samochód, mógł mieć lat 20-22. Leski twierdził, że ponad 25. Wzrost 165-170. Budowa wątła, twarz owalna, włosy ciemne lub czarne. Ubrany był w kurtkę skórzaną i skórkowe rękawiczki, których nie zdejmował nawet przy kierownicy. Ten napastnik prowadził samochód bankowy do chwili aż go porzucono.

c) Mężczyzna, który wybiegł z lasu, miał sylwetkę młodą, był wysoki, prawdopodobnie silny. Po zastrzeleniu funkcjonariusza MO odzywał się kilkakrotnie w sposób

wulgarny do napadniętych. Na prośbę Leskiego, żeby ostrożniej obchodzić się z ciężko rannym Krawczykiem Michałem, krzyknął: „Zamknij pysk!” Napastnik ten skoczył na stopień samochodu i otworzył drzwi szoferki. Próbował uruchomić samochód, ale później przejął go napastnik, którego nazywamy „szoferem”

d) Co do czwartego mężczyzny (relacja Lipińskiego) żadnych danych nie dało się ustalić. Należy zaznaczyć, że Lipiński z powodu pobytu w obozie niemieckim cierpi na nerwicę wegetatywną. Niewykluczone, że mogło mu się wydawać, iż dwóch ludzi atakowało konwój od strony lasu. Pozostali świadkowie stwierdzają z całą pewnością działalność trzech mężczyzn, co wydaje się najbardziej prawdopodobne.

7. Sprawcy zrabowali:

a) Trzy worki z pieniędzmi opatrzone plombami banków w Piasecznie, Grójcu i Żyrardowie; zawierające łącznie 3 G20 000 złotych w banknotach 500, 100 i 20 Złotowych. Pieniądze te pochodziły z utargów sklepowych i wpłat indywidualnych, w związku z czym ani serie, ani numery banknotów nie były odnotowywane.

b) Trzy pistolety TT-33 nr nr AB 1723-51, K 1053/50 i M-11078/54, każdy z dwoma magazynkami, i 16 sztuk amunicji. Zrabowana broń bez śladów jej użycia została odnaleziona.

8. Sekcja zwłok funkcjonariusza Krawczyka wykazała, że został on trafiony dwoma pociskami: w głowę (postrzał otwarty) i w klatkę piersiową po stronie lewej z uszkodzeniem serca (pocisk - 7.63). Pocisk utkwiał obok kręgosłupa i został zabezpieczony podczas sekcji zwłok, Obydwa postrzały były śmiertelne.

9. Badania zabezpieczonych łusek i pocisku przeprowadzone w Zakładzie Kryminalistyki KGMO wykazały, że broń, z której strzelano do funkcjonariusza MO nie występowała uprzednio w innych miejscach przestępstw na terenie kraju.

10. Nie zdołano ustalić innych świadków zdarzenia i

poszerzyć informacji o zachowaniu się sprawców przed napadem i po jego dokonaniu.

III. Krótkie omówienie działań po napadzie Poszukiwania sprawców napadu prowadzone były przez grupę operacyjno-dochodzeniową kryptonim „Konwój” i w latach 1955-1960 objęły swym zasięgiem cały kraj. Szeroka akcja penetracyjna w środowisku przestępców kryminalnych doprowadziła do ujęcia wielu niebezpiecznych bandytów, odzyskania sporej ilości nielegalnie posiadanej broni oraz wykrycia sprawców innych przestępstw. Szczegóły zostały ujęte w odrębnym sprawozdaniu. Po roku 1960 sprawę pod kryptonimem „Konwój” prowadzono nadal, ale przy zmniejszonym składzie osobowym. Ograniczono się do wyjaśnienia bieżących informacji oraz badania ewentualnych związków sprawy „Konwój” z innymi przestępstwami, dokonywanymi przy użyciu broni na terenie kraju, między innymi ze sprawą napadu na ulicy Jasnej z 1964 r. Stwierdzić należy, że do chwili obecnej nie uzyskano w sprawie „Konwój” żadnych materiałów, które dopomogłyby do wykrycia sprawców. Ponadto nie stwierdzono, aby broń użyta w napadzie na konwój, występowała później w miejscach innych przestępstw.

IV. Wnioski

Przyjąć należy, że napad na konwój NBP w dniu 14 października 1953 r. stanowił jednorazową akcję nie rozpoznanej do dzisiaj grupy bandyckiej. Z całości zebranych materiałów należy wnioskować, iż napad dokonany został przez trzech młodych mężczyzn w wieku około 20-25 w roku 1953, niezawodowych przestępców, którzy zaniechali działalności bandyckiej z powodu okoliczności nie ustalonych. Niewykluczone jednak, że do rozbicia tej grupy przestępczej przyczynił się fakt odnalezienia pieniędzy zrabowanych w napadzie na konwój NBP, który to fakt miał miejsce w dniu 5 stycznia 1954 r. w związku z poszukiwaniem dwojga zaginionych dzieci, mieszkańców Zakrocymia. Grupa operacyjna Komendy Wojewódzkiej MO poszukująca dzieci w okolicy

lasku modlińskiego, przez który szły - według informacji rodziców, zamieszkałych Zakroczym, ul. Spokojna 2 - do dziadków, zwróciła uwagę na znakowanie kory drzew, prowadzące do miejsca, w którym naruszone było poszycie. Kopiąc na głębokości dwóch metrów, odnaleziono zawinięte w folię worki z pieniędzmi. Obserwacja miejsca w okresie miesiąca po odnalezieniu zrabowanych pieniędzy, nie dała rezultatu. Biorąc pod uwagę, że grupa bandycka, której członkowie są najprawdopodobniej obecnie w wieku 42-45 lat, nie przejawia działalności przestępczej, składam wnioski o złożenie akt sprawy do archiwum pod „OZ”.

Podpisano: starszy inspektor kpt. Zbigniew Rogosz.

- Ostatecznie załatwione! - wykrzyknął Żarnowski z wyraźnym zadowoleniem, pochylając się nad biurkiem przyjaciela. - A co się stało z dziećmi?

- O ile wiem, znaleziono je u wujka, w sąsiedniej wsi. Nakarmił je i położył spać. Zapomniał o drobnej czynności - nie zawiadomił rodziców. W związku z tym trzeba było przez dwa dni zatrudnić grupę operacyjną. Ale nie ma tego złego, co by itd. Bo w ten sposób odnaleziono zostały pieniądze. Te maluchy mają już dziś po trzydziestce i zapewne przeżywają kłopoty ze swoimi dziećmi. A może są naszymi klientami. Albo bronią doktoratów. Dwadzieścia dwa lata - szmat życia.

Kapitan Żarnowski odczytywał zza pleców Rogosza ostatni fragment relacji „OZ”.

- Swoją drogą miała ta banda niefart. Mogli zarobić więcej lat więzienia niż liczyli, a pieniądze, o które szła stawka, wróciły grzecznie do banku. Gdyby zdążyli dokonać podziału - co u licha mogło się stać, że pozostawili je przez kilka miesięcy w lesie? - ręczę, że zasmakowaliby w bandyckim fachu. Człowiek jest niby ateistą, ale jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?...

- Moim zdaniem była to grupa koleżeńska, nim stała się bandycka - Rogosz wracał do swojej wielokrotnie bronionej koncepcji. - Tak o nich zawsze myślę i widzę nie dojrzałych

mężczyzn, lecz młodych ludzi, startujących w życie. Bliskie wspomnienia okupacji. Opowiadania kogoś z rodziny, jak to organizowano napady na niemieckie konwoje. Napady, których dokonano, być może, jedynie w ich wyobraźni. A młodzi chcieli mieć forszę na dobry początek. Tak należałoby wnioskować, skoro nie pojawili się później w naszych rejestrach. Tak to widzę. Grupa koleżeńska jednoroczników, do której należał przywódca, najpewniej inteligent, a z wieku sądząc - student. A tych trzech... Nie sądzę, żeby Lipiński miał rację twierdząc, że istniał czwarty. Nasz psychiatra dr Bąkowski stwierdził u starego strażnika początki demencji. Chyba było ich trzech? Znali się. Może z jednej ulicy, wspólnej klatki schodowej? Klubów młodzieżowych wówczas jeszcze nie było, ani dyskotek. Grupy zawiązywały się na ogół w tych czasach w jednej dzielnicy, we wspólnej rodzinie. I po tej linii szukałem... Nie wyszło.

Rogosz włożył relację do dużej, szarej koperty. Spiął ją z aktami i powiedział do przyjaciela:

- Chyba jeszcze zdążę do archiwum. Idziesz na obiad? Janek został na dziś zaproszony do kolegi.

Umówili się, że kto pierwszy zejdzie do stołówki, zajmie miejsce.

- Zamów mi sztukę mięsa - przypomniał sobie już przy drzwiach Rogosz. - To stołówkowe jedzenie bokiem mi wychodzi.

- A mnie? - westchnął Żarnowski. Ale równocześnie poczuł głód. - Zobaczymy, co mają w bufecie. Czasem zdobywają się na inicjatywę. Jeśli mi dopisze szczęście, zamówię flaczki - powiedział z rozmarzeniem, ale Rogosz już nie usłyszał tej gastronomicznej dygresji. Przyśpieszył kroku kierując się w stronę archiwum...

Rozdział 5

Następnego dnia jak zawsze spotkali się w autobusie z Janowskim. Okazało się, że towarzysz porannych podróży

wiedział już o przeniesieniu Rogosza do wydziału zabójstw i był zdania, że jest to właściwie szansa ciekawszej pracy. On sam...

Przy windzie natknęli się na inspektora wydziału pierwszego, kapitana Jerzego Chmurę. Przywitał serdecznie Rogosza.

- Pożenili nas - powiedział. - Siedzimy w jednym pokoju. Na trzeciego Kopeć. Musisz go znać. Był w krakowskim wydziale kryminalnym. Zrobił „zaoczne”, skoczył na kapitana. Nosa zadziera. My praktycy to dla niego nieuki. Pyszałek! Będziemy się trzymać razem. Już mi raźniej...

Ruchome pudło windy drgnęło i zatrzymało się z podskokiem na drugim piętrze. Chmura wstąpił do kancelarii, żeby wziąć klucz i ucałować rączki Jance. Mimo zaawansowanego wieku i niemalej tuszy bardzo lubiła, kiedy okazywano jej jako kobiecie należne względy. Janka powiedziała, że klucz zabrał kapitan Kopeć. Jest już od pół godziny w biurze. Są pilne meldunki. Niech się pośpieszy...

Powtórzył tę wiadomość Rogoszowi, który czekał na korytarzu. Rogosz pomyślał z goryczą, że on się w tym wydziale jeszcze nie liczy. Trzeba wszystko zaczynać od początku. Szli razem w stronę pokoju 237. Chmura wrócił znowu do opowieści o trzecim koledze:

- Wiesz o co mi chodzi?

Rogosz zapomniał o poprzedniej rozmowie i odpowiedział mechanicznie: - Nie przejmuj się. U nas zawsze wszystko jest pilne. Janka...

- Nie - przerwał mu Chmura. - Chodzi mi o Kopcia. Wiesz, jaki to człowiek? Pali potworną ilość papierosów i zawsze w pokoju. Miałem kłopoty z płucami. Sam wiesz, że palenie powoduje ileś tam procent zachorowań na raka. Udowodnili to statystyką, czarno na białym. Czytałeś w ostatnim „Przekroju”? To nie tylko palenie szkodzi. Sam dym w zamkniętym pomieszczeniu bywa niebezpieczny. A on robi ze mnie hipochondryka. Mógłbyś mu powiedzieć dwa słowa...

Wolał nie przyznawać się, że bez papierosów nie jest w stanie skoncentrować uwagi. Na szczęście stanęli przed pokojem oznaczonym numerem 237. Ledwie przestąpili próg, okazało

się, że telefonował Janek Skąd ten smarkacz wiedział, gdzie mnie szukać? - rozżłościł się Rogosz, ale zaraz połączył się z domem. Chłopak udawał zagniewanego:

- Dlaczego ojciec nie powiedział, że go przeniesiono?

- Skąd ty o tym wiesz? - spytał ogólnikowo, nie chcąc zdradzać tematu rozmowy przed kolegami. W dodatku prześladowało go uczucie, że coś się rozgrywa poza jego plecami.

- Telefonowałem na stary numer. Kapitan Janowski od razu mi podał nowy i dziwił się, że nie wiem o zmianie. On ma do mnie większe zaufanie niż rodzony ojciec. Ciągłe mnie masz za dziecko. Bardzo się cieszę. Będę miał w rodzinie Colomba. Jest tam jakieś ciekawe zabójstwo?

- Nie gadaj głupstw i posprzątaj! - Na osłodę zaproponował mu wspólne pójście do kina na film „Mr Majestic”. Grają w kinie „Klub”. Kupił już bilety.

Janek zapytał, ile ma biletów. Kiedy okazało się, że dwa, poprosił, żeby ojciec dokupił jeszcze jeden, bo chciałby zabrać koleżankę z klasy.

Rogosz wyczuł, że chłopcu bardzo na tym bilecie zależy i powiedział, że się postara. Jeżeli nie załatwi trzeciego, chętnie zostanie w domu, bo ma zaległą robotę. Już teraz nie jest synowi potrzebny, a za rok będzie mu przeszkadzał. Refleksja ta wywołała uczucie zawodu, ale i dumy, że chłopiec wyrasta na mężczyznę, jakby ta naturalna kolej rzeczy nie była regułą. Janek dotychczas unikał dziewcząt. Uliczne demonstracje, czułości, całujące się ostentacyjnie młode pary, na które natykali się często, idąc razem ulicami, osądzał jako wygłup, którym by się nigdy nie splamił. Tak, coś się chyba zmieniło. Rogosz znalazł klucz do zmian w zachowaniu się syna. Janek nie miał zwyczaju naciągać ojca, co to to nie, a teraz wyprosił dwie tygodniówki i wrócił z paczką, w której była haftowana koszula, lansowana przez „Juniora”. Częściej też zaglądał do łazienki i bez przypominania odwiedzał fryzjera. Ten jego niedbaluch! Sytuacja została wyjaśniona.

Umówił się z Jankiem, że zjedzą dziś razem obiad w

stołówce, a co do biletów, niech zaprosi tę panienkę. Pomyślał, że słowo to brzmi obecnie staromodnie i zrobiło mu się głupio, że wprowadza w swoje rodzinne sprawy kolegów. Odłożył pośpiesznie słuchawkę i przywitał się z Kopciem. Teraz przypomniał sobie, że go zna. Spotkali się, ale gdzie? Okazało się, że podczas sekcji w katedrze medycyny sądowej.

- Jak to w naszym zawodzie - powiedział Chmura i zapytał Kopcia, o jakich to meldunkach mówiła Janka. Chodziło o zabójstwo, markowane pożarem. Wrocław uważał, że sprawa wymaga pomocy centrali. Trzeba będzie do nich podskoczyć. Chmura zadzwonił do Janki po delegację. Potem chwilę jeszcze rozmawiali o terenie. O tym, co się dzieje w komendach wojewódzkich i w powiatach. Kopeć narzekał, że wciąż jeszcze za mało korzystają z nowoczesnej techniki kryminalistycznej. Popierał tendencję, lansowaną przez kierownictwo, żeby absolwenci Akademii MSW obejmowali stanowiska, jeżeli już nie w powiatach, to przynajmniej w wydziałach kryminalistyki komend wojewódzkich. Dopiero wtedy będzie można mówić o unowocześnieniu metod działań operacyjnych i dochodzenia. Rogosz był zdania, że doświadczenie, ambicja i pracowitość stanowią nadal podstawowy warunek powodzenia i nawet miał na poparcie swojej tezy publikacje zagraniczne o niebezpieczeństwie nadmiernego zaufania do techniki. Ale nie zamierzał wdawać się w dyskusję, która mogła wydać się obroną własnej pozycji, jako że ukończył tylko szkołę oficerską.

- Dojdziemy jeszcze do tego, że komputer „wyrzuci” osobę sprawcy - powiedział Kopeć, zapalając jednego papierosa od drugiego.

- Ale dane będą musieli dostarczyć doświadczeni pracownicy służby kryminalnej. Nie o tobie mowa - zwrócił się Chmura do Kopcia. - Zanim w Zakładzie Kryminalistyki zaczną pracować komputery, znajdziesz się na lepszym ze światów z powodu zatrucia nikotyną. - Otworzył na oścież okno. Warknął: - Żeby się tak nie liczyć z otoczeniem!

Rogosz, chcąc zmienić temat dyskusji, zapytał, co nowego w

wydziale.

- Nie ma spokoju pod oliwkami-powiedział Chmura. I położył na biurku nowego kolegi plik meldunków z terenu. Włączeni są jedynie do kilku spraw. Przeważa obecnie tendencja, żeby pracowano w terenie bardziej samodzielnie. Niech ruszają głowami. Czasem, kiedy sytuacja się komplikuje...

Meldunków nabierało się rzeczywiście sporo. Uwagę Rogosza zaprzątnęły informacje z terenu wiejskiego. Morderstwo w rodzinie. Jak to się dzieje? Przecież ziemi starcza dla wszystkich, nie ma komu jej zagospodarować, a wciąż jeszcze trafiają się krwawe rozprawy o kilka morgów? Chęć posiadania czy raczej zawiść jako napęd działania przestępczego?

Z województwa rzeszowskiego zawiadomiono o przypadku zbiorowego gwałtu. Sprawców było trzech, dwóch zdołano ująć, za trzecim wysłano listy gończe. Znowu przypadek dziewczyny, która poszła do obcego mieszkania z chłopcami poznanymi na przystanku autobusowym.

Rogosz zastanawiał się głośno:

- Czy w tego rodzaju przypadkach nie można by zadziałać prewencyjnie? Jeżeli te idiotki w końcu rozumieją...

Chmura wzruszył ramionami.

- Co ty wiesz o dziewczętach? Każda jest teraz znakomicie uświadomiona i nawet te z zapadłej wsi czytały o gwałtach zbiorowych. Gubi je zarozumiałość, jak każdego człowieka - i tu nieprzypadkowo spojrzął na Kopcia. - Taka dziewczyna wie, że jej poprzedniczki zostały oszukane. Ale w niej jednej facet zakochał się od pierwszego wejrzenia. I ryzykuje wizytę. Tylko nikt mi nie wmówi, że z naiwności.

Rogosz przeglądał w dalszym ciągu informacje z terenu, żeby zorientować się w charakterze przestępstw, w zmianach, które zaszły od czasów, kiedy sam te meldunki do Zakładu Kryminalistyki posyłał. Po kilku godzinach lektury miał już jakieś takie pojęcie o sytuacji i zamierzał udać się do Janki, żeby uzupełnić formalności, związane z przeprowadzką, kiedy

Kopeć, który chciał sobie pozyskać nowego kolegę, między innymi dlatego, że mu Chmura dosyć nadokuczał, zwrócił się do Rogosza:

- Chciałbym, żebyś był wprowadzony we wszystkie sprawy. Mam jeszcze dwa meldunki. Major dał mi je dziś rano do wglądu. Nic mi jeszcze nie mówią. Jeden zupełnie nieciekawym. Warto przeczytać informację z Oleśnicy. - Przekazał dwie depesze Rogoszowi, komentując dalej: - Wyraźne zabójstwo przez zadziergnięcie węzła. 12 listopada. To znaczy przedwczoraj. Oleśnica, ale meldunek przesyła Wrocław, Komenda Wojewódzka. Niejaki Markowski Roman. Kierownik apteki. Może źle przeczytałem nazwisko? W porządku? Osobiście nie wykluczam związku tej sprawy z ujęciem handlarzy narkotyków. Jeden z zatrzymanych pochodził z Oleśnicy i miał jakieś powiązania ze służbą zdrowia. A kierownik apteki? Wiesz sam...

Do drugiego przypadku Kopeć nie przykładał wagi, ale Rogosz przejrzał uważnie depeszę. Miała datę 14 listopada. Chodziło o cinkciarza z Nowego Targu. Kazimierz Wrzos. Powiesił się.

- Wrzos z Nowego Targu? Nie wpadło ci w ucho takie nazwisko? - zwrócił się Jerzy Chmura do Kopcia. - Pracowałeś w Krakowskim.

- To co? Mam po imieniu znać wszystkich handlarzy walutą? Czego ty się mnie właściwie czepiasz? r- I nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił Rogoszowi: - Facet popełnił samobójstwo. Po cholere nam przysłali meldunek? Może z tego powodu, że był notowany? Widać mała rybka, bo inaczej zapamiętałbym nazwisko. Podzwonię jutro. A może nie warto? Jak sądzisz?

Rogosz zajrzał bez specjalnego zainteresowania do przekazanych mu meldunków. Znał ich treść z relacji nowego kolegi i raczej czytał z grzeczności, kiedy nagle wzrok jego zatrzymał się na cyfrach, które go zbulwersowały, choć na razie nie zdawał sobie sprawy z jakiego powodu. Otóż zarówno samobójca z Nowego Targu, jak i denat-aptekarz byli z tego

samego rocznika. Obaj urodzili się w 1932 roku. A więc w czasie napadu na konwój mieli około lat dwudziestu. Pasuje! I w tym momencie zrozumiał, że szef ma chyba rację. To już obsesja! I mijając się z jakąkolwiek logiką w postępowaniu, podniósł słuchawkę i połączył się z Oleśnicą. Chmura i Kopec nic nie rozumieli poza tym, iż dało się zaobserwować podniecenie „nowego”. Nie zwracał na nich uwagi. Zresztą do telefonu w Oleśnicy zgłosił się błyskawicznie oficer dyżurny. Nie był w najmniejszym stopniu zdziwiony, że Warszawa interesuje się zabójstwem, które wstrząsnęło społeczeństwem oleśnickim. Aptekarz był tu znanym, szanowanym obywatelem.

- Czy poprosić kogoś z wydziału zabójstw? Wrócili właśnie z oględzin. Za chwilę tu będą. Pracują na tym samym piętrze.

Porucznik Płaczkowski z wydziału zabójstw także nie okazał zdziwienia, kiedy Rogosz możliwie spokojnym głosem zapytał, czy mają dowód osobisty denata. Płaczkowski stwierdził, że jeśli nie mają to jest zapewne w posiadaniu rodziny. Kończą właśnie pisanie protokołu z oględzin miejsca zbrodni. Prześlą jutro odpis do biura. Czy Warszawa włączy się do czynności operacyjnych?

Rogosz, ku przerażeniu Kopcia, odpowiedział, że nie wyklucza takiej ewentualności. Nawet Chmura spojrział krytycznie na kolegę urzędującego pierwszy dzień w nowym wydziale. Powinien był wiedzieć, że tego rodzaju decyzja, czy nawet, jej zapowiedź, winna być uzgodniona z szefem. Ale Rogosz nie zwracał uwagi na reakcje kolegów, zajęty relacją z Oleśnicy. Poprosił swojego rozmówcę o możliwie szybkie sprawdzenie miejsc zameldowania denata. Począwszy od 1952 roku.

- Od którego roku? - zapytał porucznik Płaczkowski. Sądził, że się przesłyszał, ponieważ wiatr wiosenny zakłócał słyszalność nawet na miejskiej linii. Sprzed 20 lat! Po jakie лихо? Ale odpowiedział służbiście: - Tak jest. - I można było wyczuć, że jest speszony. Nie znał bowiem swojego rozmówcy i nie wiedział, jak go tytułować.

- Sprawdźcie w dowodzie. Może znajdziecie meldunki

-przynagłał Rogosz, nie patrząc w stronę kolegów, którzy trwali w zdumieniu. Płaczkowski odłożył słuchawkę, skoczył do swojego pokoju, a za chwilę meldował:

- Dowód jest w naszym posiadaniu. Markowski mieszkał w roku 1954 przy Ulicy Szpitalnej 5. Wrocław.

- A przedtem?

W słuchawce chwila milczenia. Rogosz zrozumiał, że jeszcze raz wszystko na nic. „Przedtem” nie było z pewnością żadnego meldunku. Czasy były wówczas niestabilizowane. Nikt się na nowych ziemiach nie kwapił do załatwiania formalności, choćby meldunkowych.

- Jest! - wykrzyknął z triumfem rozmówca z Oleśnicy. - Od 51 roku do następnego, meldunek warszawski. Nazwy ulicy nie mogę odczytać. Jutro zajdę do pracowni grafologów. W 1953 był nie zameldowany. A w grudniu 54 jest Wrocław. Czy potrzebne są dalsze informacje?

- Nie! Dziękuję - powiedział Rogosz. - Będę dzwonił jutro koło południa. - Odłożył słuchawkę. Zabrał ze stołu obydwie depesze i zwrócił się do kolegów: - Gdyby ktoś o mnie pytał, jestem u majora.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Kopeć i Chmura spojrzeli na siebie. - Z tym Rogoszem po śmierci żony chyba coś nie tak? - zapytał Roman Kopeć, bo Chmura znał się z tym nowym lepiej.

- Kto go tam wie? Ale powinien był dla przyzwoitości cokolwiek wyjaśnić - przyznał Chmura. Tym razem byli wyjątkowo zgodni. Zresztą Rogosz po chwili wrócił i już całkowicie spokojny położył meldunki z terenu na biurko kolegi. Powiedział coś, z czego nadal nic nie rozumieli, ale sens był taki, że majora Zawadki nie ma i dziś nie będzie, jutro zobaczy się, co dalej i żeby mu nie mieli za złe. Rogosz chciał umknąć jak najszybciej, bo miał uczucie, że jak na pierwszy dzień pracy w nowym środowisku nie postępował zbyt dyplomatycznie. A że urzędowanie zbliżało się do końca, wpadł jeszcze na chwilę do rady zakładowej i u panienki, która zajmowała się krzewieniem kultury, dokupił jeden bilet na wieczorny seans do kina

„Klub”.

Koleżanka Janka okazała się ładną i pełną wdzięku osobką. Chłopiec nadskakiwał Basi w ten sani sposób, w jaki jego rówieśnicy na całym świecie adorują ładne dziewczęta. W kinie pocałował ją ukradkiem, kiedy wydawało mu się, że ojciec na nich nie patrzy. Potem nawinął sobie pukiel włosów dziewczyny, wysuwających się spod czapeczki, na swój serdeczny palec. W tym samym czasie jego „stary” obserwując syna zastanawiał się, z jakiego powodu cieszy go, ba! - nawet rozczuła, zachowanie się młodych. Doszedł do wniosku, że codzienny kontakt z patologią życia i międzyludzkich stosunków uczynił go podejrzliwym nawet w sytuacji, gdy chodzi o sentymenty... Żeby tylko nie było z tej sympatii biedy... Dziewczyna taka młoda, obydwójce to jeszcze dzieci - pomyślał Rogosz. I w poczuciu winy zaprosił młodych do kawiarni „Hortexu”, nie protestując, kiedy Janek zamówił dla siebie i swojej sympatii podwójną porcję lodów „Ambrozja”...

Rozdział 6

Następnego dnia Rogosz rzuciwszy kolegom „dzień dobry”, nie zdejmując płaszcza, podniósł słuchawkę telefonu, prosząc o połączenie z Nowym Targiem. Numer był zajęty. Oddzwonią, jak się tylko zwołni.

Powiesił płaszcz do szafy i odwrócony plecami do kolegów, wyczuł ich porozumiewawcze spojrzenia. Dotyczyły zapewne jego osoby i postępowania. Wbrew najlepszym intencjom, jedynie przez przypadkowy zbieg okoliczności, stworzył sobie w nowym wydziale nie najlepszą atmosferę. Ten fakt sprawił mu wyraźną przykrość, ale nie był w stanie zmienić swojego postępowania. Intuicja podpowiadała mu, że musi się śpieszyć, nie wolno mu uronić chwili. A może obawiał się, że czyjś trzeźwy rozsądek zahamuje go w działaniu? Czuł, że jakiś wątek, nić, którą trzyma w ręku, znów może mu się wymknąć. Jeżeli popełni błąd? Spóźnienie byłoby największym potknięciem. Tak myślał zawsze, kiedy wydawało mu się przy każdym nowym śladzie, że jest bliski prawdy. Nie! Nic kolegom jeszcze

teraz nie może powiedzieć. Musi pracować sam, póki nie będzie dysponował przekonującym atutem. Chociażby jednym argumentem, który przekreślił mit o tym, że jest upartym maniakiem.

Tym razem sprzyjało mu szczęście. A przynajmniej pomyślna okoliczność. W Nowym Targu komendantem był Stefan Jaroszek, z którym przyjaźnił się od lat. Pracowali nawet razem przy operacji „Konwój”. Wspólna namiętność do wędkarstwa wzmocniła koleżeństwo zawodowe. Wystarczyło hasło i Stefan wsiadał do swojej skody, Rogosz tankował mieszankę do starego trabanta i spotykali się w sobotę wieczorem na dobrze znanym cypelku. Nosił nazwę „Rożek” i przylegał do Jezioraka, wielkiego rozlewiska, opierającego się jednym końcem o miasteczko Iławę. I tak brzmiało hasło: „Rożek”! Dwie godziny snu na zalesionym cypelku, a o świcie budzili śpiące jezioro mocnym rzutem spinningów.

Za chwilę odezwał się Nowy Targ, ale okazało się, że major Jaroszek opuścił przed kwadransem komendę.

O dziewiątej z minutami rozpoczynała się egzekutywa Komitetu Miejskiego Partii, której był członkiem.

- Niech koniecznie zadzwoni w przerwie. Sprawa jest ważna! - powiedział Rogosz. - Może podeślcie karteczkę? -1 podał swoje nazwisko. - Rozumiemy się?

Stefan Jaroszek był człowiekiem ambitnym. Jeszcze w stopniu porucznika, kiedy operacja „Konwój” napotykała zbyt wiele trudności... Skorzystał wówczas z propozycji kierownictwa i przeszedł na samodzielny, choć niewielki posterunek. Komenda w Nowym Targu, miejscu, gdzie dla milicji nie braknie zajęcia, była już wyraźnym awansem. Doszedł do stopnia majora, a w ostatnim czasie mówiło się o jego powrocie do Warszawy. Niezależnie jednak od osobistych planów i wagi, którą przykładał do własnej kariery, podziwiał zawsze Rogosza, jego bezinteresowny upór, odwagę wypowiedzenia swojego zdania i niezawodną intuicję, która okazała się mylna w jedynym przypadku, kiedy przyjaciel jego był ciągle pewien, że znalazł wreszcie ślad, prowadzący do sprawców napadu na konwój bankowy. Toteż, kiedy wręczono

mu dyskretnie karteczkę od dyżurnego oficera, znalazł pretekst, żeby wrócić na chwilę do komendy. Znajdowała się blisko komitetu, jak to często bywa w niewielkiej aglomeracji.

Rogosz poczuł się znacznie różnie, kiedy usłyszał głos przyjaciela:

- Co się stało? Ryby biorą na Rożku?

- Stefan! Posłuchaj uważnie. Bardzo mi jest potrzebna twoja pomoc. Chodzi o przypadek samobójstwa. Niejaki Wrzos... Handlarz walutą. Nieważne? Ale dla mnie bardzo. Proszę cię tymczasem o jedną informację.

Niech sprawdzą, czy gość mieszkał w Warszawie. Nie! Nie teraz. Chodzi o lata pięćdziesiąte. Konkretnie pięćdziesiąt jeden... trzy. Może był meldowany w okolicy Warszawy? Wiem, że nie żyje. Zapytaj sąsiadów. Czy często zawracam ci głowę?... Zbadaj wszystkie okoliczności, nawet te, które wydają ci się nieważne... koledzy, przyczyna samobójstwa. Tak. Tylko w tym przypadku, gdyby okazało się, że miał warszawski meldunek. Jutro? Nie! Jeżeli to możliwe. Niewykluczone, że się zobaczymy... Prześlę się w komendzie. Nie. Nie ma mowy...

Każdy z pracowników służby kryminalnej znał znakomicie ten styl ponagleń i był już nań uczuciowo i nerwowo uodporniony. Ale zawodowy słuch Jaroszka odebrał tym razem ponaglenie Warszawy bez sprzeciwu. Udzielił się mu nastrój podniecenia Rogosza. Zdążył jeszcze tylko bąknąć do aparatu: - Daj spokój, stary. Wiesz przecież... - zanim usłyszał głuchy dźwięk odkładanej na widełki słuchawki.

Do pokoju zajrzała Janka, wyraźnie z siebie zadowolona.

- Panie kapitanie! Przypominam majorowi od rana. Niech pan szybko wchodzi, bo za godzinę zapowiedział się prokurator Gurgul.

Rogosz spojrzał na Jankę, przesunął jakiś papierek na brzeg biurka, a potem uważnie, choć dyskretnie przyjrzał się kolegom, którzy nieudolnie - jak mu się zdawało - udawali, że koncentrują uwagę na własnych sprawach. Było dlań jasne, że powinien im coś powiedzieć, dać choćby własną ocenę dzisiejszej pogody. Ale chrząknął tylko, wygładził marynarkę,

zrzuconą niedbale na krzesło, i ruszył w stronę drzwi. Z ręką na klamce odwrócił się i powiedział do Chmury: - Jak zadzwonią z Nowego Targu, niech ci przekażą, co i jak. - I dodał, tym razem zwracając się do obu kolegów: - Nie wiem. Sam jeszcze nie wiem. - I wyszedł za Janką, która odznaczała się szóstym zmysłem, charakteryzującym idealne sekretarki. Nie pytała, kiedy nie mówią i wiedziała dokładnie, kiedy i komu należy ułatwiać rozmowy z szefem.

Major Zawadka ucieszył się na widok wchodzącego. Podniósł się zza biurka, przywitał się serdecznie i zapytał:

- Janka wspominała, że sprawa osobista. Żenisz się? Najwyższy czas, żebyś miał dom. Żarnowski...

Rogosz przerwał szefowi w pół zdania.

- Przyszedłem cię poprosić o wznowienie sprawy, którą zgodnie z twoją dyspozycją, a wbrew mojemu przekonaniu, oddałem wczoraj na „OZ”.

Major aż jęknął, wrócił za biurko, siadł ciężko i spojrzał prawie błagalnie na podwładnego.

- Zbyszek! Z tobą jest niedobrze. Ja nie żartuję.

- Posłuchaj - powiedział Rogosz. - W ciągu ostatnich dni pożegnało się z życiem dwóch mężczyzn.

- Co się u was w wydziale dzieje? - Szef wyraźnie rozzłoszczony zerwał się z krzesła. - Dwa morderstwa? Gdzie? Kopeć sygnalizował mi jedno, w Oleśnicy. Dlaczego nie wiem o drugim?

- Posłuchaj uważnie...

Rogosz był całkowicie spokojny i zdeterminowany. Robił przynajmniej takie wrażenie na majorze. Ale było to tylko złudzenie. Mechaniczny bąk, puszczone w ruch na podłodze z wielką siłą, tak szybko się obraca, iż wydaje się, że tkwi niemal nieruchomo na swej osi. Mówił dalej nie zmieniając rzeczowej tonacji: - W Oleśnicy, jak wiesz, został zamordowany jeden człowiek nazwiskiem Markowski. W Nowym Targu, dwa dni później, popełnił samobójstwo drugi...

Major opadł ciężko na krzesło. Ręce opuścił wzdłuż tułowia gestem bezsily:

- Zbyszek! Co nas obchodzą samobójstwa? Niech się tym

martwią socjologów albo psychiatrów. Milicja ma za mało własnych kłopotów? Bezdomne dzieci to nasi a sprawa! prostytutki także. A teraz będziemy się jeszcze zajmować depresyjnym waluciarzem z Nowego Targu...

- Nie chcesz mnie wysłuchać, a proszę tylko o chwilę cierpliwości - nalegał Rogosz. - Wracam do sprawy, którą muszę ci zreferować. Ci dwaj ludzie: zamordowany i samobójca byli z tego samego rocznika, co sprawcy napadu na konwój. Znasz moją tezę. Grupa koleżeńska, która stała się bandycką.

- Który to rocznik?

- Obaj urodzeni w 1932. Tak, jak zakładaliśmy.

- Człowieku!

Major wstał z miejsca. Podeszedł do półki z książkami i wyłuskał spośród urzędowych tomów grubego rocznika statystyczny. Po chwili wertowania znalazł właściwą stronę.

- Powiedzieć ci, ilu żyje w Polsce mężczyzn, którzy w roku 1953 mieli po dwadzieścia kilka lat? Nie wszyscy żyją. Są przypadki losowe, choroby. Są, a właściwie byli wśród nich samobójcy. Na zasadzie wspólnego rocznika zakładać eliminację? I to ty, który zawsze broniłeś się przeciwko tej mechanicznej zasadzie. Pomyśl! Ginie dwóch ludzi. Co to może mieć wspólnego z daleką przeszłością? Zakładałeś, że był trzeci współnik. Tak wynikało, o ile pamiętam, z zeznań świadków. To co? Pokłócili się przy bridżu i ten trzeci, co nie doliczył szlemika, zabił jednego, a drugiego doprowadził do samobójstwa?

- Kpisz sobie ze mnie - powiedział gorzko Rogosz. - Nie zasłużyłem sobie na żarty.

- Dodaj... głupie.

Nie zwracał uwagi na ironiczny ton majora. Powtórzył:

- Zasłużyłem sobie, żebyś wysłuchał tego, co mam do powiedzenia. Choćby... - zawahał się, ale postanowił kontynuować rozpoczęte zdanie - choćby dlatego że w czasie prowadzenia działań operacyjnych, o których dziś mówisz z ironią, wpadłem na trop dwóch poważnych

napadów bandyckich. Za ich wykrycie ktoś. inny otrzymał wysokie odznaczenie.

Zrobiło mu się głupio, bo tym kimś był jego dzisiejszy rozmówca. I powiedział głosem, pełnym nieklamanej życzliwości: - I powinien być dostać, bo on, a nie ja doprowadził sprawę do końca. Cieszyłem się z tego jak najbardziej szczerze.

- Staraj się skracać - powiedział surowo major. Podaj argumenty, dla których proponujesz wznowieni^e zamkniętej za wspólną zgodą sprawy.

Rogosz poczuł niesmak do samego siebie. Po co wspominał stare sprawy, wbijał złośliwą szpilę komuś czyja życzliwość i dobra wola miały dla niego zawsze a szczególnie w tej chwili ogromne znaczenie? I w dodatku nie mówił tego z przekonaniem. Ileż to razy on sam otrzymał wyróżnienie za robotę, która była wspólną zasługą nieraz dużego zespołu. Wyważyć bezbłędnie zasługi w ich służbie? Nonsens. Jego spokój wewnętrzny zniknął bezpowrotnie. Rozpędzony aż do pozornego unieruchomienia bąk wytracił szybkość, zataczał teraz szerokie koła. Próbował się opanować, żeby przekonać o swoich racjach szefa.

- Będę się skracał Ten zamordowany aptekarz mieszkał w pięćdziesiątych latach na terenie stolicy. Po napadzie przez cały rok nigdzie się nie meldował. Zamieszkał we Wrocławiu. Musiał studiować, inaczej nie otrzymałby stanowiska kierownika apteki. Wśród tej trójki był jeden inteligent. Czy nie on właśnie? Nic jeszcze nie wiem o samobójcy z Nowego Targu. Jaroszek ma zadzwonić. Pracował przy tej sprawie, zna ją...

- I wycofał się w porę. Chłopie, jak można łączyć przypadki całkowicie odmienne, które wydarzyły się na dwóch krańcach Polski? Żeby choć jednakowy powód śmierci, czy podobny sposób działania. Zamordowali aptekarza. W tym zawodzie ma się do czynienia z receptami, a są ludzie, którzy zapłacą każde pieniądze za truciznę. Może nie chciał współpracować z handlarzami albo za dużo na nich zarabiał? Trudne sprawy. Potrzebna im w województwie pomoc centrali. Nie uchylamy się...

Cinkciarz? Może alkoholik, osobnik depresyjny? Mnie na jego miejscu też by się życie sprzykrzyło...

Rogosz nachylił się do szefa i powiedział z wielką powagą:

- Nic jeszcze dziś nie mogę powiedzieć, nawet w formie hipotezy. Roman! Ile razy mówiliśmy o intuicji inspektora kryminalnego? Jeżeli ona istnieje...

Bez pukania wszedł do pokoju kapitan Chmura.

- Bardzo przepraszam. Telefonowali z Nowego Targu. Mówiłeś...

- I co? - Rogosz nie był w stanie ukryć podniecenia.

- Komendant w dalszym ciągu na egzekutywie. Dzwoniła jakaś panienska. Wrzos nie ma w dowodzie stempli meldunkowych z poprzednich miejsc zamieszkania. Kumple nic o nim nie wiedzą. Ale kobiecie, u której wynajmuje mieszkanie, znaczy wynajmował, opowiadał o swoim pobycie w Warszawie. Właśnie w latach pięćdziesiątych. Mieszkał u ciotki. Ale ktoś skrewił, zniszczył mu życie i przez to zszedł na psy. Z jego opowiadań wynikało, że go okradli albo oszukali.

Trudno polegać na informatorce, bo jest na wpół głucha. Przyczynę zgonu Wrzosa ustalił lekarz z pogotowia. Komendant pyta, czy przyjedziesz. Jeżeli nie, jutro przyśle bardziej szczegółowe dane.

Chmura dostrzegłszy zniecierpliwienie szefa, wyjąkał speszony: - Przepraszam. Zostałem upoważniony... - i wycofał się z gabinetu.

Teraz głos Zawadki był spokojny, ale nie wróżył nic dobrego.

- Zaczynasz działać bez zgody kierownictwa. - Wstał i przechadzając się nerwowo po pokoju ciągnął: - Wybierasz się do Nowego Targu. Wydajesz dyspozycje w sprawie, którą przekazałem w ręce Kopcia. Łamiesz dyscyplinę wydziału od pierwszego dnia pracy...

W pewnym momencie Zawadka przerwał wędrówkę i Rogosz odniósł wrażenie, że szef powziął już decyzję. Ale major w dalszym ciągu nie patrzył w jego stronę, otworzył drzwi prowadzące do kancelarii i przyglądał się chwilę Jance, pochylonej jak zwykle nad korespondencją.

Podniosła na szefa wzrok i nie starała się ukryć zadowolenia, kiedy usłyszała:

- Dwie kawy. Dla mnie i kapitana Rogosza!

Zawadka wyjął z szuflady pęk kluczyków i jednym z nich otworzył szafkę między półkami, uginającymi się pod ciężarem fachowej literatury. Wziął z szafki dwie „tulipanki” i butelkę koniaku. Napełnił kieliszki złocistym płynem.

- Wypij! - powiedział do Rogosza. - Starsi panowie muszą czasami pobudzać krążenie. I daj mi jeszcze chwilę się zastanowić. Niełatwo będzie rozgryźć ten orzech.

Spacerował nadal po pokoju, aż weszła Janka, wnosząc na tacce dwie filiżanki, cukier, łyżeczki. Zazwyczaj wyręczała ją w tego rodzaju czynnościach młoda pomocnica. Tym razem Janka chciała zaspokoić ciekawość. Czy doszli do porozumienia? Odetchnęła na widok dwóch opróżnionych kieliszków. A więc jednak doszli! Postawiła przed każdym z mężczyzn filiżankę i własnoręcznie osłodziła. Po tylu latach pracy to już wiadomo, jaką kto lubi kawę. Wyszła z gabinetu, a Rogosz w dalszym ciągu mieszał łyżeczką cukier, który dawno już się rozpuścił.

- Co ci powieścić... - zaczął major, cedząc słowa. - Nie zgadzam się. Nie mogę się zgodzić na wznowienie sprawy ostatecznie zamkniętej. Czy będzie ci lżej, jeżeli ci powiem, że to przekonanie podziela i mój szef. Nie twierdzę, że nie wznawialiśmy spraw NN, których zdawało się, nigdy i nikt nie rozwiąże. Razem zdecydowaliśmy się wrócić do zamkniętej negatywnym wynikiem śledztwa sprawy „Pięknej” i „Jokeya”. Ale po pierwsze: nie minęło aż tyle lat od daty przestępstwa, to znaczy zamordowania tej dziewczyny, której poćwiartowane zwłoki zostały znalezione w kuble na śmieci. A druga sprawa, to odkrycie błędu popełnionego w śledztwie. Pamiętasz? Świeżo wypastowana podłoga w niechlujnym mieszkaniu i nikomu nie przyszło do głowy zbadać przyczynę tej nietypowej dla właścicielki czystości. Biologiczna analiza treści, znalezionych pod wypastowaną podłogą, pozwoliła na zidentyfikowanie mordercy, którym był Jokey.

Przypominasz sobie tego typu? Nie wiem, czy pamiętasz, że nie trafił w końcu na ławę oskarżonych? Zdążył zażyć cyjanek, kiedy do drzwi zapukała milicja. Trzeba powiedzieć, że było to niedopatrzenie ze strony pracownika naszej służby. Komendant bardzo nie lubi, kiedy sprawca wyręcza organa sprawiedliwości.

- Sądysz, że ja nie mogłem czegoś przeoczyć? Ponoć jestem maniakiem, obsesjonistą?

- Zostaw, Zbyszek, te złośliwości. Po prostu głośno myślę. Proponuję -ci umowę. Jeżeli przyjmiesz moją propozycję, da ci to możliwość kontynuowania śledztwa bez robienia wielkiego szumu w wydziale. Posłuchaj uważnie, nim odpowiesz. Po pierwsze: przejmiesz nadzór nad prowadzeniem sprawy zabójstwa aptekarza.

- A Nowy Targ?

Major westchnął.

- Co z takim zrobić? Dobrze, niech będzie... Samobójstwo miało miejsce w podejrzanym środowisku. Niewykluczone, że można będzie przy okazji przyjrzeć się bliżej grupie tamtejszych handlarzy, z którymi było ostatnio trochę kłopotów. Powiem Jance. Niech ci wypisze delegację. I radzę ci się nie denerwować, jeżeli obie te nici nie dadzą się związać. Jest to szaleństwo. Wiesz sam. No dobrze. Sądzę, że istnieje mikroszansa, nie więcej. W każdym razie proszę, żebyś mnie informował w sprawie Oleśnicy. A co do handlarzy, wtrącamy się prawem kaduka. Daj spokój. Sam się będę tłumaczył. Jeszcze jedno. Jak ci będą wypisywać delegację, porozmawiaj chwilę z Janką. Diabli wiedzą, dlaczego ci sprzyja.

Rogosz pomyślał, że major chce przed jego powrotem do pokoju uprzedzić o swojej decyzji Kopcia.

Zawadka powiedział otwarcie:

- Chcesz mieć przeciwko sobie kolegów? Zaczynasz trudną- grę. Samotny detektyw to dobre w serialach telewizyjnych... - I poprosił Jankę, żeby połączyła go z Kopciem.

Rozdział 7

Rogosz wysiadł na małej stacyjce. Pasma gór, rysujące się niewyraźnie w oparach mgły, ostre, górskie powietrze. Chłód poranny pozwolił mu oprzytomnieć po bezsennej nocy, spędzonej w niemiłosiernie trzęsącym się pociągu. Chwilę pozostał na peronie, żeby nacieszyć się świeżością górskiego poranka, zachłysnąć czystym powietrzem i nie śpiesząc się skierował kroki w stronę Komendy Powiatowej. O tej porze nie było szansy zastania kogokolwiek poza oficerem dyżurnym.

Domki małego miasteczka, otulone mgłą, jeszcze drzemały. Rogosz przypomniał sobie ostatni pobyt w Nowym Targu z Krystyną. Janek był wówczas jeszcze dzieckiem. W czasie spaceru zadawał dziesiątki pytań. Krystyna korzystając z okazji chciała tu kupić okrycie zimowe. Nie znosił zakupów, wołał pójść w góry, ale Krystyna twierdziła, że kożuszki należy kupować latem. Chodzili od kuśnierza do kuśnierza, oglądali wyciągnięte z tapczanów baranie błamy, i naraził się w końcu żonie kompletnym brakiem zainteresowania dla koloru skóry i jakości wyprawy.

- Kupisz sobie kożuch w warszawskiej Cepelii. Trzy kroki od naszego domu. - Miał już po uszy tego krążenia.

- Co ty wiesz o życiu - gniewała się Krystyna. - Myślisz, że w Cepelii można kupić kożuszek bez protekcji? A ty się przecież nie postarasz. Za dumny jesteś, żeby prosić. Albo za wygodny. Janek i ja marzniemy drugi rok...

Może miała rację? Nie należał do zapobiegliwych ojców. A prawdę mówiąc nie kochał nigdy Krystyny. Po prostu chciał założyć dom. Mieć sprzątnięte mieszkanie, nakryty stół, kobietę, o której względy nie musi zabiegać. Dlaczego to wszystko nazywa się - przynajmniej na jakimś etapie - miłością? Czemu tak chętnie ucieka się od prawdy, ubierając ją w iluzje? W oczach rodziny, własnych i żony, był przykładnym mężem. Oddawał całą prawie pensję, pił w sposób umiarkowany. Ale wielkich wzruszeń nie doznawał ani z Krystyną, ani w związkach przygodnych, do których okazji nie brakło w jego pracy, wymagającej

poznawania wciąż nowych środowisk, podróżowania, wchodzenia w cudze, często intymne sprawy osobiste. - Z kobietami też się jakoś nie powiodło - pomyślał nie bez melancholii i nawet nie zauważył, że znajduje się pod samą komendą.

Diżurny milicjant przywitał go jak serdecznie oczekiwanego gościa.

- Pan kapitan! Komendant dzwonił, że zaraz się zjawi. Zrobimy gorącą herbatę. - Zaprowadził przybyłego do gabinetu majora.

Pokój był duży, ciemny i pełen kiepskiej zakopiańszczyzny. Laleczki góralskie, obrazki, rzeźbione talerze.

- Kto ci nawtykał tego szkaradzieństwa? - Rogosz skierował pytanie do majora, który wyspany, zaróżowiony po porannym spacerze, wkroczył do gabinetu.

- To moja sekretarka - usprawiedliwiał się, obejmując serdecznie przyjaciela. - Jej ojciec nieźle żyje z tej chałtury. Turyści wszystko kupią, szczególnie amerykańska Polonia. Jak wyjeżdżali stąd, te pamiątki były modne, przepiękniuchne. Cieszą się, że mogą ich teraz nakupić, ile dusza zapragnie... Zobacz lepiej widok z okna. Nic nie trzeba upiększać. A pstrągi? Trochę za ciężka ta pstrągówka, coś mi ją przysłał na imieniny. Jeszcze nie zdążyłem podziękować... Co cię właściwie ten cinkciarz obchodzi? Wydział zabójstw interesuje się samobójstwem Wrzosa?

Rogosz nie uważał za słuszne tłumaczyć, nawet przyjacielowi, jakie nadzieje wiąże z osobą handlarza. Zobowiązał się wobec swojego szefa nadzorować, czy też współpracować w przypadkach dwóch dochodzeń, niezależnie od wspólnego mianownika, który w jego przekonaniu te sprawy łączył. Wiedział, że najbardziej przychylni ludzie nie okażą zrozumienia dla jego uporu, z jakim poszukuje sprawców napadu sprzed przeszło 20 lat. Upływ czasu stępił oburzenie społeczeństwa, które sprawa „Konwoju” wywołała. Gorliwi czytelnicy kroniki kryminalnej emocjonowali się w swoim czasie pytaniem: kto-kogo? Czy milicji uda się schwycić sprawców

napadu, którym trafił się taki gruby kusz? Kiedy ukazała się wzmianka prasowa o odnalezieniu pieniędzy, tak zwana opinia przestała się interesować. A potem w następnych latach pojawiły się nowe, trudne sprawy. Chociażby ta w województwie krakowskim. Na szczęście sensowny człowiek, który kierował komendą, rozprawił się z dobrze zakotwiczoną mafią przestępczą Podkarpacia. Czy była jedyna? Czy tylko ona jedna działała na terenie przygranicznym, niełatwym przez swoją historię, tradycję Janosikow. Na terenie jakby stworzonym dla turystyki, ale i przemytu... Nie! Nie miało sensu mówić Jaroszkowi o nadziejach, związanych z przebrzmiałą sprawą „Konwoju”. Wolał nie ryzykować i zdecydował się na pół prawdy. Powiedział przyjacielowi, że ma pewne dane, które nakazują ostrożność w formułowaniu wniosków w sprawie śmierci Kazimierza Wrzosa. Nie jest też wykluczone, że śmierć ta wiąże się z zabójstwem w Oleśnicy.

- Podejrzewasz zadzierzgnięcie sznura cudzą ręką? - zapytał major.

- Nic nie podejrzewam - odpowiedział Rogosz. - Chciałbym zapoznać się choćby z pierwszą relacją.

- Zrobiliśmy wszystko, co należy. - Okazało się, że mieli już zeznania świadków. Jaroszek cieszył się, że może w ten sposób przysłużyć się koledze. Ale Rogosz musiał mu przyrzec, że jak skończy z cinkciarzem, pojedą w sobotę na „Rożek”.

Dał słowo. Co więcej, przyrzekł, że jeżeli zakończy pomyślnie dochodzenie w obu sprawach, które mu powierzono, bierze urlop. Pojadą wspólnie, jak dawniej, na szczupaki. Przypomniał Jaroszkowi sukcesy na Jezioraku. Brały piękne sztuki. Aż żał pomyśleć, że nieżywe tracą tyle na urodzie... Jednakże przed wyprawą na szczupaki Rogosz poprosił o relacje i zeznania świadków. Co to za ludzie?

- Poproszę porucznika Kollata - powiedział komendant. - On ma sprawę w swoim ręku. Będzie także pomocny na miejscu. Trudno, żebym się zajmował każdym waluciarzem - usprawiedliwił się przed Rogoszem. - Mam tu kupę zajęć. A telefony? Zawsze myślałem, że tylko kobiety lubią

rozmawiać przez telefon. Gdzie tam. Dzwonią do mnie cały dzień, jak nie z województwa, to z Warszawy... Ten Kollat jest dobry, można z nim pracować. Póki go nie ma, przejrzyj relację. Myślałem, że zdążę przepisać ją na maszynie. Może jednak odczytasz?

Sięgnął do teczki, żeby spośród innych dokumentów wybrać ten, którego szukał. Nie mógł dać sobie rady bez okularów. Ociągał się, nim je wydobyl ze skórzanej pochewki. Rogosz pomyślał smętnie, że czas bezlitośnie mija i pozostawia ślady. Jaroszek znalazł wreszcie kartkę gęsto zapisaną i podał przyjacielowi.

Rogosz chwycił ją gorączkowo i odczytał nie bez trudności. Porucznik Kollat był zapewne inteligentnym wywiadowcą, ale charakter pisma miał niewyraźny. Czytał, wracając do zdań, które wydawały mu się znaczące:

„Dnia 14 listopada 1975 ob. Weronika Jędral, zamieszkała w Nowym Targu przy ulicy Tatrzańskiej 3, powiadomiła Komendę Powiatową o znalezieniu na strychu domku jednorodzinnego, będącego jej własnością, zwłok swego lokatora: Kazimierza Wrzosa, syna Juliana i Stanisławy z domu Karpiel, ur. 11 sierpnia 1932 w Nadowicach, zamieszkałego Nowy Targ, ul. Tatrzańska 3, kawalera, bez zawodu, o wykształceniu średnim, notowanego i trzykrotnie karanego za handel walutą.

W toku czynności wstępnych ustalono, że Kazimierz Wrzos, który od listopada 1972 wynajmował jeden pokój na poddaszu domu Weroniki Jędralowej, u której się także stołował, popełnił samobójstwo przez powieszenie, używając do tego celu sznura o średnicy około 7mm. Jak wynika z zeznań Jędralowej, widziała ona swego sublokatora po raz ostatni w dniu 14 listopada 1975, w którym to dniu o godz. 13.30 spożył obiad, składający się z trzech dań, a mianowicie: rosółu z makaronem, gotowanego mięsa z kartoflami i marchewką. Na deser podała gospodyni kompot z jabłek. Obiad spożyła z nim razem w pomieszczeniu kuchennym i nie zauważyła u swojego lokatora odmiennego niż zazwyczaj zachowania

się, które zwrociłyby jej uwagę. "... - Rogosz ostatnie zdanie podkreślił grubą kreską i czytał dalej: - „Obserwacje Weroniki Jędralowej należy przyjmować z pewnym zastrzeżeniem, ponieważ niedosłyszysz. Twierdzi ona natomiast, że w czasie obiadu Kazimierz Wrzos mówił o projektowanym w dniu następnym wyjeździe. Zapytała go, czy jedzie do Krakowa, bo chciała go prosić o zakupienie obudowy do odkurzacza „Alfa”, ponieważ nie mogła takowej od dłuższego czasu nabyć w Nowym Targu. Lokator odpowiedział, że będzie w każdym razie przebywał w mieście wojewódzkim i z pewnością tę obudowę przywiezie. W dniu 15 listopada 1975 od rana nie widziała swojego sublokatora¹ i sądziła, że wyjechał. Zwłoki odkryła w tym dniu około siedemnastej, gdy udała się na strych po bieliznę i wstąpiła do Wrzosa, aby zapytać, czy nie zmienił zamiaru co do wyjazdu. Chciała wiedzieć, czy ma mu przygotować obiad”... - Rogosz dopisał na marginesie: Nie zamierzał jechać do Krakowa. A więc dokąd?

Do relacji Jędralowej przypięta była notatka służbowa, sporządzona przez porucznika Kollata, z której wynikało, że w związku z samobójstwem Kazimierza Wrzosa przesłuchani zostali następujący świadkowie: kobieta, z którą zmarły utrzymywał stosunki intymne, o nazwisku Irena Solarz, oraz współnik, czy raczej pomocnik w działalności handlowej, o nazwisku Mieczysław Morgut. Nadto do tej prowizorycznej dokumentacji dołączony został urzędowy papierek, wystawiony przez lekarza Pogotowia Ratunkowego w Nowym Targu, który stwierdzał zejście śmiertelne Kazimierza Wrzosa w dniu 14 listopada 1975 na skutek udanego zamachu samobójczego.

- Na wszelki wypadek - wtrącił major, widząc, że przyjaciel skończył czytać - wysłałem zwłoki do Zakładu Medycyny Sądowej. Uprzedziłem Kraków. Wprawdzie wszystkie okoliczności świadczą o samobójstwie.

Typowa bruzda wisielcza, sznur. Został zresztą zabezpieczony w krakowskiej pracowni mechanoskopii. Nie robiłbym tyle rejwachu, ale po twoim telefonie...

Do gabinetu, który nosił tę nazwę raczej z urzędowego przeznaczenia, wszedł młody blondyn w mundurze. Jaroszek przedstawił Rogoszowi najmłodszego pracownika komendy. Urodzony w Nowym Targu, znał każdego mieszkańca po imieniu.

- Znajomość z Wrzosem nie przynosi mi zaszczytu - zauważył porucznik Kollat. - Ale mam prawo się pochwalić, że środowisko waluciarzy rozpracowałem. Pan kapitan ma ponoć wątpliwości co do charakteru samobójczego zejścia?

- Nie! Tego nie twierdzę - powiedział Rogosz. - Ze względu na rozmaite okoliczności, wolałbym mieć jednak opinię eksperta medycyny sądowej. Kiedy będą wyniki sekcji?

Porucznik zapewnił, że powinny nadejść jutro. Najpóźniej pojutrze. Rogosz zaproponował, żeby opuścili gabinet komendanta. Potem zapytał Jaroszka, czy mógłby dostać jakiś ką, żeby spokojnie porozmawiać z kilkoma osobami.

- Jedyńka na parterze jest wolna. Janek! Na co czekasz? Stół, dwa krzesła. Czym chata bogata. To nie Komenda Główna. Ledwo doprosiliśmy się drugiego radiowozu.

Major pożegnał kolegę, zapewniając, że Kollat robi co trzeba, i jeszcze więcej. A wieczorem czekają na Rogosza w domu. Żeby się nie wykręcał. Żona by mu głowę oberwała...

Rozdział 8

- Od czego zaczniemy? - zapytał blondynek, kiedy znaleźli się w korytarzu.

Rogosz zdecydował, że, „posłucha” na miejscu współnika Wrzosa, owego Morguta, i Solarzównę. Kiedy będzie lepiej przygotowany, zajrzy do mieszkania Wrzosa, odwiedzą jego stryszek. Może coś im powiedzą jakieś notatki, listy. Jędralową pozostawił sobie na koniec. Musi niejedno o swoim lokatorze wiedzieć. Chciałby sobie wyrobić opinię o nieżyjącym - tłumaczył młodszemu koledze, który wciąż nie rozumiał, dlaczego i w jakim celu szukać dziury w całym, kiedy wszystko jest jasne. Ale nie chciał oponować, a Rogosz uzupełnił nadto spis

rozmówców o lekarza z pogotowia, który pierwszy dokonał oględzin.

- Opinię o Wrzocie mam przygotowaną, można powiedzieć w głowie - zapewniał porucznik. Nie brak im było w ostatnich latach okazji do kontaktów z cinkciarzami. Znali go dobrze w Nowym Targu, ale i Kraków go zapamiętał. Przerzucił się ostatnio na „Afrykanki”.- Pan kapitan ich nie widział? Tańsze są od „dwudziestek”, chociaż ważą więcej. Ale gdzie tu szukać logiki. Monety pokazały się w Krakowie, a Wrzoc lubi... - uprzytomnił sobie, że używanie czasu teraźniejszego jest nietaktem, i powtórzył: - Ten miał nosa do biznesu. Nie był takim prymitywem, jak inni. Kiedy rzucał czasem słowo, odnosiło się wrażenie, że dawniej był kimś, musiał żyć w lepszym środowisku albo co najmniej się o nie otrzeć. Niewykluczone, że jego kobieta, ta Solarzówna potrafi coś na temat jego przeszłości powiedzieć.

- Kiedy zaczynamy? - przerwał Rogosz, który zamierzał jeszcze tej nocy wyruszyć do Oleśnicy i nie miał zbyt wiele czasu do stracenia.

Okazało się, że Morgut przesiaduje o tej porze w „Warszawiance”. Gra w „krótkiego”. - Zaraz go przyprowadzę - zapewnił porucznik. - Nim pan kapitan skończy przesłuchanie, znajdę naszą miejscową pięknotkę. A co do Jędralowej...

- Postanowiliśmy ją sobie pozostawić na koniec - przypomniał Rogosz. - Do „Warszawianki” pójdziemy razem - zaproponował. - Zjem śniadanie, a wy, poruczniku, w tym czasie poszukacie Morguta.

Zdecydowali jednak po namyśle wejść do knajpy oddzielnie, żeby nie budzić sensacji. Tutejsi ludzie znali każdego miejscowego pracownika milicji. Bywa tak, że niektórzy funkcjonariusze cieszą się zaufaniem nawet w środowisku marginesu. Kryterium stanowi swoiste poczucie sprawiedliwości. Jeżeli „sprawiedliwy” pracownik milicji zamknie kolegę, mając dowody w ręku, nie szmerzą. Trudno! Każdy z czegoś żyje. Ale ludzie obcy, przybyli z komendy krakowskiej, czy z Warszawy, budzą strach. Świadczą samym

swoim pobytem w tej znającej się nawzajem socjecie, że dzieje się coś nadprogramowego, co wykracza poza niewielkiej miary przestępstwo. Wszelki zaś alarm w miasteczku był Rogoszowi nie na rękę.

Rozstali- się więc w odległości stu metrów od „Warszawianki”. Porucznik zaproponował Rogoszowi, żeby sobie znalazł stolik pod oknem, bo naprzeciw siada zazwyczaj do baka lub „krótkiego” ferajna Morguta. On sam zajdzie na rynek. Może tam go spotka. Morgut nie gardzi i pomniejszym zarobkiem. Niedawno opędzłował partię zegarków o dużych cyferblatach i krótkim życiu. Złapali cały worek, szmuglowany w okolicy Łysej Polany. Aż dziw, dlaczego nie importuje się takiego towaru, jeżeli ludzie chcą go kupować?... Wrzos był innego typu handlarzem. Miał fason. Jeżeli taka Solarzówna?...

- No to za kilka minut w „Warszawiance” - podsumował Kollat przyśpieszając kroku.

Rogosz znalazł sobie miejsce przy stoliku pod oknem i zapytał kelnera w idealnie brudnym fartuchu, czy mógłby zamówić bułki, masło, jajecznicę i szklankę mleka.

- Bar mleczny naprzeciwko - powiedział dowcipniś i zaproponował bigos, śledzika i nóżki. - Setka czy pięćdziesiątka?

Rogosz zamówił czarną kawę. Ledwie doprosił się bułek, niedzisiejszych. Za to porcja masła mogła zaspokoić apetyty wycieczki szkolnej.

Obserwował stolik, przy którym siedziała grupa mężczyzn nieźle już zaprawionych. Filowali karty. Przed partnerami leżały drobne monety, ułożone w kopczyki jak sztony, 50 groszy jako 10 złotych. Rogosz zastanawiał się, który z nich może być Morgutem? Ale nic bliższego o pomocniku Wrzosa nie wiedział.

Za kilka minut zjawił się porucznik, nie budząc tu zresztą niczyjego niepokoju. Paczka cinkciarzy od dnia samobójstwa Wrzosa zawiesiła chwilowo działalność, stosując relaks w postaci: piwo, karty. Trzeba było odczekać. Spodziewali się przesłuchań, rewizji, kto to wie, jeśli żyje się wciąż na ruchomych piaskach?

Kollat położył rękę na ramieniu młodego mężczyzny, którego krótko ostrzyżone włosy mogły oznaczać albo modnisią, albo mieszkańca czterech ścian celi w nieodległej przeszłości. Morgut - jak należało się domyślić - wstał posłusznie z miejsca, rozłożył ręce, jakby się tłumacząc kolegom, że nie z własnej winy wycofuje się z gry, a musiał być tego dnia na dużym plusie, sądząc ze sporej górkę sztonów. Zapiął nie śpiesząc się prochowiec i poszedł grzecznie za porucznikiem. Rogosz odczekał chwilę, poprosił o rachunek, nie dał z premedytacją napiwku i żegnany pogardliwym spojrzeniem kelnera „mleczka mu się zachciało” opuścił „Warszawiankę”.

W komendzie dyżurny przywitał go komunikując gorliwie, że „jedyńka” przygotowana, porucznik Kollat wraz ze świadkiem czeka u siebie, na pierwszym piętrze. - Czy mają zejść?

- Chwileczkę - przeprosił Rogosz. - Wziął klucz od pokoju, który chwilowo oddano do jego dyspozycji.

Sprawdził, czy na jego stole leży papier i przybory do pisania. Wyjął z dużej torby, przypominającej myśliwską, podręczny magnetofon, ustawił mikrofon kierując go na miejsce, gdzie znajdzie się świadek, a stolik ze sprzętem podsunął pod blat, żeby nie peszyć przesłuchiwanego. Wyjrzał z pokoju i poprosił dyżurnego o zawiadomienie porucznika Kollata, że jest na miejscu i czeka.

Kollat zaraz od drzwi zapytał, czy będzie potrzebny. Z jego bardzo młodej twarzy można było odczytać z łatwością, że mu zależy na tym, by być obecnym, chociażby ze względu na prestiż. Rogosz zapewnił, że niezbędną mu jest asysta i poprosił Morguta o zajęcie miejsca przy stoliku. Ale zaraz z pierwszych słów handlarza zrozumiał, że ten rozmówca nie wzbogaci jego wiedzy o tajemnicach w życiu Wrzosa... Jeżeli w ogóle takowe istniały? Zresztą Morgut był uparcie dyskretny: nie wie, nie słyszał, zna ledwo z widzenia. Aż Kollat nie wytrzymał, wtrącił się do przesłuchania: - Mięciu! Mów, co wiesz. „Afrykanki” nie interesują pana kapitana. To nie ten rozdział. Chodzi jedynie o samobójstwo Kazia. Może go ktoś straszył? Bał się czegoś... Nie zwierzał się przy piwku? O ciebie w ogóle tu nie chodzi. I dopiero po tych słowach porucznika Morgut ożywił się, zaczął

opowiadać nawet nie pytany:

- Owszem, handlowaliśmy razem. Papierem, czasem „dziczyzną”. Pan kapitan wie? Znaczą franki, korony szwedzkie, te rozmaitości, które na całym świecie idą, a w Polsce każdy się boi, że fałszywe. U nas ludzie wierzą w kostki. Sztabka złota to najlepsza lokata. Ale znowu badylarze wołają dwudziestki, to znaczą koła. Skąd je brać? Z ziemi. Z pewnością mają jeszcze pochowane. Ile tego złota musiało się zmarnować! Ludzie umierają, nikomu nie zawierzą. Nawet rodzina nie wie, gdzie szukać.

Rogosz przerwał ten fachowy wykład, formułując jeszcze raz pytanie, dotyczące okoliczności samobójstwa Wrzosa.

- Kazio? Jaki by nie był, ale wolty nie tolerował. Znaczą nikogo nie przewalił. W interesach był równiacha. Nie lubił, jak mu ktoś wchodził w drogę. To prawda. Czy mam jeszcze coś powiedzieć? - Morgut patrzył błagalnie na swoją miejscową „władzuchnę”. Porucznik był wciąż surowy. Oj, niedobrze. Zeznawał więc dalej: - Co wiem? Że uderzył w kalendarz, znaczą przekręcił się. Wola boża. Może przez Irenę? To dziwka! Fartowała chyba od przedszkola. Ale Kazio nie był z tych, co przez baby łyżę rzesiste leją. To nie ten przypadek, panie... - Znowu spojrział na porucznika: - Jak mówić? Panie prokuratorze?

- Mięciu! Przestań odstawiać durnia - rozżłościł się porucznik. - Dobrze wiesz, że rozmawiasz z kapitanem Komendy Głównej. Co ty ukrywasz przed nami? Gadaj zaraz!

- Może powiem o tej babce - Morgut spróbował nowego tematu. - Żeby tylko zostało między nami. Jakby doszło do niej, że dałem chleba, znaczą sypnąłem, już po mnie. Można o Irenie?... Najwięcej lubiła Arabów. Dwóch tu do niej przyjeżdżało. U nich forsy jak lodu, bo sikają ropą. Takiego samochodu jeszcze w Nowym Targu nie widzieli. I prosto do niej. Wynosili walizki z samochodu, sam widziałem. Z pewnością szmal. A dzień później pokazały się na rynku krugerendy.

Kollat uważał za stosowne wyjaśnić, że krugerendy nazywają

tu także „Afrykankami”. Z reguły pochodzą od arabskich turystów... Porucznik spojrział na kapitana i zrozumiał, że niespecjalnie interesuje go złożona problematyka handlu złotem. Właściwie nie bardzo wiedział, o co temu warszawiakowi chodzi. Na wszelki wypadek krzyknął do Morguta, żeby przestał się zgrywać i wreszcie powiedział wszystko, co wie o Wrzosie. Do kogo jeździł?

I Morgut stawał się coraz bardziej niespokojny. Znał nie najgorzej mechanizm działania służby kryminalnej. Jak przyjeżdża z Warszawy kapitan do Nowego Targu, nie jest dobrze. Czy ten Kazio nie wplątał się przypadkowo w politykę?... Uderzył w szczerość:

- Kazio był zawsze skryty. Wiedziałem, że jak mnie porucznik z samowaru, znaczy z „Warszawianki” zabiera, coś się dzieje. Ale żeby się miał przed księdzem na śmiertelnym łożu spowiadać, nie wiem, dlaczego Wrzos ze sobą skończył. Nosilem za nim kieszeń, jak byliśmy w Krakowie. Tyle o nim wiem. „Japa”... Panowie go znają? Największy waluciarz w Warszawie mógłby się jeszcze u niego uczyć. Ale żeby się polityką zajmował?... Mogę tylko powiedzieć, że lubił hazard, wyścigi, babki. Kto nie lubi?

Ku zdumieniu porucznika Rogosz zapytał świadka, czy Wrzos nie opowiadał o swoim pobycie w Warszawie w czasach młodości.

Po lichu mu ta wiadomość - pomyślał Kollat, ale Morgut stanowczo zaprzeczył. Twierdził, że jego patron nie lubił zwierzać się, a w ogóle nie ma u nich takiego zwyczaju, żeby sobie opowiadać życiorysy. Jeżeli nastają, mógłby powiedzieć tylko, że nie był to dobry człowiek. Nie chce już niczego ukrywać, ale była kiedyś taka sprawa: poszedł siedzieć za Wrzosa. Bo kiedy on był od trzymania kieszeni, znaleźli przy nim sztabki, ale Wrzos szedł przodem, był czysty, nic przy sobie nie miał. I tak było umówione. W razie czego, nie znają się. W porządku, jak jest dogovor.

- Chleba nie dałem, nie puściłem pary. Ta Irena napisała do więzienia, że będę dostawał pieniądze i paczki, a moja żona dwa patyki miesięcznie. Nie dostała grosza, a mnie nie

starczało na wypiskę. Jak wyszedłem, wspomniałem coś Wrzosowi, że to nie tak. Dał mi po gębie i radził się nie upominać.

- Ale że nieźle przy nim zarabiał, pracowali dalej razem.

Kollat wyrzał na korytarz. Wrócił i zakomunikował Rogoszowi, że jest już następny świadek. Szafa grała! W tej sytuacji kapitan uważał za słuszne zakończyć przesłuchiwanie Morguta. Świadek sprawiał na nim wrażenie człowieka wyjątkowo ograniczonego. Więcej nie powie, bo nie wie. A na domysły go nie stać.

Morgut wstał uszczęśliwiony, że magiel się kończy i dla podkreślenia swojej skrupulatności dorzucił na odchodnym:

- Ostatnio Wrzosa nie było przez jeden dzień w Nowym Targu.

Rogosz aż się poderwał. - Kiedy? - przecież pytał o te wyjazdy tyle razy.

- Pan kapitan pytał o pobyt w Warszawie sprzed wielu lat. Kazio wyjeżdżał często, miał sprawy. Z Nowego Targu się nie wyżyje. Tego tygodnia to chyba pojechał w poniedziałek... - Kollat podszedł do kalendarza i obliczył, że wypadło to 10 listopada. I widząc, że wreszcie wzbudza zainteresowanie, Morgut przypomniał sobie, że patron jeszcze jakiegoś dnia zniknął z miasteczka. Ale w piątek wrócił. Wie dokładnie, bo miał do niego interes. Zaczepił go na rynku, a Wrzos powiedział, że spotkają się w sobotę.

- Kiedy się umawiał na sobotę, był niespokojny? Denerwował się wtedy, ostatnim razem?... - Rozmowa z Morgutem była niełatwa. I tym razem nic więcej nie mógł sobie przypomnieć. Wrzos lubił zadzierać nosa, a jeśli chodzi o nerwowość - to normalne. Takie mieli życie.

Nie planowałyby spotkania na sobotę, gdyby nosił się z zamiarem samobójstwa - pomyślał Rogosz. Ale na nic tu były wszelkie domysły. Trzeba było czekać na wyniki sekcji.

- Wracajcie do czajnika - zwrócił się do świadka. Znał ten żargon waluciarzy nie gorzej od młodego porucznika. Nie chciał się nim posługiwać, chociaż wiedział, że znajomość tego specyficznego słownictwa zwiększa szansę

porozumienia się z osobnikiem tak prymitywnym jak Morgut. - Gdybyście coś słyszeli o tych podróżach, dokańd, z kim wyjeżdżał, przyjdźcie do porucznika - rzucił mu na pożegnanie. - Jeżeli wiadomość będzie ważna, policzymy to wam następnym razem... na waszą korzyść.

Morgut udał, że nie rozumie aluzji, dotyczącej prognozowania jego przyszłości. Ucieszony „przyjaznym” zakończeniem rozmowy, znikł prędko za drzwiami i po chwili można było z okna dojrzeć, jak przyśpieszał kroku kierując się w stronę knajpy. Przy „samowarze” czekali koledzy. Miał do odebrania sztony. Tego dnia wygrywał. Swoją drogą nie rozumiał, do czego potrzebna im była wiadomość o młodych latach Wrzosa. A jeżeli chodził co niedziela do kościoła? To co, policzą mu to w niebie? Wszedł do „Warszawianki”, zobaczył znajomych przy stoliku i od razu poczuł się lepiej...

Do jedyńki zapukała wysoka, bardzo przystojna, świetnie ubrana kobieta w wieku trzydziestu-trzydziestu dwóch lat. Wyglądała na modelkę z magazynu kategorii „S”. Zwróciła się do Kollata:

- Pan mnie chciał zobaczyć, poruczniku? - Pytanie zadała grzecznie i bez natrętnej kokieterii, nieodłącznej od profesji, którą się zajmowała.

Kollat nie patrząc w stronę ślicznotki powiedział surowo: - Chodzi o Kazimierza Wrzosa.

Udała, że dopiero teraz spostrzega drugiego mężczyznę.

- To pan mnie wzywał?

- Imię, nazwisko, rok urodzenia, zawód – powiedział chłodno Rogosz. I poprosił kobietę o zajęcie miejsca.

Oceniła przychylnym spojrzeniem urodę obcego, który chociaż należał do innego świata, nie przestawał być mężczyznę, i to wcale interesującym. Zdjęła płaszcz, wieszając go starannie na stojaku. Ubrana była w stylu prawie młodzieżowym, twarz bez natrętnego makijażu. Rogosz pomyślał: Skąd taka babką do cinkciarza z Nowego Targu? Ale głośno powtórzył pytanie: - Miejsce zamieszkania, zawód?

Ociągała się z odpowiedzią.

- Czekam - przynaglał Rogosz. Wymieniła nazwisko, imię.

Miejsce urodzenia - Kraków. Rok 1946. I zamilkła.

Kollat rzucił pytanie brutalnie, wywołując pewien odruch sprzeciwu u starszego kolegi.

- Od jak dawna chodzisz w miasto?

Poczuła się urażona.

- Po co tak? - zachnęła się. - Zresztą niech będzie. Interesują mnie zagraniczni goście. Jeżeli już...

- A Wrzos?

Milczała. Kollat wyjaśnił rzeczowo, że samobójca był jej kochankiem i sutenerem. Okradali wspólnie cudzoziemców. Zwrócił się do Ireny: - Przypomnij no sobie, ile razy zatrzymała was obyczajówka w „Cracovii”?

Rogosz zrozumiał, że porucznik przyjął świadomie taktykę prowokacji, która zresztą odniosła natychmiastowy skutek. Solarzówna wypadła z roli damy. Czerwona z wściekłości twarz straciła delikatną karnację, utrzymywaną zagranicznym tonikiem. Wrzasnęła:

- To wyście go wykończyli! Łobuzy! Powiesiliście go. Zaraz wiedziałam. Był w dobrym humorze. Wszystko mu szło. Ani mu było w głowie kończyć z życiem. Mieliście z nim porachunki! Mordercy!

Rogosz z obowiązku i bez przekonania uprzedził rozwścieczoną kobietę, że za oszczerstwo grozi paragraf. Nie wolno obrażać funkcjonariusza milicji, choć rozumie jej wzburzenie. Chwilę milczał pozostawiając Irenie czas, żeby się uspokoiła.

Solarzówna w sposób typowy dla kobiet, tego zawodu, w którym roi się od histeryczek i psychopatek, uspokoiła się natychmiast. Powiedziała niemal pokornie: - Wybaczy pan prokurator...

Zwrócił jej uwagę, że odpowiadając na pytania, nie musi uwzględniać stanowiska ani stopnia służbowego przesłuchującego ją funkcjonariusza. Jeżeli jednak chce wiedzieć koniecznie, jest kapitanem Komendy Głównej. Czy byłoby możliwe, ażeby zeznawała w sposób rzeczowy?

Naturalnie! Nie zaprzecza, że żyła z Wrzosem. I pracowali razem. Kiedy jej klienci potrzebowali pieniędzy polskich,

korzystali z pośrednictwa Kazia. Nie oszukiwał, miał u nich dobrą markę. Czy tak wygląda sutener? Otworzyła torebkę, wyjęła z niej kilka zdjęć formatu pocztówkowego. Była tam i mała dziewczynka w białej sukience do komunii, jakies wysztafirowane przyjaciółki oraz fotografia mężczyzny w średnim wieku: szczupły, wysoki brunet, którego zdobyły bokobrody, zaczesane starannie do przodu. Typ prowincjonalnego lowelasa, gdyby nie wyraz ust, wąskich, zaciętych, świadczących o niełatwym charakterze cinkciarza. Chyba jednak nie był takim aniołkiem, jakim przedstawiła go kochająca przyjaciółka... Rogosz manewrował w ten sposób zdjęciami, by zwracając inne pozostawić sobie fotografię Wrzosa.

- Ciągłe kłamiesz!

Kollat nie mógł się zmusić, by zwracać się do Solarzówny per pani, chociaż czuł przez skórę, że kapitan z Warszawy tego nie pochwała. Co tamten wiedział o Solarzównie? Zalaża im tu w Nowym Targu nieraz za skórę.

- Przypomnij sobie - powiedział - jak przyszedł do mnie na skargę. Oszukał twojego Murzyna, co ci dał dwudziestkę, i jeszcze mu groził milicją. Ciebie ten czarnuch obił, a Kazio zatrzymał forszę. Czy to jeden raz?

Solarzówna powiedziała z całą powagą, że nie czas teraz na rozliczenie. Kazio nie żyje. Niech mu ziemia... i nie kończąc błogosławieństwa wróciła do poprzedniej tezy. Nie wierzy w samobójstwo. Wie, że był łobuzem, ale w gruncie rzeczy był do niej przywiązany. Nie należał jednak do tych, którzy się łamali, czy też chcieli zrezygnować z życia. Przeciwnie. Podczas ostatniego spotkania roztaczał jakies plany i wyraźnie przewidywał zmianę w ich życiu na lepsze. Nie! Ktoś go musiał wykończyć!

Trzeba było kuć żelazo, póki gorące. Czy mogłaby poprzec swoje przypuszczenie jakimś dowodem, czymś nazwiskiem?

Niestety! Nigdy nikomu się nie zwierzał, a ona nie pytała. Lepiej mniej wiedzieć, niż potem gryźć się w język, żeby nie dać komuś chleba. Może tylko tyle powiedzieć, że nie znosił sprzeciwu i był pamiętliwy. Wolala się zawsze z nim zgadzać i

ustępować.

- A w dniu 12 listopada widziała go pani?

Kollat, który nie znał daty zamordowania aptekarza z Oleśnicy nie rozumiał, dlaczego Rogosz uczeplił się tej dacie. Ale to zwrócenie się per pani wyraźnie ucieszyło Solarzównę i przypomniała sobie z miejsca, że tego dnia nie było jej w Nowym Targu. Siedzi więcej w Krakowie, gdzie dysponuje apartamentem. Ostatnie słowo wypowiedziała nie bez dumy. Okazało się, że jeden z jej przyjaciół, rodem z Kuwejtu, płaci czynsz za mieszkanie za cały rok z góry. A przyjeżdża raz na kilka miesięcy. Zawsze zresztą uprzedza ją depeszą. To obyty człowiek i zna życie. Chce tylko, żeby w dniu jego przyjazdu czekała w apartamencie i przygotowała kolację jak się patrzy. Za wydatki zwraca oddzielnie. Podobno ma jeszcze kilka przyjaciółek w różnych stronach świata. Stać go na to. Był u niej od 12 do 14 listopada. Wolałaby, żeby nie sprawdzali jej alibi. Jeżeli jednak chcą koniecznie...

Rogosz pomyślał z przekąsem, że między jednym a drugim pobytem „szejka” w małym mieszkanku, nazywanym zapewne na wyrost apartamentem, musiało się coś niecoś dziać. Ponieważ jednak nie dla obserwacji obyczajowych przesłuchiwał Solarzównę, nie pozwolił na rozbudowywanie tematu „szejka z Kuwejtu”. Oczywiście, w normalnych warunkach dobrze jest dać się świadkowi wygadać na każdy temat. W potoku słów można wyłowić wówczas jakąś prawdę istotną dla śledztwa. Ale tym razem brak czasu nie pozwalał na dygresje. Poprosił Irenę, żeby się skoncentrowała na problemach następujących: o czym Wrzos w ostatnich dniach wspominał? Czy nie spodziewał się wizyty? Może obawiał się konkretnej osoby i zdradzał z tego powodu nadmierną nerwowość?

Rogosz był świeżo po lekturze książki Forsytha, pt.

„Dzień Szakala”, w której wysoki urzędnik zwierza się podstawionej przez morderców kochance z najbardziej sekretnych informacji. Mężczyźni wykorzystują w grze miłosnej wszystkie swoje atuty. Czy Wrzos nie przechwalał się swoją awanturniczą przeszłością... A jeżeli nie miał żadnych

tajemnic? Jeżeli był tylko zwykłym, pospolitym handlarzem, dorabiającym na sutenerstwie. A on, doświadczony pracownik służby śledczej, tworzy wyssane z palca wersje...

- Nie miał żadnych kłopotów. Może czasem, jak to w tym fachu. Może kiedyś, ale to bardzo dawno temu. Wspominał o zawodzie, który mu sprawiło życie czy jakiś przyjaciel. A może ktoś z rodziny? I że wszystko potoczyłoby się inaczej...

- Rogosz podkreślił ostatnie zdanie, a kobieta mówiła dalej:
- Pyta pan, o czym rozmawialiśmy. O czym mówi kobieta z mężczyzną?

O miłości. Pan się uśmiecha, panie kapitanie... Gdyby nie to, że jestem tutaj od pana zależna, powiedziała- bym, że nie zna pan życia. Oczywiście, interesy załatwiała się także, z czegoś trzeba żyć, ubrać się... Kazik nie był nerwowy, kiedy spędzał czas ze mną. Zawsze mi to powtarzał: „Działasz na mnie jak balsam ”. -Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła kompletnie suche oczy. Spojrzała na przesłuchującego z prawdziwym wyrzutem. I jeśli istotnie bywają fałszywe i szczerze spojrzenia, jej wzrok wyrażał szczerą i tylko szczerą.

- Niechże pan pomyśli. Przecież ja tu jestem pańską sojuszniczką. Powiedziałabym wszystko, o co pan pyta i wszystko inne, co mogłoby być ważne. Byliśmy związani z Kazikiem długie lata. Był mi bardzo oddany. Dlaczego miałabym cokolwiek ukrywać przed panem? - W jej słowach brzmiało przekonanie i coś ważniejszego - logika.

Zapytał na koniec, czy jej przyjaciel nie objawiał w ostatnim czasie depresji z powodu stanu zdrowia. Samobójstwo mogło być spowodowane ciężką, nieuleczalną chorobą.

Irena zaprzeczyła. Narzekał na nieżyt, nadkwasotę. Była z nim u lekarza. Przepisał mu dietę, a Jędrasika dbała o niego jak o własnego męża. Miał do tej kobiety wielkie zaufanie, nie wiadomo właściwie z jakiego powodu. Ta baba dobrze знаła jego kontakty i z pewnością wie, gdzie trzymał swoje pieniądze.

Należało sądzić, że bezinteresowna przyjaciółka Wrzosa nie zrezygnuje łatwo z odzyskania tego szmalu. A swoją drogą Jędralowa będzie chyba cennym świadkiem . Rogosz zdecydował się zakończyć pierwsze przesłuchanie Solarzówny i

poprosił Kollata o wyprowadzenie jej z budynku. Kiedy po chwili porucznik wrócił, powiedział mu, że chciałby chwilę popracować sam. Umówił się z Kollatem za pół godziny. Zamierza udać się do mieszkania Wrzosa. Jędralową przesłuchają na miejscu...

Po wyjściu Kollata kapitan nastawił dźwigienkę magnetofonu, odkręcił do zerowego punktu taśmę i przesłuchał nagrany tekst obu zeznań. Niewiele z nich można było wydedukować. Zapisał w brulionie pod nazwiskiem „Kazimierz Wrzos”, kilka uwag: „Pamiętliwy, chytry na pieniądze, niełojalny”. W nawiasie wpisał nazwisko świadka. „Po co by się umówił na sobotę, jeżeli nosił się z zamiarem samobójstwa?” Znowu Morgut. Wypowiedź Solarzówny: „Musiał kiedyś przebywać w lepszym środowisku”... „Mówił jej, że życie sprawiło mu zawód, że mogło się potoczyć inaczej” i jej zapewnienie, że w dniu 12 listopada był nieobecny w Nowym Targu.

Możliwe, że pojechał do Oleśnicy. Pojechał albo i nie. Zamknął brulion i pomyślał trzeźwo, że znajduje się nadal w punkcie zerowym. Schował skromny dorobek dnia do teczki, którą otrzymał z okazji dwudziestu lat pracy w milicji, i poszukał Kollata, żeby udać się wraz z nim do mieszkania Wrzosa.

Szli wąską uliczką od rynku w kierunku niewielkiego domu, który służył dwóm jednoosobowym rodzinom: półgłuchej kobiecie i znanemu w okolicy waluciarzowi. Zapukali do drzwi, na których widniała zardzewiała tabliczka: „Weronika Jędrał. Właścicielka”. Nikt nie otwierał. Pukali coraz energiczniej, ale w całym domu panowała w dalszym ciągu cisza. Stukanie zwróciło uwagę właściciela sąsiedniego segmentu. Jakiś staruszek wyszedł przed dom i wzburzony hałasem krzyknął gniewnym głosem: „Ciszej tam! Hołota!” - Musiał mieć kiepski wzrok, bo dopiero zrobiwszy w ich kierunku kilka kroków, rozpoznał dobrze mu znanego funkcjonariusza milicji. Od razu zamilkł: - Co się dzieje, panie poruczniku?

- Szukamy Jędralowej. Nie widział pan, czy poszła do samu?

Staruszek wcale się nie dziwił, że milicja poszukuje pani Weroniki. W Nowym Targu samobójstwo znanego waluciarza, króla podziemia, stanowiło sensację. Przynajmniej do następnych awantur, które rozgrywały się regularnie wśród bywalców „Warszawianki”. Co do Jędralowej staruszek był skłonny sądzić, że gdzieś wyjechała, i to chyba wczoraj. Nic mu o tym wyjeździe nie wspominała. Swoją drogą dziwne to nawet, bo spotkali się rano przy sprzątaniu chodników. Wieczorem zauważył mężczyznę, który dobijał się do drzwi. Jędralowa wyszła do niego, po czym wróciła do mieszkania i drugi raz się pokazała, ale już w płaszczu. Jakby się wzbraniała, ale mężczyzna wziął ją energicznie za ramię i razem oddalili się. Chyba w kierunku dworca.

Kollat spojrział na kapitana, zaniepokojony obrotem sprawy, która mogłaby uzasadniać jakieś podejrzenia Rogosza. Bo przecież to jasne, że z powodu czyjegoś samobójstwa nikt by z Warszawy nie przyjeżdżał.

- Idziemy do mieszkania Wrzosa - powiedział kapitan. - Spodziewam się...

Kollat ubiegł pytanie, wyjaśniając, że zaraz po telefonie z Warszawy komendant kazał zapieczętować drzwi. Nikt tam nie mógłby się dostać, chyba... Obaj pomyśleli, że jeżeli porwanie, czy nagły wyjazd właścicielki związany jest ze śmiercią Wrzosa, niewykluczone, że był ktoś zainteresowany w zatarciu śladów. Nietrudno byłoby złamać urzędowe pieczęcie.

Nic podobnego się jednak nie zdarzyło. Na stryszek dostali się bez specjalnych trudności, przez ganek. Drzwi do pokoju Wrzosa pozostały nienaruszone. Porucznik wyjął z torby obciążki, przeciął plombę i znaleźli się w dość wygodnym pomieszczeniu, adaptowanym na mieszkanie. Tapczan zarzucony poduszkami, harmonizujące kolorem kotary świadczyły o upodobaniach kobiety, która tu bywała. Jakiś nieprzyjemny zapach zwrócił uwagę wchodzących. Okazało się, że to zepsute ser, który pozostał na stole, nakrytym kolorową serwetą. Obrósł pleśnią i wydzieliał silny odór po dwudniowym dojrzwaniu w dusznym cieple. Na stole stała też nie dopita herbata, w której rozmiękł płatek cytryny. Paczka biskwitów

była ledwie napoczęta. Na talerzyku rozmasało się masło.

- Wszystko to znajdzie pan kapitan w protokole - przypomniał Kollat. Ale Rogosz notował skrupulatnie każdy szczegół w pamięci. A więc na pewno była to kolacja, jak widać-dietetyczna. Potwierdzało to zeznania Solarzówny o dolegliwościach żołądka, na które cierpiał jej opiekun. Nie mógł więc pić, przynajmniej nadmiernie. Wniosek: nie mogło być mowy o samobójstwie popełnionym w stanie oszołomienia alkoholowego lub - co się jeszcze częściej zdarza - na kacu. Ale czy byłby w ogóle w stanie spożywać spokojnie posiłek, planując własną śmierć... Ostatnie spostrzeżenie uznał za istotne.

W dalszym ciągu zbierał szczegóły, które pasowały lub też nie zgadzałyby się z jego hipotezą. W pokoju panował ład. Ani śladu walki. Taki typ jak Wrzos nie da się łatwo usunąć z listy żyjących. A więc może lekarz pogotowia orzekł prawidłowo? Spojrzał na sufit. Zauważył wspaniałe modrzewiowe bale w pochyłym stropie. Piękne drzewo. Trudno dziś o takie wnętrza, kiedy obowiązuje ochrona naturalnego środowiska. Stara Weronika budowała pewnie swój dom w czasach, kiedy nie dyskutowano na temat ochrony, za to istniało środowisko.

Kollat wskazał belkę, na której wisiał sznur, zaciśnięty na szyi denata. Kapitanowi wydało się, że pozostały na drzewie otarcia, być może właśnie od sznura. Ale zapisał tę obserwację ze znakiem zapytania, notując na marginesie uwagę: Sprawdzić! Technik mechanoskopii!

Jeden tylko mebel świadczył o dramacie, który się w tym pomieszczeniu rozegrał. W kącie pokoju leżał przewrócony taboret kuchenny.

- Odtrącił taboret i zawisł. Tak by należało sądzić - powiedział niepewnym głosem porucznik, ponieważ nie bardzo wiedział, co sądzi o tym kapitan. Rogosz podszedł do stołka, oglądał go uważnie i zanotował zabrudzenie na bocznej deszczulce. Zapytał jeszcze Kollata o bokobrody. Czy Wrzos nosił je, kiedy znaleziono go nieżywego? Porucznik odpowiedział twierdząco. Widział denata, kiedy zabierano go na sekcję. Zresztą nigdy ich nie golił.

Wiadomo dlaczego. Porznął się kiedyś w więzieniu na znak protestu w związku z zarządzeniem naczelnika, które nie było po jego myśli. Miał gwałtowne usposobienie. Po tym okaleczeniu pozostał brzydki ślad, a że Wrzos był próżny, krył go zarostem.

Kapitan przekreślił znak zapytania, postawiony przy słowie bokobrody, po czym zaplombowali starannie drzwi do stryżka. Zapukali do sąsiedniego domku, prosząc staruszka, żeby powtórzył pani Weronice, jeżeli wróci, że ma zgłosić się do komendy.

Kiedy tam powrócili, dyżurny milicjant powiadomił ich, że komendant pytał o nich i czeka u siebie w gabinecie.

Jaroszek zaraz na wstępie podał przyjacielowi telefonogram z krakowskiej komendy. Informacja dotyczyła sznura przesłanego do analizy. Okazało się, że zawierał nietypową ilość nici. Zamiast 156 - o trzystaście mniej.

Rogosz połączył się z pracownią mechanoskopii w Krakowie. Tak jest. Wyjaśnili do końca sprawę sznura i wysłali pismo do komendy w Nowym Targu. Chodzi o wyjątkowy zbieg okoliczności. Telefonowali do jedynej fabryki tego rodzaju sznurów, która znajduje się w Bydgoszczy. Powiedziano im, że uszkodzona maszyna wyprodukowała niewielką ilość wybrakowanego towaru. Sznur składa się normalnie z 13 splotów, a każdy ma po 12 nici. W tej uszkodzonej partii nici było 11. Kontroler techniczny puścił towar do handlu, uważając, że nadaje się do użytku. Rogosz mimochodem wtrącił, że kontroler chyba miał rację, skoro sznur utrzymał ciężar człowieka.

- Tak jest - powiedział technik mechanoskopii i wyjaśnił, że pozwolił sobie sam zebrać dalsze informacje. Dzwonił do centrali handlowej. Powiedziano mu, że wybrakowaną produkcję, wycenioną zresztą o kilka złotych taniej, przekazano do sprzedaży hurtowni wrocławskiej.

- Zgadza się - powiedział Rogosz ku zdziwieniu technika i poprosił, żeby następnego dnia przysłali mechanoskopa do Nowego Targu. Chodzi o ślady w postaci zabrudzeń, ujawnione na taborecie. Buty nieżyjącego zabezpieczono na

miejscu. Nie! Zwłoki zostały przesłane do Zakładu Medycyny Sądowej. Poprosił także, by technik zwrócił uwagę na belkę. Znalazł nieznaczne ślady. Czy podejrzewa ... Nie, nic nie podejrzewa. Ustala prawdziwą wersję śmierci. I odkładając słuchawkę na widelki pomyślał, że nie jest szczery przed samym sobą, ponieważ próbuje owymi enigmatycznymi śladami potwierdzić własną tezę. Pocieszył się, że postępuje jednak zgodnie z zaleceniami szefa. Szuka przecież prawdy o wydarzeniach dziejących się obecnie, a nie o tych sprzed dwudziestu lat.

Kollat zapytał, czy jest jeszcze potrzebny. Ale komendant chciał jak najprędzej pozostać sam z Rogoszem i kiedy porucznik zamknął za sobą drzwi, zawołał prawie radośnie: - No to koniec na dziś! Jedziemy do mnie. Panie czekają. Marysia zaprosiła na wieczór koleżankę z pracy. Pierwszorzędną babka. I nie taka znarowiona, jak te warszawianki. Zna się na gospodarstwie, lubi dom. A jednocześnie wykształcona, obyta

- Nic z tego! - Rogosz raczej udał zmartwionego. - Żałuję, ale musisz panie przeprosić. Mam pociąg za pół godziny. Dwie przesiadki. W Krakowie i we Wrocławiu. Muszę być jutro rano w Oleśnicy. Wolałbym dziś nic więcej nie mówić. Wrócę chyba pojutrze i zatelefonuję od razu. Zależy mi bardzo na wyniku sekcji. - I przekazał pozdrowienia dla nieznannej, a z pewnością interesującej koleżanki Marysi. Wiedział, że przyjaciele chcą go na gwałt żenić, a nie kwapił się bynajmniej do zakładania nowej rodziny...

Rozdział 9

Bezsenna noc w pociągu mnoży niewesołe myśli. Podróż była wyjątkowo męcząca. Pociąg z Nowego Targu spóźnił się, pozostawiało zaledwie kilka minut do odejścia następnego, który miał zawieźć Rogosza do Wrocławia. Biegł szukając właściwego toru, który miał inny numer, aniżeli zapowiedziany. W ostatniej chwili zdołał wskoczyć do wagonu. We Wrocławiu znowu przesiadka i w drodze do Oleśnicy,

umęczony komplikacjami jazdy, zaczął wątpić, czy w jego uporczywych poszukiwaniach można by się na usprawiedliwienie doszukać choćby szczypty zdrowego rozsądku. Przynajmniej w tej części, która dotyczyła dalekiej przeszłości. Zaryzykował w pierwszych dniach pracy w nowym wydziale postawić hipotezę o związku między dwoma przypadkami. Co je łączyło? Wiek ofiar, data śmierci, z których jedna nosiła charakter samobójczy. A może Wrzos rzeczywiście zdecydował się odebrać sobie życie? Zastanawiający był brak motywacji. Zeznania świadków nie sugerowały depresji. A jeżeli nagle po zjedzeniu biskwitu, wypiciu szklanki herbaty, doszedł do wniosku, że życie nie ma żadnego sensu? W takim przypadku „oś” Nowy Targ - Oleśnica musi się załamać. Zresztą już niedługo wszystkie te przewidywania mogą wziąć w łeb albo i nie. Sekcja odpowie na pytanie: zabójstwo czy własna decyzja? Czy odpowie? W jego przekonaniu pewien procent zgonów zarejestrowanych jako samobójstwa mógłby budzić wątpliwości. Słuchał niedawno referatu znakomitego kryminologa, profesora Hołysta który tego rodzaju hipotezę przyjmował jako fakt bezsporny. Nawet technika nie jest idealnym probierzem. Szczególnie wtedy, kiedy po długim czasie znajduje się zwłoki człowieka na dnie rzeki. Więc istnieją zabójstwa doskonałe? Albo nie zawsze doskonale działają organa ścigania? Lub też zawodzi szczęście, które przeciwnikom służby śledczej powinno sprzyjać. A szczęście to zarówno przypadek, jak i „nos”, czyli intuicja. A ta z kolei podbudowana jest latami doświadczeń. Faktem jest, że to on pierwszy zwrócił uwagę na zabrudzenie taboretu, który znaleźli w pokoju Wrzosa. Jakby drobiny ziemi pomieszaney z cementem czy też innym białym proszkiem. Jeżeli nie ma to związku z butami Wrzosa... To znaczy gdyby nie on kopnął stołek, a ktoś inny - fingując czyn samobójczy... Zdecydował, że tym razem, jeżeli mechanoskopia nie potwierdzi jego podejrzeń, wynikających jedynie z intuicji, pójdzie do Zawadki, przyzna mu rację, przeprosi Kopcia, że mu „poderwał” sprawę i nie podejmie więcej żadnej inicjatywy. Będzie spełniał zlecenia szefów i to wszystko. Jakoś doczeka emerytury.

Ale zaraz po przekroczeniu progu Komendy Powiatowej w Oleśnicy odpłynęło zmęczenie. Był zdecydowany kontynuować śledztwo aż do wykrycia prawdy. Porucznik Płaczkowski, który prowadził działania operacyjno-śledcze, pracował sprawnie. Sekcja, dokonana błyskawicznie w Zakładzie Medycyny Sądowej we Wrocławiu, potwierdziła wyniki wstępnych oględzin. Bronisław Markowski zginął powieszony na sznurze zaciśniętym cudzą ręką.

Działania operacyjne, jeżeli dotyczą zabójstwa, uzyskują w wydziale kryminalnym z miejsca prawo pierwszeństwa. Porucznik Jerzy Płaczkowski stał się nagle osobą bardzo ważną mimo młodego wieku i jeszcze bardziej młodzieńczego wyglądu. Razem z nim pracowali na miejscu dwaj eksperci z wydziału wrocławskiego. Porucznik był bardzo przejęty śmiercią Markowskiego i dostarczył Rogoszowi - o którego przyjeździe powiadomiła go Warszawa-wstępnej relacji, dodając, że za kilka godzin będzie mógł służyć pełniejszą dokumentacją. Protokół oględzin przepisywali właśnie na maszynie. Kazał sporządzić o jedną kopię więcej, kiedy dowiedział się o przyjeździe Rogosza.

Rogosz wziął do ręki kartkę papieru, która rozpoczynała się od słów: „Relacja ze sprawy zabójstwa Bronisława Markowskiego, dokonanego w dniu 14 listopada 1975 w Oleśnicy”. I od nowego wiersza:

„W dniu 14 listopada 1975 r. około godz. 22.30 ob. Barbara Markowska zam. w Oleśnicy przy ul. Parkowej 17 m 5 powiadomiła KPMO o znalezieniu w pomieszczeniach apteki nr 9 w Oleśnicy przy placu Wolności zwłok swego męża Bronisława Markowskiego, lat 43, kierownika tej apteki. Ustalono, że Bronisław Markowski w tym dniu miał wrócić z pracy do domu około dwudziestej. Zaniepokojona jego nieobecnością żona udała się do apteki, stwierdziła, że drzwi wejściowe są otwarte, weszła do środka i tam, w pomieszczeniu na zapleczu sali aptecznej, natknęła się na zwłoki męża. W wyniku przeprowadzonej w dniu 15 listopada sekcji zwłok, ustalono, że przyczyną śmierci Markowskiego było

zadzierzgnięcie sznurem o średnicy 5-7 mm. Sznur ten, którego pojedyncze sploty, utrwalone zostały na bruzdzie wisielczej denata, został odnaleziony w dniu 16 listopada w pojemniku na śmieci w pobliżu dworca kolejowego. Śmietnika nie opróżniano od dnia 13 listopada. Z informacji, udzielonej funkcjonariuszowi MO przez Zakład Oczyszczania Miasta (dział eksploatacji) wynika, że na skutek reorganizacji zmuszeni byli wysyłać na miasto, celem dokonania czynności sprzątania, zmniejszone ekipy pracownicze, które nie były w stanie opróżnić w dniach od 13 do 16 listopada 75 pojemników w tej części miasta. Kierownictwo Zakładu wyciągnęło z faktu karygodnego zaniedbania wnioski natury organizacyjnej (pismo nr 54/76)..."

- Historia się powtarza - zauważył Rogosz, zwracając się do Płaczkowskiego. - Znów coś zawdzięczamy przypadkom. A właściwie niedbalstwu i niechlujstwu sprawy. Śmieci umożliwiły pościg! Można by tomy napisać o rzuconych czy zgubionych w miejscu zbrodni biletach tramwajowych. Ile razy zaprowadziły nas na ślad!

Rogosz powrócił do czytania.

„Przesłuchanie świadków i podjęte czynności operacyjne nie wniosły dotychczas żadnych istotnych elementów, które umożliwiłyby odnalezienie sprawcy zabójstwa. Miejsce, w którym wykryto sznur, może nasuwać przypuszczenie, że zabójca po dokonaniu czynu udał się na dworzec celem opuszczenia Oleśnicy. Dodać należy, że z apteki nie skradziono pieniędzy, które znajdowały się w kasie, ani żadnych przedmiotów oraz lekarstw. Zarządzona została kontrola, obejmująca przede wszystkim dział neuroleptyków i leków uśmierzających bóle (morfina). Żadnych ubytków nie stwierdzono. Motywy przestępstwa nie zostały do chwili obecnej ustalone. Śledztwo do czasu przybycia przedstawiciela Komendy Głównej prowadzi Komenda Wojewódzka we Wrocławiu przy pomocy przedstawiciela KPMO w Oleśnicy - porucznika Jerzego Płaczkowskiego"...

Porucznik miał wyrobioną opinię o Markowskim. Był to porządny obywatel, uczciwy, nie liczył godzin pracy i nie

dawkował uprzejmości zależnie od stanowiska służbowego klienta. A milicji pomagał. Bo mieli tu właśnie w ostatnim czasie kłopoty z narkomanami. Koleżeńska grupa smarkaczy. Kilku chłopców i dwie panienki z dobrych domów. Chłopcy też nie z najgorszych. Syn dyrektora szpitala kradł ojcu blankiety recept. To magister Markowski pomógł w zlikwidowaniu tej grupy, chociaż ojcem jednej z dziewcząt był wysoki urzędnik wydziału zdrowia. Trzeba mieć czasem odwagę, by zachować uczciwość. Dlatego sprawdzają recepty z ostatniego kwartału. Może tędy prowadzi droga?

Na drugim stole w pokoju, który przybrał chwilowo wygląd kryminalistycznego laboratorium, leżały w pozornym nieporządku rozmaite przedmioty, do których technicy przykładali widocznie wagę. Do każdego z nich - ponieważ może na etapie przewodu sądowego stać się dowodem rzeczowym - doczepiona była kartka z numerem. Na stole leżało ubranie, w którym znaleziono nieżyjącego: marynarka, spodnie, bielizna, skarpetki, chustka do nosa. Oddzielnie stały buty o numeracji niewielkiej, jak u kobiety. Prawie nowe, błyszczące, utrzymywały fason w przeciwieństwie do ubrania, które straciwszy swego właściciela sflaczało i wyglądało żałośnie. W jednej z części tej tragicznej ekspozycji znajdowały się dokumenty znalezione w wewnętrznej kieszeni marynarki oraz dwa listy i kalendarzyk z telefonami. Na samym końcu stołu zwiślał swobodnie sznur kilkudziesięciocentymetrowej długości. Sznur opierał się o butelkę „Budafoku”, tworząc wraz z nią dziwną kompozycję.

Rogosz rzucił pytające spojrzenie miejscowemu funkcjonariuszowi.

- Na butelce jest ślad linii papilarnych obcego człowieka - z satysfakcją poinformował funkcjonariusz. - Chyba mordercy. Wyeliminowaliśmy ślad spośród innych, pozostawionych przez denata. W przypadku ewentualnej identyfikacji...

Rogosz wziął ze stołu kalendarz, zarejestrowany pod kolejnym numerem, i przerzucał kartkę po kartce. Znalazł

listopad. Szukał dni poprzedzających datę morderstwa. Były puste. Nie było tam żadnych notatek. A więc ofiara nie spodziewała się czyjegoś przyjazdu? Należało sądzić, że w tych dniach Markowski nie zaplanował sobie żadnego spotkania. Był człowiekiem niezwykle systematycznym. Pozostałaby jakaś notatka w kalendarzu. W spisie telefonów pod literą „W” nie znalazł nazwiska Wrzosa... Przyjrzał się dwóm listom: jeden był od matki, sądząc z tytułu „Kochany synku”, a drugi pisany na maszynie dotyczył premii za pierwsze półrocze. Wszystko to, co leżało na stole, było jeszcze jednym dowodem (potwierdzającym opinię Płaczkowskiego) na uporządkowany, solidny tryb życia kierownika apteki.

Kapitan poprosił porucznika, żeby poszukał technika mechanoskopii. Zjawił się on po chwili, ubrany w biały fartuch. Kończył pośpiesznie ekspertyzę, żeby wrócić wieczorem do Wrocławia. Człowiek ma prawo zaplanować sobie wieczór, jeśli nie jest panem swojego dnia. Przynajmniej do czasu, kiedy będzie w wieku tego kapitana, który z pewnością nie śpieszy się do żony, starszej, gderliwej pani. Jego dziewczyna liczy minuty...

- Mam prośbę - powiedział Rogosz. - Idziemy teraz z porucznikiem do mieszkania Markowskiego. Wracając wstąpimy do apteki. Gdybyście mogli w tym czasie przygotować dokładną ekspertyzę sznura? I w jakim stopniu odpowiada on splotom ujawnionym w okolicy bruzdy?

Technik mechanoskopii, wprawdzie zdziwiony poleceniem, nie pozwolił sobie na wyrażenie wątpliwości, a to mianowicie z trzech powodów: po pierwsze nie on prowadził działania operacyjne i nie on za nie odpowiadał. Po drugie - obowiązkiem eksperta jest analiza dostarczonego przedmiotu w sposób naukowy, ergo obiektywny, niezależnie od wyników i przeznaczenia ekspertyzy. Po trzecie zaś, tak czy inaczej nie zdąży na dzisiejszą randkę. Trzeba albo zmienić posadę, albo przygotować dziewczynę na ewentualne niespodzianki. I nim zabrał się do wykonania zlecenia, zatelefonował pod znajomy numer wrocławski.

Niebawem zjawił się pracownik daktyloskopii. Uważał on

za słuszne poinformować kapitana, że nie ujawniono śladów linii papilarnych ani na szklance, ani na kieliszku, znalezionych na zapleczu apteki. Wydaje się, że nic nie zostało wytarte. Nie może być chyba mowy o wyrafinowanym mordercy. Sprawca, jakby należało sądzić, nie tknął ani kawy, ani koniaku...

Rogosz, rozumując według z góry założonej tezy, pomyślał: z pewnością Wrzos. Nie pił, kawa była przeciwskazana w przypadku nieżytu przewodu pokarmowego. O tego rodzaju schorzeniu mówiła Solarzówna...

Ekspert referował dalej: denat zaś wypił zarówno kawę, jak i kieliszek „Budafoku”. Ślady jego linii papilarnych zidentyfikowano na szkle bez trudności. Czy nie zastanawia fakt, że na butelce, która została przez nich „opracowana”, jest ślad cudzych opuszków? Morderca, który nie chciał pić z kieliszka (pozostał pusty), łyknął sobie z butelki? Należy także sądzić, że konflikt musiał nastąpić w krótkim czasie po zjawieniu się gościa w aptecę. I nie ulega kwestii, że denat znał swojego przysłego zabójcę.

- Lubimy się bawić w detektywów - przerwał ten przedłużający się wywód Rogosz. - U nas w kraju każdy robi to, co do niego nie należy, za to mniej gorliwie spełnia swoje własne obowiązki - powiedział zbyt może ostro, ale żaden inspektor kryminalny nie lubi, kiedy ekspert się mądrzy. - Czy zaplecze apteki pozostało nienaruszone? - zapytał Płaczkowskiego.

- Tyle tylko naruszyliśmy, ile było niezbędne dla dokonania ekspertyzy - zapewnił porucznik. - Wyniki są już częściowo do wglądu. Trzeba je jeszcze uporządkować i wypisać. Zaplecze wygląda tak, jak wyglądało w chwili, kiedy Barbara Markowska weszła i zobaczyła zwłoki męża. Ciało denata jest oczywiście we Wrocławiu. Szkoda Markowskiego. Pan kapitan sobie życzy, żebym był przy rozmowie z rodziną aptekarza? Markowscy mieszkają trzy kroki od komendy. To jedno dobre jest w Oleśnicy. Wszędzie blisko.

Markowscy mieszkali w kamienicy zbudowanej z typowo

pruskim wdziękiem, ale też z niemiecką solidnością. Mocne stropy, solidne schody i ciemne, wysoko omurowane podwórko. A swoją drogą nie należy do przyjemności pukać do drzwi, za którymi pozostali ludzie ze swoim nieszczęściem.

Otworzyła im młodziutka blondynka, przerażonym spojrzeniem obrzucając obu mężczyzn. Rogosz domyślił się, że dziewczyna jest córką denata i zawahał się, czy mówić per pani, czy też potraktować ją jak dziecko. Uniknął zarówno jednej, jak i drugiej formy. Zapytał, czy mógłby zobaczyć się z panią Barbarą Markowską. Legitymowanie się było zbędne, skoro towarzyszył mu porucznik, znany tej rodzinie.

- Czy matki nie mógłby zastąpić brat? - spytała dziewczynka. Jej błagalny wzrok świadczył o serdecznych stosunkach łączących rodzinę. Dla Rogosza rozmowa z Markowską była sprawą wielkiej wagi. Powiedział więc do dziewczynki ciepłym tonem: - Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze... - Miał ochotę pogłaskać ją po głowie, ale cofnął rękę. Był tu zupełnie obcy, a jego wizyta, nawet ujęcie sprawy, nie wyrówna ani nie umniejszy straty, jakiej doznali.

Panią Barbarę zastał w dużym, ciemnym pokoju, do którego wchodziło się przez wąski korytarz. Leżała na kanapie, okryta pledem. Naprzeciw drzemał nad książką chłopiec niewiele starszy od siostry. Być może i ta trzecia po tragicznym odkryciu noc była dla nich bezsenna.

Kapitan przedstawił się, przeprosił za najście i zapytał, czy rodzina ma jakiegokolwiek sugestie co do osoby sprawcy. Chłopiec, imieniem Zbyszek, chciał odpowiedzieć za matkę, ale Rogosz zaprotestował łagodnie. Chociaż są imiennikami, wołałby, żeby matka pierwsza się wypowiedziała. Rozumie! Ojca im nikt nie zwróci, ale ze względu na zagrożenie społeczne...

Porucznik, który siadł na uboczu, wtrącił pytanie, związane z wersją, forsowaną przez miejscową komendę. Zapytał rodzinę denata, czy syn pana S. (chodziło o dyrektora szpitala) nie groził Markowskiemu po rozprawie sądowej? A jego koledzy?

Przypomniał kapitanowi, e Markowski był wiadckiem w sprawie tej grupy narkomanow. Wprawdzie dostali wyroki z zawieszeniem, ale jednego z nich relegowano z uniwersytetu. To był gagatek. Zmuszał dziewczeta do zastrzykow.

Zbyszek Markowski goraco zaprotestował. Twierdził, e znał ich wszystkich. S lekko myslni, ale nie zwyrodniali. Ta obrona wiadczyła jakos dobrze o chopecu. Nie był msciwy. Tak czy inaczej grupa narkomanow przyczyniła niemao kopotow niezyjacemu ojcu.

Rogosz powtornie sformuował pytanie, kierujac je do pani Barbary:

- Czy mz obawiał sie kogos? Konkretnej osoby albo osobnika nie znanego rodzinie? Czy nie przejawiał w ostatnich dniach przed feraln dat 12 listopada zego nastroju, strachu? Moe pił wieczej niz zazwyczaj. Czy nie brał rodkow nasennych? I czy je przedtem zaywał?

Markowska, ktorej delikatna uroda, a take sytuacja yciowa, wzbudziła wspolczucie Rogosza, starała sie odpowiadac rozsadnie, zachowujac spokoj, ktorego sie nie spodziewał. Zaczeła od stwierdzenia, e szansa ujecia sprawcy nie jest dla niej spraw obojetn. Bardzo jej take zaley na tym, by pewne okolicznoci, zwiazane z przeszoci meza, zostaly do konca wyjasnione. Po miasteczku krz plotki, e był wmieszany w afere, nawet midzynarodow afere, zwiazan z handlem narkotykami. Zabojstwo wyniko ze sporow. Niewykluczone, e plotki s rozpowszechniane przez rodzicow modych ludzi, ktorzy stanli przed sadem wasnie za uzywanie i sprzeda mofiny. Jezeli kapitan zada sobie fatyge zasiegnecia informacji u ludzi godnych zaufania, dowie sie, e jej mz był czowiekiem rzadko spotykanej uczciwoci. Bardzo jest trudno yc w spokoju, kiedy prawa prowincjonalnego piekielka nie omijaj spokojnych rodzin. W Warszawie jest z pewnoci inaczej, ale tutaj, w Olesnicy? Co do usposobienia Bronisawa jest prawd, e był nerwowy, wrazliwy. Ale oszczedzał rodzine, nie zwierzał sie nikomu z kopotow, jezeli je przeywał. Co do zmiany w ostatnim okresie przed morderstwem - z calym spokojem wypowiedziała to straszne sowo - nie, nie zauwayła

w jego usposobieniu zmiany. Był raczej w dobrym humorze. Planował wspólny wyjazd do Chęcín.

- Do Chęcín?

- Urządzają co roku w chęcińskim pałacyku zabawę sylwestrową, maskaradę, spektakle historyczne i Broniek zarezerwował dla naszej czwórki bilety oraz dwa pokoje w motelu „Słowik”, tuż w sąsiedztwie pałacu. Kiedy zarezerwował te bilety? To było jeszcze w październiku. Nie lubił improwizacji. Nawet czasami wyśmiewaliśmy tę jego skrupulatność, wyrzucając mu „aptekarstwo”.

I nagle ta spokojna, pełna godności pani gorzko się rozpląkała. Córka objęła ją ramieniem: - Mamo! Nie trzeba! - Wydawało się, że powie: nie trzeba przy obcym człowieku. Ale obrzuciła jedynie mało przyjaznym spojrzeniem kapitana, który zdecydował się nachodzić ich w takiej chwili. Kobieta nie mogła się uspokoić, mówiła wśród łkań urywane słowa, w których powtarzał się motyw o dobrym ojcu, mężu, o wspólnie przeżytych dwudziestu latach.

Rogosz nie był niewrażliwy na cudzą rozpacz, ale kiedy kobieta powiedziała o dwudziestoletnim pożyciu, poczuł uderzenie serca, jakby się w nim samym zapaliło ostrzegawcze czerwone światło.

To pani znała go od tylu lat? - zdziwił się.

Okazało się, że dokładnie od dziewiętnastu. Poznali się w 1956 roku. Dopiero kończył farmację, bo studia mu się przedłużyły. Był studentem Akademii Medycznej.

- Wrocławskiej? - zapytał Rogosz, a wszechstronna, najbardziej czuła aparatura, jaką jest mózg ludzki, notowała nie tylko słowa kobiety, ale jej głos i jego intonację.

- Nie - zaprzeczyła. - Studiował w Warszawie. Miał rok przerwy w nauce.

- W pierwszych latach studiów?

Syn niezującego, Zbyszek, podniósł wzrok na Rogosza, zdziwiony pytaniem. Rogosz nie przyjął wezwania, które odczytał w oczach chłopca. Odwrócił głowę od te j trójki, ponieważ wiedział, był przekonany, że działa teraz

przeciwko tym ludziom, dobrym i kochającym. Miał coraz większą pewność, że Markowski związany był ze sprawą napadu na konwój. Jeżeli tak, jeśli uda mu się odtworzyć karty przeszłości, zburzy legendę o poczciwym, szlachetnym ojcu. Po raz drugi ktoś zrujnuje ich życie. Ale musi to uczynić. Nie wolno mu się było wyłączać nawet na okamgnienie. Kobieta chciała mówić o przeszłości, pragnęła uciec od obecnej rzeczywistości i Rogosz winien był tę szansę wykorzystać.

Pani Barbara przypomniała sobie, że mąż przerwał studia w 1953 roku. Miał jakieś przeżycia, może nieudany flirt, bo mówił, że zrobił straszne głupstwo i nie chciał nigdy wracać do tego tematu. Kiedy skończył studia, zamierzali się przenieść do Krakowa. Nie! Nigdy nie myślał o zamieszkaniu ponownie w Warszawie. Ale kiedy zdecydowali się pobrać, umarł jej ojciec. Matka dawno już nie żyła. Ojciec pozostawił jej to mieszkanie w Oleśnicy. Resztę zabrała wojna. O mieszkanie było wówczas bardzo trudno. I dziś niełatwo. Zostali więc w Oleśnicy... Kobieta, już całkowicie spokojna, kończyła swoją relację:

- Kierownikiem apteki został Broniek pięć lat temu. Może mniej byłoby tej ludzkiej zawiści, gdyby nie miał takiego stanowiska. Powodziło się nam nieźle. Bywaliśmy w najlepszym towarzystwie. Co teraz będzie?

Milczenie, które zapadło po tych słowach, było raczej konstatacją beznadziei niż pytaniem, choćby retorycznym. Markowska uniosła głowę i spojrzała na Rogosza, jakby szukając u niego pomocy.

- Nie! Panie kapitanie. Proszę mnie nie oszczędzać. Więcej się już nie rozkleję. Proszę pytać!

Nie widział celu przedłużania pobytu w domu denata. Był przekonany o tym, że jeżeli Markowski brał udział w napadzie na konwój, na pewno nie zawierzyłby tajemnic przeszłości żonie. Dzieci tym bardziej nie mogą znać prawdy ani o ojcu, ani o tamtych czasach. Przemknęła mu myśl, czy nie przeprowadzić rewizji w pokoju Markowskiego, czy nie przeszukać biurka, biblioteki. Może znajdą się jakieś notatki, nazwiska? Zdarza się też, że młody przestępca, któremu udało

się ujść bezkarnie, zachowuje broń na pamiątkę wyczynu awanturniczego - na przykład ów pistolet, z którego zastrzelono młodego Krawczyka. Nonsens! Nic nie wskazywało na to, żeby Markowski był tym spośród trzech bandytów, który strzelił. Wciąż brał pod uwagę osobowość sprawcy. Czy nie istnieje jednak możliwość całkowitej zmiany osobowości, niekoniecznie spowodowanej wypadkiem, szokiem? Nie! Za daleko wybiega. Ma zresztą w rękę sprawdzian nieomylny. Ślad ręki sprawcy na kierownicy samochodu ciężarowego, który utrwalony czeka spokojnie na wznowienie śledztwa. Strzelał ten sam bandyta, który później wskoczył na schodek samochodu i otworzył drzwi do szoferki, człowiek brutalny, ordynarny, jak zeznawali świadkowie napadu. To nie był Markowski. Nie był też, jak należało sądzić z relacji rodziny o jego charakterze i usposobieniu - przywódcą tej wyprawy. Zrozumiał, że nonsensem jest w obecnej fazie śledztwa identyfikować osoby dramatu z 1975 z młodymi chłopakami, którzy w roku 1953 obrabowali konwój bankowy. Miał obowiązek przeprowadzić dochodzenie, które pozwoli ująć sprawcę zabójstwa Bronisława Markowskiego. Zdecydował się rozmawiać - wolał nie używać słowa przesłuchanie - z każdym z osobna. Poprosił porucznika, by znalazł jakiś spokojny kąt.

Naprzeciw Rogosza usiadła córka Markowskiego, oswojona już trochę z obcym, który wzbudził chyba zaufanie całej rodziny. Chciał, żeby opowiedziała mu pokrótce o osobie, o nieżyjącym ojcu, o ich wzajemnych stosunkach.

W ciągu ostatnich dni ojca prawie nie widywała. Przed obiadem ślęczy w szkole. Jest w drugiej klasie liceum. Ojciec zazwyczaj pytał ją jedynie o stopnie. Za piątki wypłacał premie. Zawsze dotrzymywał słowa. Po zajęciach szkolnych odrabiała lekcje, a wieczorami siadywali z reguły przed małym ekranem. Ojciec czasem z kieliszkiem. Mama przynosiła owoce. Mieli działkę, właściwie spory sad i piękne zbiory jabłek: lindy, jonathany, fantazje. Ojciec wysyłał jakieś okazy na wystawy. Uwielbiał swój ogród, znał każde drzewko. Co do pieniędzy, nigdy ich nie skąpił. Bardziej matka... Zamilkła, bo zrobiło jej się przykro, że krytykuje w takiej chwili matkę. O swojej

przeszłości ojciec nigdy nie opowiadał. Sądziła, że nie chce wracać do okropieństwa wojny i późniejszej, powojennej biedy.

Rogosz znajdował się w trudnej sytuacji. Przeszłość Markowskiego interesowała go najbardziej. Musiał ją zrekonstruować, nie niszcząc ludzi, którzy mogli mu ją zdradzić. Jeżeli cokolwiek mieli do powiedzenia?

Następna rozmówczyni - pani Barbara - także nie zauważyła nic szczególnego w zachowaniu się męża. Tylko w dniu jego śmierci, gdy szedł do apteki, a ona zapytała, czy nie dość na dzisiaj - nie odpowiedział. Chciała wiedzieć, czy ma jakieś zmartwienie. Burknął coś w tym rodzaju, że troski zjawiają się bez zaproszenia. Zrozumiała, że przeżywa jeszcze swój udział w sprawie przeciwko młodym narkomanom. Bądź co bądź zahaczała o jego szefa z wydziału zdrowia.

Zbyszek Markowski z kolei nie wierzył, żeby ci narkomani mieli coś wspólnego z ich dramatem. Ojca widywał jedynie wieczorami. Siadywali razem przed telewizorem. Jak tylko dziennik się zaczynał. Wolałby wyjść gdzieś wieczorem, zabawić się. Ale nie chciał urazić rodziców i najczęściej uczestniczył w tej piekielnej nudzie wieczornej.

Rogosz, który próbował znaleźć pomost porozumienia między sobą a tą zdecydowanie sympatyczną rodziną, zauważył, że wszyscy ludzie na świecie zostali obecnie zrównani dzięki chyba najbardziej demokratycznemu wynalazkowi, jakim jest telewizja. Wieczorami siadają przed małym ekranem zarówno bogacze z Piątej Ulicy Nowego Jorku, jak i skromni mieszkańcy Oleśnicy. Kiedy jednak przebywali razem, przynajmniej przez te ostatnie wieczory, o czym wspominał ojciec? Może jakieś słowo, gest zwróciło uwagę Zbyszka?

Chłopiec zastanawiał się chwilę, Nie jest pewny, czy taki szczegół interesuje kapitana. Było to ostatniej niedzieli przed śmiercią ojca. Siedzieli jak zwykle razem. Odbiór był zły i trzeba było co chwila kręcić gałką, żeby poprawić wizję. W pewnej chwili ojciec zdjął okulary, co jest - poprawił się - było zawsze u niego oznaką zdenerwowania.

- Powiedział coś?

- Wspomniał, że powinien odwiedzić Zosię. To kuzynka

mamy, która leży chora, już od paru tygodni. A później dodał coś w tym rodzaju: „Gdybym poszedł do Zosi, spałbym spokojnie”. Ale i resztę tego wieczoru tato był jakiś nieswój. Zapomniał o jabłku, które mama przygotowała jak co wieczór na talerzyku. Zwykł był mawiać, zabierając ten talerzyk z pianina, że jabłko spożywane przed nocą po czterdziestym roku życia zapobiega sklerozie w starości. Zbyszek miał już czasem dosyć tej tatusiowej „dobranocki”. Jakżeby jej chętnie dziś wysłuchał!

Rogosz wszedł do jadalni, gdzie była pani Barbara z córką, i zapytał, czy nie zapamiętały przypadkowo niedzielnego wieczoru, kiedy to pan Markowski zdenerwował się przy oglądaniu telewizji.

Pani Barbara nie pamiętała, w którym to było dniu, ale pewnego wieczoru, jednego z ostatnich, mąż zdenerwował się przy oglądaniu telewizji. Chodziło zapewne o to, że pozostawił cały wieczór kuzynkę bez opieki. „Ale żeby się ojciec tak o Zosię denerwował” - zdziwiła się dziewczynka. Ona sama siedziała tego dnia gorliwie przy telewizji, bo oglądała „Bank miast”. Bardzo to lubi.

Rogosz pożegnał się i obiecał poinformować rodzinę o dalszym przebiegu śledztwa. Zobaczymy się jeszcze! Dopiero po wypowiedzeniu tej raczej grzecznościowej formuły zdał sobie sprawę, że nikt go w tym domu nie ma ochoty oglądać. I mają rację. Nic dobrego nie mogli spodziewać się z jego strony.

Przed wizytą w aptecce Rogosz wpadł z porucznikiem do komendy. Z twarzy eksperta mechanoskopii można było odczytać na pierwszy rzut oka, że ma w zanadrzu ważną nowinę. Rzeczywiście! Ekspertyza sznura, który znaleziono w pojemniku koło dworca, a z którym korespondowały ślady splotów w okolicy bruzdy wisielczej denata, wykazała specyficzne i rzadkie cechy produkcji. A mianowicie mniej splotów, aniżeli przewiduje technologia. Skomunikowali się z fabryką w Bydgoszczy, która te sznury produkuje. Powiedziano im, że owszem, zdarzyło się, wypuszczono brak. Jest protokół, który zezwalał na sprzedaż tej partii po odpowiednio niższej

cenie. Nie rozumieją tylko, dlaczego telefonują w tej samej sprawie po raz drugi. Informowali przecież dokładnie poprzedniego dnia krakowską komendę MO.

Kapitan zwrócił się do Płaczkowskiego: - Czy dzwonił Nowy Targ? - Porucznik wyskoczył do sekretariatu, żeby zapytać. Wrócił po dobrej chwili. W rękę trzymał telefonogram. Okazało się, że dzwoniли dwa razy. Technik, który przyjechał z Krakowa, zrobił ekspertyzę śladów na stołku w związku z butami Wrzosa i stwierdził, że zabrudzenia korespondują ze sobą.

- A więc sprawa Wrzosa się wyjaśnia - odetchnął Rogosz. - Wiemy już z pewnością, że zetknięcie buta i taboretu nastąpiło w momencie, kiedy samobójca kopnął stołek, żeby zawisnąć. Przynajmniej jedna sprawa z głowy. Chciał skończyć ze sobą. Jego rzecz.

Do pokoju zająztał oficer dyżurny.

- Nowy Targ do pana kapitana. Po raz trzeci!

Rogosz podniósł słuchawkę.

- Co się dzieje? - Podziękował za informacje ekspertowi i zapytał o Jędralową.

Okazało się, że dzisiejszego dnia nie wróciła. Staruszek sąsiad-odwiedza ich regularnie, bardzo zaniepokojony. A jeżeli ktoś chciał się jej pozbyć? Za dobrze znała środowisko waluciarzy. Może wiedziała, gdzie Wrzos ukrywa pieniądze? Czy nie należałoby wszczęć poszukiwań? A co się dzieje w Oleśnicy?

Rogosz uważał, że za wcześnie na wszczęcie poszukiwań. Dalsze postępowanie uzależnia od wyników sekcji. On sam Udaje się za chwilę do apteki, numer telefonu 143, rzecz jasna, że Oleśnica. Ekspert nie może wrócić do Krakowa, nim nie zrobi oględzin belki. Tej na stryszku. Wie, naturalnie. Gdyby major Jaroszek o niego pytał, będzie za dwie, trzy godziny w komendzie...

Rozdział 10

Apteka oleśnicka mieściła się na rynku. W jej pobliżu kręciło się mnóstwo przyjezdnych z okolicy. Obecny człowiek mógłby

spokojnie wejść na zaplecze, nie zwracając niczyjej uwagi. I dziś ruch był ożywiony, kiedy Rogosz w' towarzystwie porucznika Płaczkowskiego zbliżali się do narożnika, nad którym świecił duży neon. Jedna z liter nie chciała się zapalić i nazwa brzmiała ni to z greki, ni z łaciny. APTE A.

Przecisnęli się przez tłum. Od czasu kiedy lecznictwo społeczne objęło wieś, rolnicy okoliczni łączyli zakupy w Domu Towarowym z zaopatrywaniem się w leki, zbierane na zapas. Szła zima. Drogi mogą zostać zasypane. Zawsze to człowiek pewniejszy, kiedy ma u siebie w domu odpowiedni wybór medykamentów. A lekarz wypisuje recepty, bo proszą o to, a jak mu jeszcze kopę jaj i koguta sprezentują?

Klientów obsługiwało dwóch młodych farmaceutów. Przy kasie inkasowała pieniądze kobieta w wieku emerytalnym. Była tak zmęczona pod wieczór, że nie umiała ukryć swojego zniecierpliwienia.

- Trzeba szybko zwolnić zaplecze - powiedział Rogosz do porucznika. - Widzicie sami, co się dzieje?

- Czekaliśmy na pana kapitana - ucieszył się młody mężczyzna w białym fartuchu. - Nie możemy dać sobie rady. Telefonowali, że nie wolno niczego ruszać. Długo jeszcze? Ledwo możemy podołać robocie. Magister Markowski uwijał się za trzech.

Popłoch się spotęgował, kiedy kapitan poprosił, żeby jeden z pracowników towarzyszył mu na zapleczu.

- Wiemy, wiemy - powiedział. - Robimy wszystko, żeby jak najszybciej zakończyć wstępne czynności. Panowie muszą zrozumieć.

Zaplecze było skromne, ciemne, z niewielkim okienkiem na podwórze. Na stole ustawione były rzędem jakieś faski z mazią, preparaty, słoiki z płynami o rozmaitych barwach. Pracownia alchemika. Na szerokim parapecie stały dwie szklanki, przy każdej kieliszek. Jedna ze szklanek była do połowy opróżniona, kieliszek całkowicie pusty. Druga pozostała nietknięta, jak i alkohol zawarty w kieliszku.

- Butelka z „Budafokiem”, przypomina pan sobie, kapitanie, jest zabezpieczona przez ekspertów powiedział

porucznik i mrugnął do starszego kolegi, że zawartość dowodu rzeczowego byłaby nie do pogardzenia.

Mały stółek pozostał na swoim miejscu. Na nim musiał stanąć aptekarz, kiedy zarzucona od tyłu pętla, zacisnęła się na jego szyi.

- Czy w ostatnich dniach nie był pan przypadkowo świadkiem telefonu, który może - jak dziś wolno by sądzić -- miał związek z zabójstwem?

Pytanie zostało skierowane do towarzyszącego im farmaceuty, którego Płaczkowski nazwał Adamem.

Jak łatwo porozumiewają się rówieśnicy - zauważył w duchu Rogosz i pomyślał pod swoim adresem, krytycznie zresztą, że chyba zbyt dużą wagę przykładają do kryterium wieku. I to od pewnego czasu. Ścisłej - od czasu, kiedy zbliżył się do pięćdziesiątki.

Magister o imieniu Adam nie przypominał sobie telefonu, którego treść zwróciłaby jego specjalną uwagę. Zresztą do kierownika często dzwoniono, ale odgłosy rozmowy nie docierały do pomieszczenia sklepowego. A jeżeli nawet, były to pytania o leki, czasem porady lekarskie. Typowe sprawy zawodowe. Odgłosy tych rozmów, jeśli nawet docierały, nie przenikały do ich świadomości. Instynktownie każdy z nich bronił się przed percepcją takich informacji. Pan kapitan rozumie...

- A nowej twarzy, kogoś, kto by zwrócił uwagę, nie przypomina pan sobie?

- Jak najbardziej! Dwa razy wchodził do apteki jakiś szczupły brunet i zaraz opuszczał pomieszczenie, o nic nie pytając. Wydawało się, że kogoś szuka.

- Jak wyglądał?

- Szczupły, nawet przystojny. Adam zapamiętał go dobrze, bo zwracał uwagę starannie wypielęgnowanymi bokobrodami, a przecież miał pod czterdziestkę. Przynajmniej na oko. Powiedział wtedy do kolegi coś w tym rodzaju, że teraz pszczele mleczko przestało być modne. Najlepsza kuracja odmładzająca to odstawiać hipisów. Kolega mu wtedy odpowiedział, że co ma piernik do

wiatraka, że on sam zamierza zapuścić sobie brodę, żeby ukryć wrodzoną asymetrię dolnej części twarzy... Więcej tego gościa nie widzieli.

Rogosz poszperał w aktówce, wyciągnął zdjęcie i pokazał pracownikowi apteki.

- Ten sam - nie zawahał się ani chwili Adam i przywołał kolegę: - Jurek! Rzuć wszystko. Niech zaczekają! - Pokazał mu fotografię. - Poznajesz?

Jurek oddalał od siebie zdjęcie i przybliżał. Wreszcie powiedział z przekonaniem:

- To ten facet, co kilka razy zaglądał, jakby kogoś szukał, a nie znalazł. Powiedziałeś wtedy: stary hipis, czy coś w tym rodzaju. Czy kapitan sądzi, że to on jest mordercą? Wątpliwe... Wcale nie ukrywał swojej obecności w sklepie. Zajrzał nawet na zaplecze. Aż trzeba mu było zwrócić uwagę...

Rogosz zaproponował, żeby ich nie wyręczać w pracy. Niech zajmą się klientami. I nagle, bez komentarza, wyraził zgodę na uruchomienie laboratorium, które mieściło się na zapleczu. Szklanki można umyć, koniak wypić, jeśli komuś braknie kurazu.

Zwrócił się do porucznika: - A my wracamy do komendy!

Przybyli tam w porę, bo okazało się, że Nowy Targ łączył się już kilka razy. W kilka minut po ich przybyciu jeszcze raz się odezwał. Przy telefonie był Kollat. Cały „w skowronkach”. Do komendy zgłosiła się Jędralowa Bardzo zadowolona, że ktoś się wreszcie o nią troszczy. Ten mężczyzna, co ją ciągnął za rękaw, to teść z Obidowej. Bili u nich świnie i można było kupić rąbankę, żeby sobie zabezpieczyć w wekach zapas na całą zimę. Nie chciała jechać nocą, ale teść tłumaczył, że ludzie rozbiorą. Kupiła flaczki i kaszanke. Zapraszała do siebie w gościnę.

- A to baba! Chyba teraz sprawa Wrzosa wyjaśnia się całkowicie. A co w Oleśnicy?

Rogosz krótko poinformował Kollata i spytał, czy zbadali belkę. Okazało się, że technik pracuje na miejscu. Nie mogli przecież rozwalać dachu, wycinać zdrowe drzewo. Za takie straty trzeba płacić. Zresztą kto się odważy zadzierać z

Jędralową?

- A co z sekcją?

- Czekają na wyniki. Sprawa godzin. Będą telefonować.

Rogosz przypomniał, że czeka w komendzie, nie rusza się z miejsca. I odłożył słuchawkę. Porucznik i obaj eksperci rzucali w jego stronę niespokojne spojrzenia. Od decyzji kapitana zależał powrót każdego z nich do domu, czy też nowe zadania i perspektywa bezsennej nocy. Rogosz zaś zdawał sobie sprawę, że stanął na zakręcie. Musi zdecydować, w jakim kierunku prowadzić dalsze działania. Powinien na zdrowy rozum i zgodnie z przepisami porozumieć się z szefem. Jest o czym mówić. Jego intuicja nie zawiodła. Istnieje związek między dramatem w Oleśnicy i Nowym Targiem. Ale ta pewność nie oznacza jeszcze związku z wydarzeniami z 1953 roku. A taki związek zakładał. Póki tego nie udowodni, póki nie będzie mógł położyć na stole Zawadki bezspornych dowodów o uczestnictwie Wrzosa i Markowskiego w napadzie na konwój bankowy, nadal będzie miał u kolegów opinię maniaka czy Don Kichota z ulicy Puławskiej. Dobrze wiedział, że o nim tak mówią za jego plecami... Zdawał sobie sprawę, że związek między zabójstwem Markowskiego a zamachem na własne życie (?) Wrzosa komplikuje śledztwo zamiast mu pomóc. Umarli nie przemówią. Nie zdradzą nazwiska trzeciego uczestnika z tamtych lat, który był z pewnością przywódcą grupy. Nie mógł nim być Wrzos, choć agresywny i ordynarny. Najpewniej przywódcą był ten, który w sposób bezwzględny, brutalny wrzucił ciężko rannego Krawczyka do samochodu. Markowski na przywódcę był za miękki. Poza tym jego rysopis nie odpowiadał zeznaniom świadków, mówiących o silnie zbudowanym mężczyźnie... Obawiał się nie na żarty, że w takiej sytuacji pozostanie tylko zamknąć rozdział, który można by zatytułować „Kazimierz Wrzos zabójcą kierownika apteki w Oleśnicy”. Ale i tego rodzaju zadanie wcale nie było łatwe. Oskarżać człowieka nieżyjącego? Kryminalistyka posługuje się techniką oraz taktyką, która

dopuszcza między innymi takie metody, jak eksperyment czy rekonstrukcję przebiegu przestępstwa przy mniej lub bardziej aktywnej pomocy podejrzanego. Dobra wola liczy się u sędziów. Każdy oskarżony wie o tym dobrze, jeżeli nie - kumple ze wspólnej celi mają kwalifikacje prawników. Jest jeszcze metoda konfrontacji, rozmów, tak zwanej „pracy” z podejrzanym, by przekonać go, czy przedstawić dowody tak jednoznaczne, że uniemożliwią kłamstwo. W tym przypadku Wrzos zaoszczędził żmudnej pracy funkcjonariuszom...

Wrócił do komendy. W pokoju, oddanym do jego dyspozycji, nie zastał nikogo. Wyskoczyli coś przegryźć - pomyślał i zapytał telefonistkę z centrali o wiadomości z Nowego Targu. Nikt nie dzwonił. Zapragnął nagle zostać sam i spokojnie przemyśleć dzisiejszy dzień. Naprzeciw komendy ciągnęła się pusta o tej porze alejka, prowadząca do miejskiego parku. Szedł wzdłuż niej, przyglądał się bezlistnym drzewom, smutnej, jesiennej przyrodzie i spróbował przeprowadzić bilans na dzień 16 listopada, godzina 19.30. Co wie? Czego nie rozumie?

Polaryzowała się jedna, jedyna wersja, która odpowiadała faktom i logice wypadków. Wrzos był zabójcą! Zamordował Markowskiego. O motywacji, która spowodowała ten czyn, nic jeszcze nie można było powiedzieć. Zabił i wróciwszy do Nowego Targu popełnił samobójstwo. Nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy człowiek popełniwszy zbrodnię doznaje tak silnego szoku, że dokonuje zamachu na własne życie... Można by się pokusić o udowodnienie motywów, którymi kierował się Kazimierz Wrzos. I to wszystko! W gruncie rzeczy błyskawiczny epilog śledztwa zaskoczył najbardziej jego samego. Wydawało mu się, że dopiero co wkroczył na ścieżkę, która doprowadzi do drogi od tyłu lat poszukiwanej. I nagle okazało się, że dalszego ciągu, w którym miałby szansę śledztwo swojego życia doprowadzić do końca, nie będzie. Kropka! Gnębiło go uczucie, że gdzieś coś przeoczył, popełnił błąd nie do naprawienia. Trzeba będzie jednak pojechać do Warszawy. Nie może omijać szefa. Należałoby się do tej rozmowy przygotować. Wrócił do swojego pokoju. Wyjął z teczki brulion, przeglądał notatki z rozmów i spróbował w sposób prowizoryczny odtworzyć

historię zbrodni Kazimierza Wrzosa. W miejscach, które wydawały mu się niejasne, stawał znak zapytania. Jego relacja brzmiała następująco:

Zabójca wyjechał z Nowego Targu w kierunku Wrocławia dnia 11 listopada 1975 w godzinach wieczornych. W dniu następnym, to znaczy 12 listopada, nie było go w miejscu zamieszkania (zeznania świadków), ani w Krakowie (Solarzówna!). Z Wrocławia zatelefonował do Bronisława Markowskiego (?) i umówił się na spotkanie w aptece, po jej zamknięciu. Faktu telefonicznego porozumienia się z Markowskim nie udało się odtworzyć, ponieważ na linii Wrocław-Oleśnica został uruchomiony automat.

Zakładając, że działał z premedytacją, Kazimierz Wrzos przed zapowiadaną wizytą wstąpił w godzinach popołudniowych dwukrotnie do apteki dla zorientowania się w rozkładzie pomieszczeń. Markowski musiał go przez telefon uprzedzić, że w tym czasie nie będzie w pracy. Zagląającego dwukrotnie do apteki Kazimierza Wrzosa zidentyfikowali pracownicy na podstawie zdjęcia.

W godzinach wieczornych sprawca wszedł tylnym wejściem na zaplecze apteki w celu spotkania się oraz przeprowadzenia rozmowy z Markowskim w sprawie(?). Planował zabójstwo lub ewentualne zabójstwo swojego rozmówcy, na co wskazuje sznur, który pochodził z kłębka o nietypowej ilości splotów i został ujawniony w mieszkaniu Wrzosa (ekspertyza mechanoskopii krakowskiego wydziału kryminalistyki).

Kierownik apteki, który musiał znać uprzednio (?) sprawcę, poczęstował go herbatą i koniakiem. Sam wypił zarówno herbatę, jak i koniak (ślady opuszków prawej ręki na szkle). Wrzos nie tknął ani szklanki, ani kieliszka, co mogłoby świadczyć o premedytacji w jego działaniu.

Po konfliktowej rozmowie(?) Markowski wszedł na stół, żeby sięgnąć po jakiś przedmiot, ewentualnie lekarstwo(?) z półki. W tym momencie został zaatakowany przez zabójcę, który zarzuconą od tyłu pętlą dokonał zabójstwa przez zadzierzgnięcie sznura. W stanie silnego podniecenia sprawca stracił najpewniej nad sobą panowanie, chwycił butelkę z

koniakiem i łyknął prosto z niej. Na taki wniosek pozwala stwierdzenie na butelce, po wyeliminowaniu śladów pozostawionych przez Markowskiego, śladu obcych linii papilarnych, które mogą pochodzić od sprawcy.

- Mogą pochodzić?

Rogosz był zdziwiony własnym niedopatrzeniem. Przecież nic łatwiejszego... Połączył się z krakowską komendą MO.

W wydziale kryminalnym trwa dyżur 24 godziny non stop. Telefon odebrał nie znany mu funkcjonariusz.

Kazimierz Wrzos? Mają szczęście i przyjemność znać tego pana. Owszem, posiadają ślady linii papilarnych obu rączek i każdej z osobna. Oraz podpis i zdjęcie. Wszystko to do dyspozycji znakomitego kolegi z Komendy Głównej.

Przyjazna temperatura obniżyła się nieco, kiedy funkcjonariusz z komendy krakowskiej dowiedział się, że trzeba będzie odbitkę tych linii wysłać natychmiast do Oleśnicy. Ale jeśli trzeba?

W tej sytuacji zmuszony był zrezygnować z wyjazdu do Warszawy. Naraża się majorowi. Trudno! Liczył się 7. tym że nadejdą jeszcze wiadomości z Nowego Targu. Zaczeka przynajmniej na wyniki sekcji. Zapytał porucznika, czy coś takiego jak konieczność przespania się po dwóch bezsennych nocach, spędzonych w pociągu, zostało przewidziane w planie operacyjnym.

Tak jest - odpowiedział z powagą Płaczkowski. - W Oleśnicy funkcjonuje wcale przyzwoity hotel. Jest i restauracja, kawiarnia. Można potańczyć. Gra zespół „Pół na pół”. I solistka wcale niezła... wokalnie... - Okrążył ruch ręki chwalił walory mniej artystyczne.

- Można potańczyć? - zapytał serio Rogosz. - O tym właśnie marzyłem. -1 patrząc na porucznika zrozumiał, że tamten by się wcale nie zdziwił, gdyby gość z Warszawy, z daleka od domu, chciał się zabawić. Osławione przygody „w delegacji służbowej”. W innym układzie społecznym, przed wojną, panowie miewali swoje pied-à-terre, mały pokój na Mariensztacie. A teraz chwile wolności w delegacji. Zdał sobie sprawę, że jest już niemłody i to nie tylko z powodu

ilości lat. Pożegnał ekspertów, którzy małym fiatem wracali do Wrocławia, i poszedł w stronę hotelu. Zasnął nie zdążywszy wyłączyć kontaktu nocnej lampki.

Podróże szlakiem gastronomicznym przynoszą czasami i miłe niespodzianki. Rzeczników poszukiwania obiektywnych uwarunkowań, tak zwanych prawidłowości, wynikających z systemu premii czy niewłaściwych bodźców, należałoby zapytać, dlaczego jeden kelner obsztorcowuje klienta i podaje zimne jaja na miękko, a gdzie indziej, w lokalu tej samej kategorii, miła panienka uśmiechnie się i serwuje ciepłe jeszcze bułeczki z grzany do kawy mlekiem.

Po znakomicie przespanej nocy Rogosz zamówił sobie wiedeńskie śniadanie na konto wczorajszej diety, której w nawale zajęć nie zdążył wykorzystać. W ten sposób łątał jakoś skromny budżet inspektora w delegacji. Uposażenie pracowników służby kryminalnej nigdzie na świecie nie jest wysokie. Kto wie, z jakiego powodu nie brak kandydatów do wykonywania profesji, która związana jest z ryzykiem, przynosi często rozczarowania, a satysfakcje są nierzadko udziałem przełożonych. Historie słynnych detektywów: panów Poirot, Colombo, prezentują z reguły ludzi skromnych, abnegatów. Ale ich osoby personifikują prawo i jego zwycięstwo. I to właśnie rekompensuje trudności związane z tym zawodem.

Rogosz nie przeczytał jeszcze do końca tytułowego artykułu w „Gazecie Wrocławskiej”, nie dopalił pierwszego papierosa - od pewnego czasu wstrzymywał się od palenia na czczo - kiedy zauważył, że ktoś z głębi sali zbliża się do jego stolika. Nieznajomy zatrzymał się na wprost niego.

W pierwszej chwili nie poznał natręta, ale zaraz uprzytomnił sobie, że jest to farmaceuta z apteki, którego Płaczkowski nazywał Adamem. Wyglądał „w cywilu” jeszcze młodziej niż w aptece, gdzie powagi dodawał mu biały fartuch. Był najwyraźniej skonsternowany i Rogosz, żeby go ośmielić, zapytał, czy czeka na kogoś. Może ma ochotę się przysiąść?

Okazało się, że Adam zjawił się tu wyłącznie w tym celu, żeby znaleźć kapitana. Nie ma innego hotelu w Oleśnicy. Wiedział,

że go tu zastanie. I przyznał się, że kręci się od godziny w okolicy. Nie miał odwagi telefonować. Czy mógłby?

- Tutaj czy u mnie w pokoju? - zapytał Rogosz.

Wolałby na górze. Rogosz poprosił o rachunek, pozostawiając kelnerce spory napiwek. Podziękowanie za dobrą obsługę. Koledzy żartowali z niego, że jest pryncypialny i przywiązuje zbyt dużą wagę do drobnych gestów. Może? Jak inaczej wychować ludzi, żeby uwierzyli w sens dobrej roboty?

Hotel był staromodny, przedwojenny. Przestronne korytarze, pokoje-landary. Za to brak wszelkich urządzeń higienicznych, których należało szukać na korytarzu. Wolał te klitki nowoczesne, ale przynajmniej z łazienkami.

Przystanął przed swoim numerem i przeprosił towarzysza: wejdzie pierwszy. Pozostawił po sobie nieład, nie spodziewając się gościa. Zamknął drzwi. Narzucił byle co na rozścielone łóżko, a przy sposobności wyjął z torby magnetofon. Sprawdził mikrofon i ustawił sprzęt na kanapie, zarzucając go kocem. Nastawił magnetofon nie po to, by oszczędzić sobie zapisywania zeznań, lecz dlatego, że przekonał się wielokrotnie, jak wielkie może mieć znaczenie przesłuchanie zeznań z taśmy. Czasem jedno słowo, intonacja, której nie dosłyszało ludzkie ucho, stanowi inspirację do dalszych poszukiwań.

Obecnie przygotowany był do rozmowy i poprosił Adama, który kręcił się niespokojnie po korytarzu. Gość rozglądał się po pokoju, wciąż jeszcze w rozterce.

- Proszę sobie usiąść na kanapie - powiedział Rogosz. I pomyślał, że cel uświęca środki, byleby baterie nie były wyczerpane, ponieważ wczoraj używał ich ponad miarę. Zajął miejsce naprzeciw: - Dziękuję, że pan przyszedł - próbował ośmielić rozmówcę. - Mam niewiele czasu. Słucham!

Adam przeraził się. Już, zaraz. Wszystko sobie ułożył w głowie. Tylko teraz się jakoś rozplynęło. Może zacznie od tego, że nie powiedział wczoraj całej prawdy. To nie tak. Kapitan musi go zrozumieć. Nie chodzi o niego samego.

- Kogo kryje?

Nie, to nie o to chodzi. Ma dziewczynę. Studiuje we

Wrocławiu na wydziale matematyki. Ale mieszka w Oleśnicy. Tego dnia, 12 listopada, przyjechała do rodziców, to znaczy do niego. Zaraz poszła do apteki, bo nie zastała go w domu. W pomieszczeniu sklepowym panowała ciemność, tylko na zapleczu paliło się światło. Zamierzała wejść tylnymi drzwiami, ale usłyszała podniesione głosy, które ją zaniepokoiły. Sądziła, że to Adam posprzeczał się z kierownikiem. I obawiała się, czy to nie ona stanowiła powód nieporozumienia. Ale na ten temat później. Najważniejsze przyjdzie teraz.

- Która to była godzina?

Nie wie dokładnie. Aptekę zamykają o osiemnastej. Pracują bez przerwy, ciągną tym samym personelem. A on spotkał się później z Anią koło dwudziestej pierwszej.

Inspektor zanotował w brulionie: między 18.10 a 20.50. Wrzos musiał zaczekać, aż wszyscy opuszczą aptekę. Adam, który wciągał się w tok śledztwa, dorzucił:

- Chyba bliżej osiemnastej niż dwudziestej pierwszej. Bo ona jeszcze wstąpiła do rodziców, a dopiero później mnie znalazła. Spotykamy się zazwyczaj w „Świteziance”. Lubimy tę kawiarnię.

- Co usłyszała? Proszę powtarzać dokładnie. W przeciwnym wypadku będziemy zmuszeni przesłuchać pana sympatię. -1 pomyślał w duchu, że i tak nie ominie ją rozmowa z Płaczkowskim.

Adam powiedział, że nie ma po co przesłuchiwać dziewczyny. Powtórzyła mu każde słowo po kilka razy. Najpierw jakiś obcy głos nalegał, że Markowski musi z nim pojechać, odebrać dług czy zapłatę. Zatelefonują z poczty i uprzedzą o przyjeździe. Kierownik mówił, że nigdzie się nie ruszy. Tamten naciskał, że muszą się trzymać razem, jak kiedyś. A Markowski krzyknął, że nie potwierdzi kłamstwa. Padło też słowo „telewizja”, ale Ania nie dosłyszała w jakim kontekście... Później przejeżdżał szosą samochód ciężarowy i zagłuszył rozmowę. Już chciała odejść, bo zrozumiała, że ta rozmowa nic ze mną nie ma wspólnego, kiedy nagle uczyniło się na jezdni cicho i rozpoznała wyraźnie głos Markowskiego, który stawał się jakby spokojniejszy. Powiedział do tamtego, że skończy z koszmarem. Pójdzie sam.

- Z pewnością myślał o milicji, panie kapitanie - powiedział Adam. - To był zacy chłop. Grał uczciwie. Coś panu powiem, chociaż przeciwko sobie. Można było uratować życie Markowskiemu. Ania mi to wszystko opowiedziała. Gdybym zaraz zadzwonił... Przyjaźnię się z porucznikiem Płaczkowskim.

Rogosz zdawał sobie sprawę, że w czasie spotkania Adama z dziewczyną Markowski z pewnością już nie żył. Tym niemniej zapytał surowo, dlaczego tak długo zatrzymywał tego rodzaju informacje dla siebie. Pytał go o telefony, wizyty...

Adam czuł się nieswojo, chciał też bardzo dojść z kapitanem do porozumienia. Zeznał to, co sam wiedział. I o tym facecie z bokobrodami. Co do telefonów... Przysięga! Żaden nie zwrócił ich uwagi. Chodziło o zamówienia, które czekają, bo leków nie ma, czy też nie wysłali na czas. Kierownik monitował albo się tłumaczył, i takie to były rozmowy. Czasami zamawiał bilety do teatrów wrocławskich dla całej czwórki. Zaraz. Zapomniał o jeszcze jednej drobnostce, ale chyba ta wiadomość nie będzie miała znaczenia dla kapitana. Chodzi o sznur. Leżał cały kłębek jeszcze poprzedniego dnia. Sam kupował dla kierownika, bo Markowski wybierał się z rodziną do Chęcina, a nie miał plandeki na bagażnik. Jeździł fiatem 126 w cztery osoby. Bez bagażnika ani rusz, a zamierzali wyjechać na Nowy Rok. Myślał, że ta wiadomość jest bez znaczenia. Jeżeli jednak z tego kłębka... Powie już wszystko do końca, bo i tak kapitan się dowie. To Ania jest jedną z tych dziewcząt, które stanęły wraz z kolegami przed sądem. Przysięgała, że była tylko dwa razy na seansie i to z ciekawości. Od niego nigdy nie dostała grama morfiny czy innego świństwa.

- Nie trułbym swojej dziewczyny. Proszę mi wierzyć. Nie jest pan w stanie zrozumieć psychiki takiej młodej dziewczyny... - Raczej odczuł niż zrozumiał, że popełnił nietakt, i zaraz się poprawił: - Ja, chociaż jestem o kilka lat starszy, myślę i czuję inaczej. Ci młodzi nie dzielą świata na czarne i białe kolory. Chcą pokosztować wszystkiego, sami się przekonać, a nie opierać na doświadczeniach starego

pokolenia. Muszą się sami sparzyć i choć zdaje nam się, że mogliby uniknąć wielu kłopotów dzięki doświadczeniu poprzedniego pokolenia, są to złudzenia, przekonałem się o tym. Teraz Ania odcięła się od tego towarzystwa, które urządziło seanse narkomańskie jedynie ze snobizmu. Bała się, że gdyby powtórzyła na milicji podsłuchaną rozmowę, mogą jej nie uwierzyć, podejrzewając, że chce się odegrać za zeznania Markowskiego w sądzie. Wolałem sam rozmawiać z panem kapitanem...

Rogosz pomyślał, że choć narzekamy na brak świadomości prawnej społeczeństwa, we własnej obronie zna ono przyznane mu prawa. I uprzedził farmaceutę, że jego panienska ma jednak obowiązek złożenia oficjalnych zeznań w komendzie. Radził także lepiej pilnować dziewczyny.

Zaraz po wyjściu gościa kapitan kilka razy przesłuchał fragment relacji Adama, odtwarzający zasłyszaną przez dziewczynę rozmowę. Wyłączył dźwigienkę. Wyjął z teczek arkusz papieru, na którym spisał dla użytku majora prowizoryczną wersję zabójstwa Markowskiego. W zdaniu, które brzmiało: „W godzinach wieczornych sprawca wszedł tylnym wejściem na zaplecze apteki w celu spotkania się oraz przeprowadzenia rozmowy z Markowskim w sprawie...” skreślił znak zapytania. Nim zamknął teczkę, zastanowił się, kim mógł być wówczas, w roku 1953 Markowski? Kiedy związanych strażników i szofera wrzucono do wnętrza samochodu bankowego, przy kierownicy siadł młody, szczupły chłopiec. Nie odzywał się i nie brał aktywnego udziału w napadzie. W każdym razie nie on strzelał! Nic łatwiejszego niż porównać utrwalone fragmenty linii z tymi, które przechowywane są w warszawskim archiwum. Człowiek starzeje się, może zmienić zawód, żonę, charakter, a teraz medycyna zakłada, że nawet płeć. Ale indywidualne cechy ukształtowania dłoni pozostają te same... Adam nie doceniał, ile warta była jego informacja o sznurze. A więc Wrzos zabrał ze sobą kłębek? Coś mu się nie zgadzało! Zrozumiałe było, że wyrzucił kawał sznura, który stał się narzędziem zbrodni. Fakt, że nie chciał w tej sytuacji zostawić kłębka, z którego - jak należy się domyślać - odciął

spory kawałek, świadczy o przytomności umysłu. Czemu więc nie pozbył się wszystkiego? Dlaczego woził ten kłębek do Nowego Targu? Przecież nie dlatego, żeby samemu za jego pomocą pozbawić się życia. Takie historie dobre są w powieściach. I przy słowie „sznur” postawił znak zapytania, podkreślając ostatnie zdanie czerwoną kreską. Niewiadomych było więcej. Dlaczego Wrzos mówił o długu, skoro w prasie, w 1954 roku, ukazała się wzmianka o odnalezieniu w lesie pieniędzy, zagrabionych w napadzie na samochód bankowy. Mogli tej informacji, podanej drobnym drukiem, nazywanym nonparelem, nie zauważyć. W takim przypadku wybraliby się po pieniądze, żeby je wykopać i podzielić łup. Znaleźliby puste worki... Mimo intuicji i przekonania nie wolno mu zakładać związku tych dwóch nieżyjących z napadem. Szantaż Wrzosa mógł dotyczyć narkotyków. Handlował przecież, czym się dało: trucizną, złotem, wdziękami swojej kochanki.

Dzwonił portier zawiadamiając, że przed hotelem czeka samochód. Rogosz prosił przekazać kierowcy, że już schodzi.

Płaczkowski czekał w komendzie z dobrą nowiną: Kraków wywiązał się bez pudła. Wystarczyło pół godziny pracy eksperta wrocławskiego, żeby porównując utrwalone na szkle butelki linie papilarne z odpowiednimi fragmentami, przechowywanymi w krakowskim archiwum, stwierdzić z całą pewnością, że człowiekiem, który znajdował się w godzinach wieczornych na zapleczu oleśnickiej apteki, był Kazimierz Wrzos. Nie będzie ścigania, wizji lokalnej, prokuratora i ławników. Zaoszczędził roboty sędziemu i strażnikom więziennym. Niech to wszyscy diabli! Nie można już było dłużej zwlekać. Połączył się z majorem Zawadką.

- Wiem coś niecoś - powiedział szef. Rogosz zrozumiał, że major nie ma do niego pełnego zaufania, informuje się u kogoś z boku. Okazało się, że u komendanta Jaroszka. - Twoja wersja? - zapytał pod koniec rozmowy.

Rogosz wyjaśnił krótko: według wszelkiego prawdopodobieństwa Wrzos miał porachunki z Markowskim. Nadal jest przekonany, że istnieje związek tych ludzi z napadem na konwój. Przy sposobności przesłuchania żony denata okazało

się, że młody Markowski studiował w Warszawie i przerwał naukę w roku 53, o którym mówił jako o krytycznym okresie swojego życia. No dobrze... Nie wystarczy. Ale rozliczenie z Wrzosem zaważyło na życiu aptekarza. Wrzos zabił go, wrócił do Nowego Targu. Powiesił się.

- Jak ci taka wersja odpowiada?

Zawadka stwierdził spokojnie, że najbardziej odpowiadałby mu powrót Rogosza do Warszawy. Należy przygotować pełną relację do wiadomości kierownictwa. Rogosz miał wprawdzie inne plany, chciał jeszcze skoczyć do Nowego Targu, „wyczyścić” sprawę Wrzosa, ale nie lubił, kiedy podejrzewano go o „prywatę”, a jego przyjaźń z Jaroszkiem nie była dla szefa tajemnicą. Zapowiedział więc natychmiastowy powrót i zamówił sobie miejsce na najbliższy samolot do Warszawy. Okazało się, że komendant powiatowy wybiera się do Wrocławia i podrzuci go na lotnisko. Choć tyle szczęścia, że nie będzie musiał się wlec pociągiem osobowym. Pośpieszył więc do hotelu, żeby spakować podręczną walizkę.

Ledwo odebrał klucz od portiera i ściągnął windę na parter, poproszono go do telefonu. Świergotała panienka z międzymiastowej. Ma na linii Nowy Targ. Bardzo są nerwowi. Ona doprawdy nie rozumie. Jak można mieszkać w pobliżu Zakopanego i denerwować się o byle głupstwo. Gdyby oni tam mieli taki podły klima t, jak tu, w Oleśnicy... Już, już łącz!

Przy telefonie czekał Jaroszek. Objawiał całkowity brak ochoty do żartów i nie dopuścił przyjaciela do głosu.

- Mam w ręku wyniki sekcji. To nie było samobójstwo! P»d bruzdą wisielczą stwierdzono ślady zagardlenia. Wciąż to samo. Lekarze pogotowia nie mają wątpliwości: Badania belki na strychu potwierdziły wyniki sekcji. Odkształcenia na drzewie wskazują kierunek przesuwania pętli ku górze. Powieszono osobnika omdlałego albo już nieżywego. Nie będę ci teraz odczytywał całej ekspertyzy. Co dalej? - Głos majora był pełen troski. - Jeżeli Wrzos nie popełnił samobójstwa, istnieje ktoś trzeci i być może ma na sumieniu dwie ofiary... Że Wrzos był w Oleśnicy? Sam pobyt nie przesądza osoby sprawcy. Mógł nawet pokłócić się z

Markowskim i spokojnie opuścić aptekę. Morderca przyszedł później. Przecież nie twierdzą, że tak akurat było. Złości mnie, że ty już wszystko wiesz, z góry wiedziałeś, że to nie było samobójstwo. Myślisz, że tego nie wyczulem... Ślady na butelce. A jeżeli je pozostawił dwa tygodnie temu? Jaki masz dowód na ich zażyłą znajomość?

- Wszystko rozumiem - powiedział Rogosz i czego major absolutnie nie mógł już pojąć, głos jego brzmiał raźnie, jakby nie zawalił się cały gmach logicznie skonstruowanego dochodzenia. Zakończył rozmowę zapraszając się na kolację do Jaroszków. Jeżeli będzie ta koleżanka, tym lepiej. Lubi spędzać wieczór w towarzystwie przystojnych kobiet.

Zwariował! - pomyślał Jaroszek i zatelefonował do żony, że Rogosz przyjeżdża do Nowego Targu, trzeba coś kupić na kolację. Koleżanka? Niech przyjdzie. I tak nic z tego nie będzie!

Rogoszowi pozostał telefon do Zawadki. Zabrał walizkę z hotelu, wrócił do komendy i nie odpowiedział na zdziwione spojrzenie Płaczkowskiego. Porucznik już wiedział, że nadeszły sensacyjne nowiny z Nowego Targu, ale nie chciał zabierać głosu. Ci starzy tego nie lubią. Od początku czuł, że sprawa Markowskiego za szybko została zamknięta... Gwoli prawdzie tego rodzaju refleksja naszała go dopiero teraz. Ale nic ważniejszego niż dobre samopoczucie od samego rana.

Rogosz, nie tłumacząc swojego postępowania, zamknął się w pokoju i połączył z Zawadką. Był u komendanta. Mimo to poprosił go do telefonu. W poważnych sytuacjach nie ma miejsca na protokół służbowy. Po chwili major wrócił do gabinetu, podniósł słuchawkę. Kapitan poinformował krótko o nowym obrocie sprawy. Szef zaklął. Powoli i jego zaczęła wciągać ta zagadka kryminalna, która w codziennym życiu funkcjonariusza tej służby nie trafia się zbyt często. Na ogół borykają się wciąż ze skutkami przypadkowej agresji, brutalności, spotęgowanej działaniem alkoholu. I musiał przyznać, że Rogosz miał, „nosa”. Za ostro go jednak potraktował.

- Masz szczęście, chłopie - powiedział z pewną ironią. - Zdaje się, że w tamtej sprawie było trzech współników.

Powodzenia w poszukiwaniach tego trzeciego. Jeżeli będzie ci nadal towarzyszyć powodzenie, urodził się w trzydziestych latach, a w pięćdziesiątym trzecim wybrał się na zakupy do „Warsa”. Przepraszam, zapomniałem, że cały handel mieścił się wtedy w „Cedecie”... Telefonuję zaraz do Krakowa. Niech ci przydziela ekipę. Nie chcesz? Zbyszek! Znowu popełniasz błąd. W każdym razie chcę być codziennie informowany. I nie zapominaj, że prowadzisz sprawę zabójstw z roku 1975. Tośmy sobie już raz powiedzieli.

Rogosz wcale nie zamierzał łamać ustalonej reguły gry. Był jednak wciąż przekonany o tym, że ujęcie zabójcy Markowskiego i Wrzosa będzie jednocześnie krokiem naprzód w identyfikacji sprawców napadu na konwój bankowy. Jeżeli zgromadzi argumenty, nim stanie z tym człowiekiem oko w oko... Ale nie miał wątpliwości, że nadejdzie w jego życiu taki dzień.

Kim byli w roku 1953 Markowski i Wrzos? Miał pewne przypuszczenia. Teraz już nie wystarczą. Należało powoli gromadzić dowody. Aptekarza widział w roli kierowcy. Wpadła mu pewna myśl do głowy. Zatelefonował do żony denata. Trzeba próbować!

Barbara Markowska miała wciąż zgębniony głos. Spytała, czy ujęto zabójcę.

Ach ta Oleśnica! - zaklął w duchu Rogosz i zaprzeczył.

Niestety, nic pewnego nie mają do powiedzenia. Ma natomiast pytanie: czy nieżyjący mąż był kierowcą?

Odpowiedziała, że tak. Są właścicielami samochodu. Chodziło jednak o to, by sprawdziła prawo jazdy męża. Jakiej jest kategorii?

Nie musi sprawdzać. Miał zawodowe prawo jazdy. W czasie pierwszych lat studiów dorabiał sobie jako kierowca samochodu ciężarowego, szczególnie w okresie wakacyjnym. Nie chciał korzystać z pomocy rodziny. Kobieta nie traciła żadnej okazji, żeby wzbogacić portret idealnego człowieka; jakim był w jej odczuciu zmarły.

Rogosz przeprosił Markowską, życzył jej jak najbardziej

szczerze „dobrej nocy” i wrócił do Wrzosa. Jaką rolę mógł odegrać w scenariuszu napadu, napisanym przez kogoś bardzo jeszcze niedoświadczonego, jakim był wówczas on sam. Wrzos był zabójcą milicjanta! Jego brutalność, impulsywność mogłyby potwierdzać tego rodzaju hipotezę... Dowody? Należałoby sięgnąć do pomocy daktyloskopii. Jeżeli ślad linii papilarnych zabójcy Krawczyka, utrwalony na kierownicy samochodu bankowego będzie się nadawał po tylu latach do badań indywidualnych - nie będzie żadnych trudności, by porównać ten ślad z odciskami, które pobierał niejednokrotnie u Wrzosa odpowiedni wydział krakowskiej komendy wojewódzkiej. Był jej „wiernym klientem” od dobrych kilku lat.

Należało szybko działać! Jediną osobą, która nie pytając rozumie, kiedy niezbędny jest pośpiech, była Janka, sekretarka majora. W dodatku wołał, by jego prośbę spełniła w sposób dyskretny. Połączył się z Warszawą. Janka była w pokoju i nie zdziwiła się, kiedy uprzedził, że zlecenie nie ma charakteru służbowego. Powiedziała półzartem, że wykona je w godzinach nadliczbowych, gdyby takie liczono w komendzie. Jutro, najdalej pojutrze poprosi daktyloskopię o prywatną ekspertyzę. Ile razy ona mu robi grzeczności!

Janka była rzeczywiście nieoceniona. Poprosił jeszcze o przełączenie rozmowy na pokój kapitana Żarnowskiego. Okazało się, że przyjaciel parzył sobie właśnie herbatę i zastanawiał się, gdzie podziewa się Rogosz. Nie mógł się niczego dowiedzieć od Kopcia. Sprawił na nim wrażenie, jakby nie był zadowolony z wyjazdu Rogosza.

- A o co chodzi? - spytał wreszcie Żarnowski.

Rogosz nie bardzo mógł i chciał rozmawiać na temat śledztwa, które prowadził. Powinien być w tych dniach w Warszawie. Może mu tylko tyle powiedzieć, że „siedzi” na dwóch zabójstwach. Ma prośbę. Próbował zamówić rozmowę międzymiastową, ale musiały długo czekać. Nie ma chwili czasu. Czy nie umówiłby się w stołowce z Jankiem i może podsunął mu ze dwie stówy. I niech mu powie, że ojciec prowadzi śledztwo, w którym sam Colombo musiały się naradzać z Poirotem....

Rozdział 11

Prosto z dworca skierował kroki do mieszkania Jaroszka. Stefan przeprowadził się w ostatnim roku do wysokiego bloku w nowym osiedlu, który kontrastował z niskimi zabudowaniami podgórskiego miasteczka. Ciekaw był jak się teraz urządził.

Przeskakując po dwa schodki, jakby mu ubyło dwadzieścia lat, znalazł się na trzecim piętrze i poszukał numeru mieszkania. Doznał przyjemnego uczucia usłyszawszy głos dzwonka. Brzmiał jak pierwsza fraza znanej melodii. Z pewnością to dzieło syna Stefana, Jurka. - „Wiesz stary, ile dolców trzeba zapłacić za taki dings? A robota?” Ciągłe coś „kombinował”, wymieniał z chłopakami albo sam majstrował Jurek i Janek przyjaźnili się kiedyś. Rodzą się te związki w trakcie zabawy na wspólnym podwórku, w szkolnej ławie i roz-pływają się z chwilą zmiany miejsca zamieszkania. Tyle że Jurek wciąż był z rodzicami. Janek pozostawał sam, bo ojciec z tytułu swojej pracy jeździ po Polsce. Nie zdążył westchnąć, kiedy w drzwiach stanęła żona przyjaciela: niewielkiego wzrostu, pulchna, apetyczna kobietka. Zjeść bez soli, ale i ponudzić się można. Znakomity relaks przy ich pracy, która przynosi aż za dużo emocji.

- Zbyszek! - ucieszyła się. - Stefan w drodze. Rozgościsz się tymczasem w swoim pokoju. - Zlustrowała go sprytnym, kobiecym oczkiem: - Jest czas. Może chcesz się przebrać, wykapać?

Zamierza mnie tej przyjaciółce zaprezentować w eleganckim opakowaniu - domyślił się. Niestety nie wziął ze sobą garnituru na zmianę. Włoży przynajmniej białą koszulę. Okazało się, że brak jej było guzika i to na samym przodzie. Marysia kazała mu iść za sobą do kuchni, wypucowanej do błysku. Wyjęła z szuflady nici, igłę, napaśtek - wszystko to było ułożone porządnie w rozmaitego kształtu pudełkach - i kazała Rogoszowi zdjąć marynarkę. Posprawdziała guziki, podszewkę, tokując bez przerwy nad nieszczęsnym losem samotnie

żyjącego mężczyzny.

Święty człowiek z tego Stefana - podziwiał w skry- ości ducha gość. - A może lubi tę nieustającą troskliwość, terkotanie na tematy tak odległe od ich codziennego chleba?

Po dokonaniu generalnego remontu jego garderoby, gospodyni zaprowadziła go do niewielkiego pokoju przygotowanego dla gościa. Na stoliku wdział się wazon pełen jesiennych kwiatów. Łóżko było pościelone, nocna lampka przy wezgłowie, miejscowa gazeta, popielniczka, woda mineralna. Prawdziwy dom! A może jednak Stefan ma rację? - zamyślił się Rogosz i przypomniał sobie własną, nigdy nie wysprzątaną porządnie kuchnię.

Za chwilę otworzył drzwi z klucza gospodarz, przepuszczając przed sobą panią w wieku około czterdziestu lat. Dawniej mówiono o takich kobietach: „Nosi ślady dawnej urody”, a dziś nikt nie śmiałby bąknąć: „Dobrze się trzyma”. Po prostu młoda kobieta, która nie zamierzała ustępować z placu boju.

Pani Justyna była koleżanką pani domu i dyrektorem technikum, w którym uczył się syn Jaroszków. Wykładała ponadto matematykę w liceum, do którego chodziła między innymi córka Stefanów. A więc w zasadzie przyszłość każdego z domów w tym miasteczku leżała w ręku pani pedagog. W związku z powyższym, co zresztą nie przeczyło jej osobistym urokom, należała do śmietanki towarzyskiej tej niewielkiej społeczności. Dla Jaroszka, który nie wychodził przez cały dzień z kręgu zawitych problemów ludzi marginesu społecznego, tego rodzaju towarzystwo stanowiło rodzaj kąpieli moralnej.

Towarzystwo po zapoznaniu się, wymianie zdawkowych grzeczności siadło do kolacji.

Nie oszukujmy się! Widok apetycznie zastawionego stołu wywołuje u każdego uczucie radosnego podniecenia. Zapobiegliwa pani domu zdobyła szynkę, której płatkami owinęła jajka ugotowane na twardo, ułożyła rozmaite marynaty w kolorowe miseczki, pasztet domowy ozdobiła niby koroną białą rzepą i postawiła przy nakryciu każdego gościa kieliszek, nie po to przecież, ażeby tkwił pusty. Wszystko to pasowało do

Marysi, i kuchnia wyczyszczona, jak buty żołnierskie na niedzielę, i jej własny wygląd, i ten stoliczek „nakryj się”.

Starali się prowadzić niekonwencjonalną rozmowę bez większych rezultatów. Panowie nie mogli oderwać się od problemów związanych z ich pracą, a ten temat raczej nie odpowiadał relaksowemu charakterowi tego wieczoru. Pani Justysia, uprzedzona o tym, że gość z Warszawy wychowuje dorastającego syna, próbowała, kierując się wyrozumowaną grzecznością, sprowadzić dyskusję na temat nie znanego jej chłopca: - Jak się uczy? W jakim przebywa towarzystwie? Czy zdradza niepokoję swojego wieku?

Pytania zadawała w sposób miły, elegancki, ale Rogosz ocenił jej zainteresowanie jako nieproszoną ingerencję w cudze życie. Powiedział, że Janek jest bezproblemowy, co nie odpowiadało zresztą prawdzie. Osobiście jest przeciwny tolerowaniu swobody, która została zaakceptowana przez świat dorosłych. Poblążliwość starego pokolenia wynika z chęci przypodobania się młodym. Nie wiadomo dlaczego nastroszył się, być może podejrzewając, że zamach na jego wolność został ukartowany przez wszystkich troje. Wypił o jeden kieliszek za dużo i nagle, na złość nie wiadomo komu, wyskoczył z szokującą tezą, że dużej części przestępstw młodych, szczególnie w dziedzinie seksualnej, winne są ofiary. Łatwość posiadania przygodnie poznanej dziewczyny, wyeliminowanie elementów walki, pozbawia odwieczne zabiegi o względy kobiety - ich podstawowej atrakcji. Mężczyzna jest stworzony do pokonywania przeszkód i dopiero wtedy, kiedy staje się zdobywcą, zwycięża opór - osiąga pełnię szczęścia, która w języku medycyny nosi bardziej prozaiczną nazwę. Skoro nie musi się wysilać, nabiera pogardy dla partnerki, zachowuje się często brutalnie, agresywnie, żeby sprowokować ją do oporu, który stanowi fizjologicznie uzasadniony element gry miłosnej.

Choć w tym, co mówił, były pewne racje, obydwu paniom, z których jedna była matką, a druga pedagogiem, teza wydała się zbyt śmiała. Pani Justysia poczuła się nieswojo, nie nawykła do tego rodzaju teorii, i zaraz sobie przypomniała, że jej zajęcia szkolne rozpoczynają się we wczesnych godzinach rannych.

Pani domu wstała z miejsca, żeby odprowadzić gościa. Jaroszek westchnął żałośnie, że Marynia znowu go ochrzani. Zapomniał bowiem uprzedzić przyjaciela, że pani dyrektor ma brata, który objawia odchylenia od normy seksualnej. Jeżdżą z nim po psychiatrach, ponieważ przesadza w brutalności i to mocno, twierdząc, że z dziwkami nie można inaczej.

- Teraz ta Justysia będzie przypuszczała, żeśmy się wygadali. Skoczyłeś bosą nogą w ognisko, a ja przy sposobności poparzyłem sobie nogi - Jaroszek westchnął wyobrazivszy sobie kazanie Marysi.

- Uprzedzałem, Stefan, że wpadam z jednego niefartu w drugi. Tym razem się cieszę. Schowaj butelkę do mojego pokoju. Pogadamy! Idealne zakończenie wieczoru.

Wróciła Marysia, objęła spojrzeniem cały stół, zauważyła świdrującym oczkiem zniknięcie butelki, machnęła ręką i zapytała Rogosza - bez cienia nadziei, że odpowiedź będzie po jej myśli - jak mu się podobała Justysia.

Rogosz odpowiedział dyplomatycznie, że trudno sobie wyrobić zdanie po tak krótkim spotkaniu. Widzi mu się, że zacznie częściej przyjeżdżać do Nowego Targu. I następnym razem nie zapomni o ciemnym garniturze. Ani razu go jeszcze nie włożył. Korzystając z tego, że pani domu poszła do kuchni umyć naczynia, wymknęli się do pokoju gościa.

- Zupełnie inne życie - odetchnął Rogosz. Wyciągnął z walizki ranne pantofle i zrzucił buty. - Zdejmuj marynarkę, Stefan. Masz prawo poczuć się wreszcie jak we własnym domu.

Jaroszek nagle spowaźniał: - Nie jest dobrze. Od wczoraj siedzi tu dwóch pracowników z krakowskiego wydziału kryminalnego. Przesłuchują połowę mieszkańców Nowego Targu.

- Nie rozumiem! - z odcieniem irytacji w głosie wykrzyknął Rogosz. - Mówiłem szefowi, że nikt mi nie jest potrzebny.

- Kraków ma inną ocenę sytuacji. Wrzos miał rozmaite i bogate powiązania. Uważają, że muszą go włączyć. Mają rację. Zbyszek! I tak będziesz kierował czynnościami

operacyjnymi. Autorytet Komendy Głównej nie został narażony na szwank. Ale to nie jest przypadek na samotne poszukiwania. Mnie możesz się przyznać, dlaczego chcesz pracować sam. Wiedziałem od pierwszej chwili, kiedy pytałeś o pobyt warszawski Wrzosa. Jeszcze nie zrezygnowałeś. Tak nie wolno. Paranoik zabije swoją żonę z urojonej zazdrości, a ty się będziesz dowiadywał, czy nie był przypadkiem w pięćdziesiątych latach meldowany w Warszawie. Wpadłeś w obsesję.

- Przestań. Nagracie sobie z Zawadką płytę, zaoszczędzicie energii na kazaniu. Jest jeden punkt, który przekreśla wasze zarzuty.

- A mianowicie?

- Moja mania, proszę, niech będzie maniactwo, nie stanowiła nigdy przeszkody w wypełnianiu codziennych obowiązków. Wiesz, że „Konwój” poszedł na „OZ”. Jeżeli mogę zbierać obserwacje na marginesie bieżącego zadania, komu to przeszkadza? Szukam mordercy bezbronnej staruszki, a przy sposobności daję folgę swojemu hobby - zbieram stare druki. A teraz posłuchaj! - Wyjął z torby magnetofon, cofnął dźwigenkę do punktu zerowego i powiedział do przyjaciela:

- Posłuchaj uważnie. Brałeś wtedy udział w działaniach naszego zespołu. Znasz sprawę. Czy nic z tego, co usłyszysz, nie każe ci zmienić zdania o maniaku?

Jaroszek milcząco słuchał treści zeznań, zamkniętych w dwóch kasetach. Wśród bełkotliwych, czasem nic nie znaczących odpowiedzi świadków, wyławiał słowa, które mogły, choć nie musiały znaczyć ślad i sam nie zorientował się nawet, kiedy przeszedł na pozycje przyjaciela. W pewnej chwili powiedział:

- Rozumiem, że widzisz, czy też nie wykluczasz aptekarza w roli szofera. W przeciwnym razie nie pytałbyś o prawo jazdy.

- Raczej to drugie. Jeszcze niewyraźnego pie widzę. Chwytam się mikroposzlak, zgaduję. I może bym nawet zrezygnował, ale trafiłem. Twoja Jędralowa zeznała przed

Kollatem, łepski chłopak, na okoliczność pobytu Wrzosa w Warszawie, właśnie w pięćdziesiątych latach. Może teraz powie coś więcej? Przypominasz sobie zeznania strażników o trzech napastnikach. Jeden leżał na drodze, udając chorego. Drugi zatrzymał wóz, a trzeci biegł z lasu, trzymając w pogotowiu pistolet. Strzelił dwukrotnie. Zabił!

- Wrzos?

Jaroszek nie zauważył, jak sam wciąga się coraz bardziej w zawikłane, przebrzmiałe wydarzenia. Sprzeciwiając się jeszcze przed kwadransem ich rekonstrukcji, podsunął teraz szansę i drogę dalszych poszukiwań.

- Najłatwiej ci będzie zidentyfikować Wrzosa. Masz ślad. Pamiętasz odblask linii na kierownicy ciężarówki? Potrzebne ci linie Wrzosa? Zadzwoń jutro do Krakowa.

Rogosz poinformował przyjaciela, że już to zrobił.

Osiągnął dziś wieczór znaczny postęp. Zyskał sojusznika, który był mu niezmiernie potrzebny.

- Teraz wszystko zależy od ujęcia zabójcy Wrzosa i Markowskiego. W moim przekonaniu - nie jestem Klimuszko - odpowie nam na pytania, dotyczące podziału ról. Nie będzie przecież zainteresowany, żeby zapisywać na jego konto zabójstwo milicjanta? Muszę go odnaleźć! Tym bardziej że jest to jedyny powód, dla którego Zawadka pozwolił mi kierować śledztwem- Wiesz, nad czym rozmyślałam i nie potrafię sobie odpowiedzieć nawet w sposób alternatywny: dlaczego ten trzeci, powiedzmy X, zabił współników? Rozrachunek? Ale za co? Świeże sprawy. Nie widzi mi się. Markowski prowadził przez kilkanaście lat przykładowy tryb życia.

- Albo i nie! Bazujesz wciąż na powierzchownych wywiadach, zeznaniach rodziny. Może ta trójka tworzyła gang walutowy. Może handlowali narkotykami? Czy my wiemy, co robią o każdej porze dnia i nocy 34 miliony obywateli PRL-u? Ale teraz serio. Nie trafisz przez Markowskiego na zabójcę. Z jego zachowania się, zeznań świadków i tych kilku enigmatycznych słów, wypowiedzianych na zapleczu apteki na chwilę przed

śmiercią, wynika, że nie utrzymywał kontaktu z bandą, która - jak zawsze twierdziłeś - zawiązała się na bazie grupy koleżeńskiej. Prędkiej już Wrzos. Ale ilość jego kontaktów, i to z reguły podejrzanych, niesłuchanie utrudnia eliminację. Znasz tryb życia takiego typu? On każdego dnia spotykał się z kilkoma stałymi klientami milicji, zastępował bank dewizowy amantom Solarzówny. Załatwiał dla nich zakupy, pośredniczył w szmuglu i stręczył do nierządu, którą to czynność nazywał ułatwianiem znajomości w imię międzynarodowych przyjaźni. Co gorzej, te kobiety, nawet oszukane, nigdy go nie chciały sypnąć. Stwarzał im jakies poczucie opieki. A ty chciałeś sam, bez pomocy ludzi z wydziału przeprowadzać eliminację?

Rogosz także nie wierzył w utrzymujący się przez długie lata kontakt tej trójki. Jednorazowe czy przypadkowe przestępstwo bywa czasem trudno wykrywalne. Stała działalność byłaby z pewnością zarejestrowana, jak nie w jednym wydziale, to w drugim. A po cóż istnieje centralna kartoteka? Co zaś do szerokiej eliminacji w środowisku Wrzosa, nie sądzi, by była konieczna. Uważa, że powinien się oprzeć na zeznaniach najbliższych współpracowników Wrzosa, którzy zechcą najpewniej pomóc w wykryciu sprawcy, chociażby ze względu na strach o własne życie... A propos: czy przesłuchali już Jędralową?

Okazało się, że do tej chwili jeszcze nie zdążyli.

- No to zostawcie ją mnie. Nie chciałbym, żeby ktoś w tej sprawie przejawiał zbytnią gorliwość. A Kollata, jeżeli ci nie jest niezbędny, zostaw mi do pomocy. Ten chłopak się wyrobi... Kiedy będę mógł zobaczyć funkcjonariuszy z Krakowa?

Okazało się, że już od ósmej rano przesłuchują świadków w komendzie. Dostali cały parter do dyspozycji.

- Rodzinę Wrzosa przesłuchano?

- Nie ma żadnej. Porozmawiasz zresztą sam... Uderzymy w kimono?

Jaroszek poczuł się bardzo zmęczony. W takim stanie i jedna setka dobija. Spać!...

Rozdział 12

Następnego dnia rano Komenda Powiatowa w Nowym Targu przedstawiała zupełnie inny obraz niż za ostatnim pobytem Rogosza. A było to zaledwie dwa dni temu. Ruch na parterze, bieganina, telefony. W korytarzu czekała spora gromada świadków. Na drzwiach jedynej ostrzegwał napis: „Przesłuchanie! Proszę nie wchodzić!”

Kapitan zajrzał do jednego z pokojów. Funkcjonariusz wstał na widok znanego mu pracownika z Komendy Głównej. Rogosz ruchem ręki dał znać, żeby sobie nie przerywał rozmowy.

Zeznawał jeden z miejscowych waluciarzy, który zadarł według informacji Kollata z Wrzosem. W tej sytuacji niewykluczone, że zechce sypnąć oskarżeniami, nie zawsze zresztą prawdziwymi. Ale przynajmniej jest materiał. Fakty, z których można eliminować fałszywe.

- Pobiliście się?

- Nie! Kazio nasłał na mnie swojego kumpla. W każdej sytuacji tak manewrował, żeby go ktoś wyręczał.

- I wyręczając złamał wam szczękę. Dlaczego nie podaliście go do sądu. Mieliście duże koszty.

Waluciarz uśmiechnął się odsłaniając misterne odratowanie, które podtrzymywało złamania, póki się na dobre nie zrosną. Rozumiał, że pytanie Kollata jest raczej retoryczne. Znał dobrze ich prawa i obyczaje. Samemu zgłaszać się do sądu? Przeciwno koledze? Co do kosztów, zapłacił najlepszego technika w Krakowie. Załatwił lepiej niż w ubezpieczalni.

- Świadek nie domyśla się, nie wie, kto był zainteresowany w śmierci Kazia?

Waluciarz zeznawał podobnie jak pozostali, nie wnosząc nic nowego. Powodzi im się nieźle. Złoto idzie w górę. Dolary też. Ludzie potrzebują dolce na samochody i dają im zarobić. Bonami teraz wolno handlować, to i ludzie do nich przychodzą. Dlaczego mają się między sobą zabijać, skoro aż za dużo tej roboty. Co do wyjazdów... Wrzos bywał zawsze w drodze. Trzeba szukać klienta, bo szyldu nie mają. Niewiele można było z tego świadka, jak i następnych, wydusić.

Po południu Jaroszek zszedł na parter do pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie. Jedzie do Krakowa na kilka godzin. Może Rogosz zechce mu towarzyszyć? Niewykluczone, że porównawcza ekspertyza będzie już gotowa. Jeżeli nie, naciśnie na miejscu eksperta od daktyloskopii.

„Naciskanie” mogło się odbyć drogą telefoniczną, ale kapitan chciał się zapoznać z kartoteką Wrzosa. Być może z poprzednich spraw wyjdzie na dzisiejszą? Głównie chodziło o kontakty. „Grube”, znaczące powiązania łączyły się z Krakowem poprzez Solarzównę i jej klientów. Spróbuje wygospodarować sobie czas na odwiedzenie apartamentów „szejka”. Czy ślady nie zaprowadzą do cudzoziemskich klientów Ireny, których zazdrosne, gwałtowane usposobienie stanowi temat tysiąca i jednej historii miłosnych?

Przekazał swój znakomity, japoński magnetofon Kollatowi z prośbą o nagrywanie ciekawszych zeznań.

Wsiedli do cywilnego fiata. Major Jaroszek prowadził. Twierdził, że kierowanie wozem nie jest pracą, a odprężeniem, możliwością odcięcia się od kłopotliwych problemów pracy i życia. Rogosz pomyślał o domowej idylli przyjaciela, która najbardziej cierpliwemu może dać się we znaki.

W pracowni daktyloskopii otrzymali już przesyłkę z Warszawy (Janka wciąż bezkonkurencyjna), ale na ekspertyzę porównawczą należało czekać najmniej dwie, trzy godziny. W czasie kiedy Jaroszek konferował z kierownictwem Wojewódzkiej Komendy, Rogosz przeglądał dokumentację dotyczącą Wrzosa. Mimo kilkakrotnych aresztowań materiał był niebogaty, jedno-tematyczny, wciąż związany z transakcjami walutowymi. Widać było, że Wrzos dzięki Solarzównie wyrobił sobie pewną pozycję w tym świecie. Wpadł tylko na serio jeden raz i odsiedział dwa lata, ponieważ wbrew etyce zawodowej sypnął go wspólnik. Nazywał się Zbigniew Król i zamieszkiwał w Krakowie. Może Wrzos zapowiedział zemstę, a Król, znając gwałtowane usposobienie Kazia, uprzedził go? Rozmowa, przeprowadzona na zapleczu apteki, mogła być związana z Królem. Przynajmniej tak sugerował Jaroszek, a Rogosz, który nie wierzył w żadną inną

wersję poza własną, zgodził się, że trzeba uwzględnić i taką możliwość. Podjął zobowiązanie wobec szefa. Prowadzi sprawę o zabójstwo z roku 1975. Nie wolno mu rezygnować z żadnej ewentualności.

Zanotował adres Króla i pojechał wprost do jego mieszkania na ulicy Manifestu Lipcowego, próbując zaskoczyć człowieka, który miał motyw do zemsty.

Drzwi otworzyła kobieta z dzieckiem na ręku.

- Kapitan z milicji? Kpi czy o drogę pyta? Mąż siedzi już trzeci rok, a ten udaje, że o niczym nie wie.

- A dziecko?

- Dali mężowi zwolnienie na tydzień za dobre sprawowanie... - A teraz niech się wynosi. I zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Te siedem dni były bez znaczenia. Dziecko miało przynajmniej roczek. W listopadzie 1975 roku Król siedział w mamrze. Znowu stracony czas. Odsunął od siebie myśl, że sam sobie jest winien. Za dużo bierze na siebie. Godzina była wczesna, ekspertyza w laboratorium z pewnością niegotowa. Wsiadł do taksówki i pojechał do apartamentu, w którym „samotna” Solarzów- na czekała na zakochanego „szejka”.

Drzwi otworzył młody mężczyzna w haftowanym garniturku aksamitnym. Bez pytania wciągnął Rogosza do wnętrza mieszkania, składającego się z jednego, ale bardzo przestronnego pokoju. Ani się zdążył rozejrzeć, kiedy porwała go wcale niebrzydka czarnula. Podwieczorek bez mikrofonu, ale za to ze stereofonicznym adapterem. Solarzówna urozmaicała sobie czas oczekiwania, dłużący się wszystkim ludziom w okresie jesieni. W ciepłym wnętrzu, oświetlonym ogniem kominka, było bardzo wesoło. Panie były odpowiednio rozebrane, panowie nieodpowiednio ubrani. Przynajmniej w oczach Rogosza, który nie znosił tego pindrzenia się, tych ozdóbek, butów na podwyższonych obcasach i przezroczytych koszul. Udało mu się wyzwolić z ramion czarnuli, która koniecznie chciała go sprawdzić w „serfie”, i znalazł wreszcie Solarzównę, tańczącą z mężczyzną, który zaprotestował w nieznanym języku kiedy odbił mu partnerkę.

- Co znowu? - przestraszyła się ślicznotka.

- Zatańczymy - zachęcał Rogosz ku jej zdziwieniu. Spróbował się sprawdzić w starym, tradycyjnym swingu z nieco lepszym rezultatem i nagle powiedział ostro, brutalnie: - Powiesili go. I wiesz dobrze, kto to zrobił!

- Ja wiem? - Była przerażona i nie udawała tym razem.

- Mógłbym prosić jutro do komendy? Porucznik Kollat niecierpliwie czeka.

Kiedy kobieta wyczuła, że „głina” jej uwierzył, znowu zrobiła się bezczelna. Czy koniecznie jutro? Jej klient pozostaje w Polsce dwa dni. Nie ten, drugi. Przecież ona najwięcej straciła na przekręceniu się... poprawiła się ... na śmierci Kazia. Przyjezdni chcą się wyżyć, wydać pieniądze, ciągle muszą zmieniać walutę. Teraz jest zdana na byle kogo. Jak nie okradnie, to na kursie oszuka. Nie może Wrzosa odżałować. A do Nowego Targu przyjedzie w końcu tygodnia. - Dobrze kapitanku?

Rozmawiaj tu grzecznie z taką. Wycofał się, prowadząc ją w tańcu w kierunku drzwi, i w pewnym momencie pozostawił partnerkę przykazując surowo:

- Spotkamy się pojutrze, w środę. Zna pani dobrze kawiarnię po prawej stronie od recepcji. Pojutrze o godzinie dwunastej. Daruję pani Nowy Targ z powodu wysokiej koniunktury. Rozumiemy się?

Żeby się było nie wiem jak twardym mężczyzną i to funkcjonariuszem milicji, trudno było nie zauważyć wielkiej urody Solarzówny. Niech tam! Pójdzie jej na rękę. W bramie stał cywil. Czuć go było na milę wydziałem obyczajowym. Pilnuje meliny. To i dobrze. Rogosz pojechał do komendy. W pracowni daktyloskopii światła były już wygaszone, a od oficera dyżurnego dowiedział się, że major Jaroszek czeka w sekretariacie komendanta. Koniec konferencji. Rozjechali się po domach, siedzą za stołem ze swoimi bardziej, a często mniej kochanymi żonami. Czekają 19.30. Dziennik. Woli swoje życie... Jaroszka spotkał w korytarzu. Major nie mógł doczekać się na Rogosza.

- Masz ekspertyzę? - Sięgnął po kopertę, którą Stefan

trzymał w rękę.

- Sprawdzisz w Nowym Targu, jeżeli się na tym rozumiesz. Wynik jest negatywny! Wrzos nie był zabójcą Krawczyka. I co dalej?

Dalej niczego ciekawego się nie dowiedział. Zrelacjonował swoją wizytę u Solarzówny. Nie było co zwlekać. Podróż z Krakowa do Nowego Targu w drugiej połowie listopada nie należy do przyjemności.

Jechali nie śpiesząc się. Wozy, które pędziły w kierunku Krakowa, dawały im od czasu do czasu znaki ostrzegawcze.

- Widzisz, jak przejawia się nasza renomowana solidarność - zauważył Rogosz.

- Przyznam się, że robię to samo - powiedział ze skruchą Jaroszek. - Nie zauważyłeś? Przecież wciąż dają znaki ostrzegawcze. Polecam jako działalność profilaktyczną. Kierowcy po ostrzeżeniu na wszelki wypadek zwalniają biegu. A o to chyba chodzi... Mam dla ciebie dobrą nowinę. Pani Justysi nie będzie dziś na kolacji. Nie spodobała się babce. Telefonowała rano do Marysi. Obawia się, że cierpisz na zawodowe odchylenie od normy psychicznej, które objawia się u ciebie nadmierną podejrzliwością. Uważa, że powinieneś zasięgnąć porady psychologa i zmienić zajęcie. Dobre!

- Zawadka jest być może podobnego zdania. Wszystko w porządku. Od razu wiedziałem, że Marysia chce mnie na siłę zenić. Z kim jeździłbyś na ryby? Żony nie lubią w sobotę pozostawać same w domu. Nie ma to jak żyć bezproblemowo w wolnym stanie. Żeby tylko znaleźć w każdym mieście znajomego komendanta, którego żona przyjacielowi męża przyszyje guziki...

Następnego dnia przesłuchania zaczęły się od Jędralowej. Rogosz, za poradą Kollata, udał się w tym celu do znajomego domku jednorodzinny. Porucznik był przekonany, że widok innych świadków, których znała i być może - obawiała się - utrudni rozmowę. Jego zdaniem Jędralowa była służącą, na jakimś etapie - kochanką Wrzosa, a ostatnio jego wierną sekretarką i gospodynią. Z ich rozeznania wynika, że sama

nigdy się handlem pokątnym nie zajmowała, ani przemytem .

Drzwi otworzyła osoba, której widok zaskoczył Rogosza. Pierwszy protokół mówił o przygłuchej kobiecie. Gospodyni małego domku skojarzyła się w jego wyobraźni z niesprawną fizycznie, kuśtykającą staruszką. Tymczasem przywitała go wcale przystojna góralka, w wieku między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, o czarnych - jak śpiewają w romansach cygańskich - przepastnych oczach. Jakby musiał wybierać między nią a taką panią Justysią, kto wie?

Weronika oczekiwała przyjazdu kapitana.

Kto ją uprzedził?

W Nowym Targu nic się przed nią nie ukryje. Właśnie z powodu przyjazdu kapitana z Warszawy nie chciała wyjeżdżać z teściem. Na siłę ją zabrał. Wiedziała, że będzie potrzebna na miejscu i zaraz wróciła. Z góry uprzedza, że bardzo lubiła Kazia i złego słowa o nim nie powie. Może za bardzo kochał pieniądze, ale to wina Solarzówny, która od niego ciągnęła mamonę.

Mówiła bardzo głośno i w pierwszej chwili Rogosz sądził, że chce kogoś ukrytego uprzedzić o ich wizycie.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że jest przygłucha i sama źle słysząc, posądza o głuchotę innych.

- Zaraz - przerwał Kollat, który obawiał się, że nie nadąży za potokiem słów kobiety. W ciemnym korytarzu nie zdołał wyciągnąć papieru ani znaleźć długopisu. A co dopiero ma powiedzieć Rogosz ze swoim nieodłącznym magnetofonem?

- Gospodyni chyba nie chce nas trzymać w tej ciemnicy? Należałoby gościa z Warszawy poczęstować szklanką herbaty.

- Może kawy? - zaproponowała kobieta i zakrzętnęła się żywo. Starczyło czasu, żeby rozejrzeć się po pokoju, uruchomić odbiór, ustawić mikrofon.

Pokój był zresztą niebrzydki, a nawet nie pozbawiony gustu. Prosta izba jakby wycięta ze starego, góralskiego Obrazka. Na łóżku piętrzyły się poduchy bieli tak nieskazitelnej, że chyba nie służyły do spania. Piec góralski, wielka szeroka ława. A w kącie telewizor z dużym ekranem.

- Najczęściej do tego pokoju przychodził Kazio, kiedy ta dziwka zabawiła się w Krakowie. Niech panowie nie wierzą, że ciągnął od niej pieniądze. Tyle że zmieniał jej znajomym walutę. Ale z tym Arabem, który jej wynajął luksusowe mieszkanie, on ją zapoznał. - Jędralowej nie wpadło do głowy nazwać tego rodzaju uprzejmości po imieniu. Wciąż ich przekonywała, że to Solarzówna marnowała Wrzosa, wykorzystywała go na każdym kroku.

Przesłuchanie prowadził tym razem Kollat, ponieważ Rogosz przekonał się, że porucznik znakomicie znajduje wspólny język z ludźmi rozmaitych środowisk tego miasteczka. Prosił jedynie, żeby pytał uparcie o przeszłość Wrzosa. Kollat nie był wprawdzie wprowadzony w starą historię „Konwoju”, ale bardzo chciał zasłużyć na pochwałę starego wygi z Komendy Głównej. Zwrócił się do Jędralowej:

- W Nowym Targu mówią, że Kazio pochodził z dobrego domu. Studiował w młodości?...

Zapewniła, że są to bajdurzenia ludzi, którzy nic o jej lokatorze nie wiedzą. Jej się tylko zwierzał. Dawniej, kiedy mógł i lubił popijać, opowiadał o swojej matce, o wsi, z której pochodził. Od czasu kiedy miał z tym nieżytem kłopoty, bardzo zmarniał. Jeśli się żyje z taką wywłoką? Kiedyś siadywali we dwoje, a Kazio nie lubił czystej, tylko koniak węgierski „Budafok”. Czasem Irena przywoziła jakąś butelkę z francuskim napisem, tyle co pozostało po gościu. Wypił, bo co było robić. Ale najbardziej przyzwyczajony był do tego węgierskiego koniaku. Pozostała jeszcze butelka. Może panowie?

Kollat mrugnął do kapitana, że należałoby wypić dla dobra rozmowy. To prawda, przemarzał i jeden kieliszek przydałby się na rozgrzewkę. Weronika naląła do pięknie rzeźbionych kieliszków koniaku i chciała szykować zagrychę - jeszcze coś zostało z tego, co przywiozła od teścia - ale Rogosz stanowczo zaprotestował. Są po śniadaniu. - Za zdrowie żyjących! - Podniósł kieliszek, ale nie dopił, tylko smakował szlachetny trunek. Natomiast Jędralowa i porucznik wychylili kielichy jak pospolitą wódkę do dna.

- A więc co mówił o tym dzieciństwie? - wrócił do tematu porucznik.

- Była u nich wielka bieda. Mieszkali pod Warszawą. Zdaje się, że na tej linii, co to prowadzi do Otwocka. Rodzice umarli. Siostra żyje, wspomagał ją co miesiąc przekazem. To Jędralowa pilnowała terminów, bo sam miał za dużo spraw na głowie. Solarzówna im pewno powiedziała, że Wrzos jej zawierzył swoje pieniądze. To wierutne kłamstwo. Tylko Irena wie, gdzie je schował. Oboje wierzyli w ziemski bank. Czy będzie miała odwagę wykopać ten majątek? Sama widziała i dukaty, i dwudziestki...

Rogosz nagle zrozumiał. Byli w podobnej sytuacji.

Przestraszyli się. Jego koncepcja niezawodowej grupy była od początku prawidłowa. Zaskoczyła ich masa banknotów. Mieli za mało doświadczenia i czasu, żeby spostrzec choćby taki fakt, że nie są ułożone w seriach. Po numerach nie można byłoby dojść do sprawców. Zakopali w ziemskim banku. Postanowili zaczekać, aż się skandal uciszy. Ale w końcu przyszedł w dzień i godzinę umówioną... Zaraz! Jeżeli nie przeczytali informacji w prasie o zakopanych workach? Mogli nie przeczytać, nie zauważyć. W zawodowym środowisku przestępczym nie ominie się tego rodzaju notatki, dyskutuje tygodniami. Byłoby to potwierdzenie tezy o koleżeńskej grupie, nie przestępczej! W końcu jednak, kiedy zjawili się w umówionym miejscu, musieli się dowiedzieć. Dlaczego więc nieżyjący cinkciarz mówił na zapleczu apteki oleśnickiej o długu i z dalszej rozmowy wynikało, że oboje byli w tym przypadku wierzycielami?...

Jędralowa zeznawała w dalszym ciągu „na okoliczność” młodych lat Kazimierza Wrzosa. Opowiadała, że uczył się w technikum papierniczym. Miał kolegę. Nie wspominał nawet jego imienia, ale tamten skończył studia i ma rodzinę.

To z pewnością Markowski - odnotował w swoim brulionie Rogosz. A góralka ciągnęła dalej wspomnienia o swoim lokatorze.

- Był czas, że jego znajomi zrobili majątek na szabrze z nowych ziem. Myślał, że też mu się uda na tym wyskoczyć ponad biedę. Pojechał, ale było za późno. Inni wcześniej od

niego wpadli na taki pomysł. Zdaje się, że z tym kolegą, co to był na studiach, widywali się do ostatniej chwili. Tamten wyjeżdżał często za granicę...

To chyba nie chodzi o Markowskiego - zdecydował kapitan. - Nie miał powodu do podróżowania. Na wszelki wypadek zanotował, żeby sprawdzić przez Płaczkowskiego. Była jeszcze jedna możliwość, ślad nie do pogardzenia. To ten „trzeci” mógł być globtroterem. Jeżeli to on zdecydował rozprawić się z Wrzosem?

Jędralowa zatrzymała się na tym etapie biografii Wrzosa, kiedy to zahaczywszy o Nowy Targ poznał Solarzównę, która chodziła wówczas jedynie z miejscowymi waluciarzami. Zamieszkał z nią i dopiero, kiedy Irena przeniosła się do Krakowa, wynajął stryszek i stołował się u niej. Myślała, że zapomni o tej dziwce. Dbała o niego, pilnowała diety, nie pozwalała szwendać się po drugorzędnych knajpach. Ale wciąż jeździł do Krakowa. Szczególnie, kiedy miał niepowodzenia albo się zdenerwował.

Kollata ogarnęło z wątpienie. Z nużącego opowiadania Jędralowej nie pozostał ani jeden punkt zaczepienia, ale Rogosz przy ostatnich słowach góralki zadał obojętnym głosem pytanie:

- Z jakiego powodu zdenerwował się ostatniej niedzieli?
- To pan kapitan wie? - zdziwiła się Jędralowa.

Rogosz poprosił spokojnie, żeby przypomniała sobie przebieg tego dnia. Bardzo im tym pomoże. Poczula się w siodle, bo już jej się wydawało, że Kollat nie słucha, i rozpoczęła relację z niedzieli, po kolei, jak idzie... Wrzos na nią czekał, aż wróci z kościoła. Zjedli obiad... Uprzedził ją, że następnego dnia wybiera się do Krakowa, bo przyjeżdża ten Arab czy Turek do Solarzówny. Będzie zaraz potrzebował pieniędzy.

- Wiecie panowie na co? On płaci nie tylko za czynsz, ale za utrzymanie, ubranie... I jeszcze pensję tygodniową. I to wszystko za to, żeby się z nim przez kilka dni łądaczyła. Kazio był tego dnia w dobrym humorze i uprzedził, że wieczorem nigdzie nie wyjdzie.

- A w którym momencie się zdenerwował? Otrzymał jakiś

list, telefon?

- Ona nie ma telefonu. Pospał po obiedzie, a pod wieczór zszedł na telewizję. Siedział w tym fotelu, co teraz pan porucznik. Bo to ani za blisko, ani za daleko ekranu. W sam raz, żeby oczu nie psuć. Na dworze była plucha, niedobre zimno. To co mieli robić? I nagle Kazio poczerwieniał, myślała, że to jakiś wylew czy zawał. Ale wstał, poszedł na stryszek, przyniósł butelkę tego koniaku; co stał nie ruszony od roku, i wypił prosto z butelki, nawet sporo.

Rogosz czuł, że zbliża się do jakiegoś punktu, jest nieco bliżej śladu, dzieci bawią się w grę: ciepło, ciepło, gorąco... Zapytał Jędralową, czy nie pamięta, w czasie jakiej audycji jej były lokator tak się zdenerwował.

Nie! Takiej pamięci nie ma. Ale po namyśle przyznała się, że prawie cały wieczór drzemała. Była zmęczona, w kościele było duszno, droga do domu daleka. Jakoś zawsze tak się dzieje, że w nocy spać jej trudno, a przy telewizorze z miejsca zasypia... Dopiero jak się Kazio zdenerwował, że aż krzyknął, odeszła ją senność. Jeszcze się pokręciła, umyła naczynia, żeby doczekać się powrotu lokatora.

- Gdzie wyszedł?

- Na pocztę. - Zawahała się, ponieważ dostrzegła, czy raczej wyczuła napięcie inspektora z Warszawy. Miał zatelefonować chyba do Ireny? Jak wrócił, znowu siadł do telewizora i wspomniał, że jutro zobaczy się z Solarzówną, która przyrzekła zamówić dla niego szynkę na święta. Jędralowa prosiła o sznurowaną, nie z puszki. Innej nie uznaje. Chyba przyjdzie teraz wyjechać na Boże Narodzenie. Bo jak tu samej sięść do wigilijnego stołu?

Rogosz zdecydował się skończyć przesłuchanie. Jędralowa była w widoczny sposób zmęczona. Żegnając się spytał jeszcze, czy mógł ktoś wkraść się na stryszek bez zwrócenia jej uwagi.

- Jak najbardziej! Do mieszkania Wrzosa wchodziło się przez zewnętrzne schody, a ganek jest niewidoczny nawet z jej okien. Nie ścierpiałyby, żeby ktoś przechodził przez jej pomieszczenia...

Wsiedli do samochodu i wrócili do komendy. Rogosz w czasie

jazdy milczał, planując dalsze kroki, więc Kollat wstrzymywał się od uwag. Dziwny człowiek ten Rogosz. Wciąż napięty jakby się Bóg wie co rozgrywało. Koniec końców dintojry w środowisku przestępczym nie należą do rzadkości. Wsiadając z wozu zapytał nie okazując zapału, czy będzie teraz potrzebny. Rogosz wciąż „nieobecny” odpowiedział, że nie. Może się włączyć do przesłuchań, prowadzonych przez pracowników komendy z Krakowa. Zajrzy do nich dziś jeszcze...

Skierował kroki do gabinetu majora, który był tego dnia w terenie. Połączył się „milicyjnym” z Janką:

- Jaka dziś pogoda w Warszawie?

- Słońce, panie kapitanie. Widziałam Janka wczoraj w stołówce. Miał znakomity apetyt. Żarnowski zafundował mu dwa „drugie”.

- Mam prośbę, tym razem nie osobistą. Proszę zatelefonować do telewizji, biuro emisji. Poprosić panią Halinę Kawęcką. Rozmawiałem kiedyś przez telefon z tą panią. Wydaje się rozgarnięta. Trzeba ją zapytać, czy istnieje możliwość odtworzenia programu z dnia 9 listopada. Pewnie że tego roku. Jeżeli tak, czy mogą załatwić pracownika i materiał, tak, tak, do naszego wozu. Co ich to obchodzi? Chciałbym mieć to wszystko jutro koło godziny dwunastej w Krakowie. W krakowskiej telewizji. Najlepiej przekazać panu Mazanowi. Rozumiemy się? - I poprosił o przełączenie na telefon szefa.

Przekazał mu w kilku słowach ostatnie nowości. Wiadomość o tym, że ślady linii papilarnych nieżyjącego Wrzosa nie wskazują, że jest on zabójcą Krawczyka, Zawadka przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Rogosz nie miał co do tego wątpliwości. Udzielił mu każdej pomocy w ujawnieniu sprawcy zabójstwa Markowskiego i Wrzosa. W spotkaniu ze starym dramatem będzie sam. Zdany tylko na siebie. A jednak tym razem był przekonany, że jest na właściwym tropie. Zapomniał tylko, że przy każdym poprzednim niefarcie sądził podobnie.

Ledwie odłożył słuchawkę, oddzwaniała Janka. W telewizji powiedzieli, że nic z tego nie będzie. Nie wydadzą taśmy MW, to znaczy magnetowidowej. Owszem, mają teczki z dnia 9

listopada. Ale nie wszystkie. Na przykład dziennik „idzie na żywo”. Jest tylko głos, który zapisują. Obraz można sobie dośpiewać. Magazyn dziennika przechowywany jest także na taśmie MW. Przydaje się czasem do „Panoramy”. Dotarła do samego Cześnina. Owszem, można odtworzyć, to co mają, ale tylko na miejscu.

Rogosz zastanawiał się przez chwilę i poprosił Jankę o zarezerwowanie na koszt komendy pokoju jednoosobowego w Warszawie. Tak! Na jutro. Najlepiej „Bristol” albo „Europejski”. Byle nie „Grand”. Nazwisko? Solarz Irena. Czy babka przystojna? Zdecydowanie.

Janka prawie gwizdnęła, ale zaraportowała służbowo: - Tak jest, panie kapitanie. Rozumiemy się.

- Przedrzeźnia mnie. Ale ziółko ta Janka - powiedział do Jaroszka, który wszedł do gabinetu, zadowolony, że spotyka w nim przyjaciela.

- Co u ciebie nowego?

- Wciąż pod górkę, ale jednak do przodu.

- To znaczy?

- Jeżeli masz cierpliwość, skłonny ci jestem opowiedzieć, na jakim przystanku znajduję się dziś. - Spojrzał na zegarek. - Jest 12.45. Dzień 18 listopada. Rok wiadomy. Nastawił dźwigienkę magnetofonu.

- Występujesz jako świadek?

- Nie! Jest to rodzaj autokontroli. Posłuchaj!

...Najpewniej Wrzosa i Markowskiego usunęła ze świata ta sama ręka. W tym miejscu zmuszony jestem nadal postawić znak zapytania. Nie znam sprawcy! Wiem natomiast, że Markowski nie zgodził się, kiedy Wrzos zaproponował mu wyjazd, celem odzyskania pieniędzy czy kosztowności, zdobytych z całą pewnością w sposób nielegalny. Możliwe, że Wrzos działał w porozumieniu z kimś, kto czekał na wynik rozmowy tych dwojga. Jest to tylko przypuszczenie. Nie mam na jego poparcie dowodu. Kiedy okazało się, że Markowski nie zamierza brać udziału w aferze - niestety nie wiem, w jakiej - co więcej, skłonny jest w ostateczności zwrócić się o pomoc, należy rozumieć, że miał na myśli milicję, Wrzos sam, czy w

zmowie z innym osobnikiem zdecydował się pozbyć kłopotliwego współnika. Istnieje możliwość, że zabójstwa dokonał ten trzeci, wkraczając na zaplecze po zakończeniu rozmowy: Wrzos - Markowski... Posłużenie się kawałkiem odciętego z kłębka sznura, mogłoby świadczyć o tym, że morderstwo nie było zamierzone. Wrzos lub ten trzeci próbowali się z Markowskim dogadać. Kiedy im się to nie powiodło, woleli usunąć człowieka słabego, na którego nie można było liczyć. Tu, przyznaję, nie rozumiem pewnych okoliczności, związanych ze sznurem, który stanowił narzędzie zbrodni. Kłębek, zgodnie z zeznaniem pracownika apteki imieniem Adam, został przez niego zakupiony w sklepie na ulicy Wrocławskiej 5. Fakt ten potwierdził wywiad, przeprowadzony przy pomocy porucznika Płaczkowskiego. Nietypowy sznur pochodził z tego samego kłębka, co znaleziony w mieszkaniu Wrzosa. Należałoby sobie zadać pytanie, zakładając, że Kazimierz Wrzos był mordercą: a) w jakim celu zabrał ze sobą kłębek pozostawionego na zapleczu sznura? b) jeżeli wyrzucił sznurek do pojemnika, czemu nie zrobił tego samego z kłębkami? Jest to punkt niejasny. Co więcej: wiem, jestem przekonany, że gdybym mógł odpowiedzieć sobie na obydwa pytania, posunąłbym śledztwo o duży krok naprzód...

- A więc już nie jesteś pewien, czy to Wrzos „uskutecznił” porachunki z Markowskim? - zapytał Jaroszek.

- Wchodzi w rachubę ten trzeci. Jak wiesz, nie Wrzos jest tym napastnikiem, który strzelił do Michała Krawczyka.

- Zbyszek! Cierpij na obsesję. Zawadka ma rację. Przestań myśleć o tamtym. Stoisz przed niesłychanie trudnym zadaniem. Masz ścigać sprawcę dwóch morderstw, popełnionych tydzień temu, a bawisz się w literaturę... historyczną.

- Może? Tymczasem nic nie poknociłem. Opowiadam dalej: ...Pojechali we dwójkę do Nowego Targu i tu, absolutnie nie wiem, z jakiego powodu, ten trzeci, nazywam go zabójcą Krawczyka, załatwił się z Wrzosem, pozorując zamach samobójczy. Obecnie, jak sam

zaznaczyłeś, trwa pościg za sprawcą obu zabójstw. Jakimi śladami? Mam jeden, jeszcze nie ślad, ale jakby prześwit, który może otworzyć nową perspektywę dla działań operacyjnych. Otóż zarówno syn Markowskiego, jak i Jędralowa mówią o zdenerwowaniu każdego z tych mężczyzn przy oglądaniu programu w telewizji. Było to 9 listopada, w niedzielę wieczorem. Markowski kłął, że nie poszedł do chorej krewnej. Uniknąłby przykrości, a chodziło wyraźnie o jakąś audycję. Przykreść musiała polegać na zobaczeniu osoby, miejscowości czy przedmiotu... cały czas muszę, niestety, używać znaku zapytania... które wywołały nieprzyjemne skojarzenia. Potwierdza to moje założenie. Markowski był człowiekiem, który przekreślił przeszłość. Przynajmniej próbował to uczynić.

- Wciąż jednak wracasz do „Konwoju”?

- Przyznaję, że tak. Ale pozwól mi na zakończenie mojej bardzo jeszcze enigmatycznej relacji coś dorzucić:

...Ten sam obraz telewizyjny, czy słowo mówione, było czynnikiem stymulującym dla Wrzosa, prowokując waluciarza do działania, chociaż w pierwszej chwili... Jędralowa zeznała „że nagle poczerwieniał”, popadł we wściekłość. A więc zerwał się, wypił alkohol, którego się wystrzegał, wybiegł nocą na pocztę, żeby zatelefonować. A może wysłać telegram? Następnego dnia spotyka się z Solarzówną. Czy mając z nią tyle wspólnych interesów ukryłby wczorajszą przykreść? Ponieważ wyjazd ten nie leżał w jego planie, nie mówił o nim uprzednio gospodyni. Wyjazd musiał być związany z jakimś elementem niedzielnej audycji. Do kogo telefonował czy też wysłał depeszę? Sądzę, że jednak telefonował. Tego rodzaju osobnicy nie lubią telegramów, które stanowią zapis... Dużo rozmów odbywa się w późnych godzinach wieczornych z waszej poczty?

Jarozek sądził, że w okresie turystycznym linia jest piekielnie obciążona. Ale teraz? Zaraz poleci Kollatowi sprawdzenie zamawianych numerów.

Rogosz podziękował za pomoc. Wolalby jednak sam się porozumieć. Major westchnął. Przyjaciel odgadł jego refleksję. Powiedział pośpiesznie:

- Nie masz racji, stary! Kollat jest bardzo sumienny. Ale w tej sprawie jestem tak dalece „pod górkę”, że nie wolno mi nic stracić, żadnej szansy ominąć.

Jaroszek wiedział swoje. Rogosz ma zaufanie przede wszystkim do siebie, najchętniej pracuje sam, co bywa możliwe, ale jedynie w fikcji literackiej. Udany pościg jest z reguły sukcesem zespołu. Ja go nie zmienię - pomyślał i słuchał zakończenia relacji, zresztą ciekawej .

...Ustaliłem sobie dokładnie aktualny punkt wyjścia. Jest, nim wspólny mianownik - niedzielne zdenerwowanie obu mężczyzn. Co oznacza? Co może oznaczać?

Zacząłem od telefonu do warszawskiej telewizji. Rozmawiałem z Janką. Zamówiła magnetowid. Myślałem, że mi się uda ściągnąć materiały z telewizji do Krakowa. Nic z tego. Oni mają swoje prawa. Jak my! Muszę jechać do Warszawy. I to nie sam.

- Z Jędralową? - zapytał Jaroszek.

- To beznadziejne. Była przyjaciółką Wrzosa, a jest to gatunek kobiety, która jest towarzyszką na złe i dobre chwile życia. Przed Solarzówną chyba nie ukrywał ani kontaktów, ani obaw. Puści w końcu parę. Co zaś do audycji telewizyjnej, Jędralowa w tym czasie drzemała i obudziła się na dobre w chwili, kiedy Wrzos krzyknął, zgasił telewizor i wyskoczył z domu. Muszę spróbować sam, czy z pomocą Solarzówny, odczytać przyczynę bulwersacji cinkciarza na podstawie niedzielnej wizji i fonii. Solarzówna jest w jakiś sposób zainteresowana w ujawnieniu sprawcy zabójstwa Wrzosa. Choćby dlatego, żeby milicja się odczepiła, a ona mogła spokojnie odkopać dorobek kochanka, przechowywany w ziemskim banku. W tym względzie podejrzenia Jędralowej mogą być uzasadnione...

- A Markowscy?

- To porządna rodzina. Może nawet ściągnę ich syna na

jeden dzień do Warszawy. Pamiętajmy, że aptekarz trzymał swoją rodzinę jak najdalej od niejasnych spraw. Nie znali jego podejrzanych kontaktów. Pewnie z tego powodu, że ich nie posiadał. Przynajmniej od dobrych dwudziestu lat.

Jaroszek poradził przyjacielowi zmienić metody pracy przy przesłuchiwaniu Solarzówny. Kiedy są w stosunku do niej grzeczni, przyjmuje uprzejmość za propozycję. Jej mózdek pracuje jednokierunkowo. Jeżeli nie weźmie się do niej ostro, będzie kołować. - Zresztą rób, jak uważasz. Gdzie ja skromny, powiatowy funkcjonariusz...

- Nie pieprz! - Rogosz uściśnął przyjaciela i zapowiedział, że zaraz po wizycie w telewizji wraca do Nowego Targu. Nawet piżamę zostawia...

Idąc w kierunku poczty układał plan działania na dzień jutrzejszy. Najbardziej precyzyjnie myśli się spacerując i nawet nie zauważył, że minął niski, na biało tynkowany budynek z czerwoną skrzynką na listy.

Panienska z okienka, w miarę niegrzeczna, kiedy Rogosz wylegitymował się, wysłuchała go uważnie. Owszem! Dyżurowała ubiegłej niedzieli. Wie z całą pewnością, że dalekopis był uszkodzony. Depesze odpadają. A telefony? To co innego. Wszystkie, które klienci zamawiali, są odnotowane. W Nowym Targu jeszcze nie działają automaty.

Było setki tych zapisków. Placówka pocztowa w Nowym Targu obsługiwała dalszą i bliższą okolicę. Gdzie też ludzie nie telefonują? Były i zagraniczne rozmowy. Jedna ze Szwecją. Pilna! Panienska знаła zamawiającego i przyczynę pośpiechu. Okazało się, że to spółdzielnia kozusznicza musiała sprawdzić u szwedzkiego importera szerokość zakładki. Reklamacja zagraniczna sprowadzała się do różnicy jednego centymetra. Ale umowa jest umową. Zapytał, czy panienska nie zauważyła w czasie swojego niedzielnego dyżuru typa nazwiskiem Wrzos. Mówią do niego Kazio. Była obrażona, że pan kapitan z Warszawy podejrzewa ją o tego rodzaju znajomości. Czy to nie chodzi o tego waluciarza, który popełnił przez Solarzównę samobójstwo?

Wykręcił się od odpowiedzi i sprawdzał w dalszym ciągu

wszystkie numery rozmów, zamówionych niedzielnego wieczoru. Miał na szczęście odnotowany numer krakowskiego telefonu Solarzówny. Jednak nie do niej w dniu 9 listopada wieczorem dzwonił Kazimierz Wrzos. A więc do kogo?

Opuścił pocztę w przekonaniu, że największe przeszkody na drodze do prawdy będzie musiał pokonywać jutro podczas rozmowy z Solarzówną.

Rozdział 13

Kiedy następnego dnia, punktualnie o dwunastej, zjawił się w kawiarni hotelu „Cracovia”, Ireny tam nie zastał. Zajął stolik i zamówił herbatę, dwa rogaliki. Przynajmniej okazja; żeby posmakować znakomitego pieczywa, jakim jest wciąż jeszcze pieczywo krakowskie.

Czekał z kwadrans, kiedy w drzwiach pokazała się Solarzówna, wchodząc do kawiarni jak na scenę operetki. Ubrana była w jaskrawy płaszcz ozdobiony lisem i męski kapelusz. Ostatni krzyk mody. W sumie świetnie to do niej pasowało. Wyglądała prześlicznie acz wyzywająco, o co jej w rezultacie chodziło.

Ze spojrzeń kelnera, szatniarza, można było odczytać, że jest tu osobą znaną. Z ciekawością spoglądali na nieznanego mężczyznę, do którego się przysiadła. Tłumaczyli sobie jego widoczne i niecierpliwe wyczekiwanie zupełnie inaczej. Mrugnęli do siebie na znak porozumienia - znowu złapała frajera.

- Mój kapitan się gniewa? Nie dałam rady. I tak skróciłam masaż, a płacę za całą godzinę.

Rogosza złościło spóźnienie Solarzówny, ale jeszcze więcej znaczące spojrzenia obsługi. Powiedział ostrzej aniżeli zamierzał.

- Nie będziemy tutaj prowadzili rozmowy. Jedziemy do komendy.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: to po coś się tu ze mną umówił? I może miała rację.

Komenda Wojewódzka MO mieści się przy ulicy

Reformackiej, murem granicząc z redakcją „Przekroju”!. Dziennikarze żartują, że biorą udział w przesłuchaniach, co jest oczywistą nieprawdą, ponieważ solidne, stare mury krakowskie głuszą zarówno zeznania podejrzanych i świadków, jak i dziennikarskie dyskusje.

Wejścia do jednego i drugiego budynku są tuż obok siebie, a czytelnicy popularnego tygodnika, którzy omyłkowo trafiają do komendy, zdziwieni są widokiem milicjanta, który żąda od nich przepustki.

Rogosz okazał legitymację, a ponieważ nie był sam, wypowiedział obowiązującą w takim przypadku formułę: - „Pani jest ze mną”... Weszli na pierwsze piętro, gdzie mieściły się pokoje wydziału kryminalnego. Kapitan zajrzał do gabinetu i zapytał, czy mógłby skorzystać z wolnego pokoju na małą godzinę. Jeden z pracowników, który właśnie narzucał na siebie płaszcz, zgłosił gotowość odstąpienia swojego. Idzie w miasto! Przyglądając się kobiecie towarzyszącej Rogoszowi nieprzypadkowo użył żargonu, którym posługują się córy nocy. Solarzówna była znana w komendzie i ani jej uroda, ani elegancja nie czyniły wrażenia po ordynarnych monologach, którymi ich tu nieraz uraczyła.

Rogosz otworzył drzwi wskazanego pokoju, nie pomógł kobiecie w zdjęciu okrycia i stwierdził natychmiastową skuteczność porad Jaroszka. Usiadła posłusznie na wskazanym jej krześle. Uruchomił magnetofon nie wyjmując go z torby i rozpoczął z „grubej Berty”. Zaczął od wypomnienia jej oszustwa. Nie po raz pierwszy. Twierdziła, że lista wspólnych z Wrzosem wykroczeń dotyczyła jedynie handlu walutą. Ma w ręku sprawę Kleinmanna. Zna go dobrze! To ten Niemiec, którego we dwójkę szantażowali. Ile zapłacił za to, by zdjęcia... oglądał je... żeby nie zachowała choć trochę wstydu... nie dotarły do Kolonii? Może przypomni sobie, jak to w ubiegłym roku z prostej życzliwości wyeksportowała dwie głupie dziewczyny do burdelu kairskiego. Ile kosztowało milczenie tych dwóch, które zgłosiły się w końcu o pomoc do polskiego konsulatu? Dlaczego nie mówi prawdy o wyjazdach Wrzosa? Kryje zabójcę! Z jakiego powodu?

Była bardziej przerażona, aniżeli oczekiwał. Cała jej pewność siebie rozplynęła się wraz ze szminką, która ściekała z zapłakanych oczu.

Nie rozumie, dlaczego jej nie wierzą. Ona doprawdy kochała jedynie Wrzosa...

Diabli wiedzą, pomyślał kapitan. Brzmiało to niewiarygodnie, ale czy można wykluczyć i taką ewentualność? W tym światku, do którego ci dwoje należeli, istnieją czasem silniejsze związki uczuciowe niż wśród małżeństw, które w niedzielę chodzą pod rękę do kościoła. Nie tylko u Emila Zoli i Maupassanta miłość prostytutki do sutenera jest zjawiskiem dosyć częstym. Jeżeli łączyło ich takie czy inne uczucie, Irena może być mu pomocna. A był nadal przekonany, że wie więcej niż chce zdradzić.

Ktoś zajrzał do pokoju. Zobaczywszy jaskrawo ubraną kobietę i jej twarz wyglądającą jak surrealistyczny rysunek, przeprosił i zamknął za sobą drzwi. Rogosz miał już dosyć tej hysterii. Powiedział spokojnie, ale groźnie:

- Radzę powiedzieć, z kim spotkaliście się w dniu 10 listopada. Był to poniedziałek. Kto jadł z wami obiad?

Pytanie było ryzykowne. Mogli spotkać się we dwójkę, a być może Irena zajęta była klientem? Ale trafił w środek tarczy. Odpowiedziała bez namysłu:

- Kazio umówił się ze swoim kolegą, który przyjechał specjalnie z Warszawy. Telefonował do niego poprzedniego wieczoru. Tylko tyle wiem.

- Nazwisko tego człowieka?

Nie знаła. Nie było takiego zwyczaju, żeby Wrzos, czy nawet inni znajomi przedstawiali jej kogoś z nazwiska. Mówił do niego Michał.

- Byli na ty?

Wyglądało na to, że znali się od wielu lat. Zresztą nie pierwszy raz go widziała z Kaziem. Chyba łączyły ich jakieś interesy, bo o pieniądzach była mowa.

- O jaką transakcję chodziło?

Przysięgała, że nie wie. Nie miało to związku z jej sprawami ani z żadną kobietą. Po co było słuchać?

- Czy Michał był także waluciarzem?

Zaprzeczyła gorąco. Miał taką posadę, że wciąż jeździł za granicę. Zwyczajni ludzie, jak chcą wyjeżdżać, składają o przydział dewiz i to raz na trzy lata. A takiemu Michałowi płacili jeszcze hotel i utrzymanie.

Poczuła się widać lepiej, bo wyjęła lusterko, żeby poprawić twarz, ale Rogosz znajdował się w sytuacji kierowcy, który w momencie pokonywania przeszkody, nakazuje sobie: gaz do deski! Naciskał więc dalej, nie zmieniając surowej tonacji głosu.

- Jak wyglądał?

Powiedziała, że był wysoki, o pociągłej twarzy, raczej łyśawy. Znaków szczególnych? Nie! Nie zauważyła. Raczej sympatyczny i dobrze ubrany, mimo że w drodze i sam prowadził samochód.

- Jakiej marki?

Fiat 125 p. Oliwka. Taki to ma chody. Najlepiej sprzedaje się oliwkę. Dawniej szły głównie żółte. Teraz żółtego nikt nie kupi. Ten fiat był jak nowy, futrzaki miał na czterech siedzeniach:.. Irena spojrzała bez cienia lęku na Rogosza i ze szczerym zainteresowaniem zapytała:

- Pan kapitan myśli, że ten facet? A może?

Kazio był w czasie obiadu bardzo zdenerwowany. Jak tylko rano przyjechał z Nowego Targu, o niczym nie chciał słyszeć. A przecież i ona ma kłopoty. Do kogo ma iść? A później przy obiedzie musieli się z tym Michałem posprzeczać. Widocznie jednak doszli do porozumienia, bo jak wróciła...

- Skąd? - Przecież nic nie mówiła, że gdzieś wyszła.

Musiała zatelefonować do klienta. A przy sposobności wstąpiła do kosmetyczki „na hennę”. Jak wróciła, panowie już byli w zgodzie. Ten Michał śpieszył się do Warszawy, Kazio wrócił do Nowego Targu. Ona pozostała w hotelu. Nie miała po co wracać do domu, bo była na wieczór umówiona z kimś, kto mieszkał w „Cracovii”... Czy ona zaprzecza?

Wydawało się, że jest zupełnie szczerą, należało być może pozostawić ślicznotkę w spokoju. Dotrą i bez niej do owego Michała, chociażby na podstawie pamięciowego portretu, opisu, rodzaju zatrudnienia. Eliminacja na podstawie cech:

Michał, łysawy, jeździ za granicę, musiałyby zająć mnóstwo czasu. Przeprosił uprzejmie Solarzównę, ale jest zmuszony zabrać ją do Warszawy. Tylko od niej zależy, czy przestaną ją przesłuchiwać w sprawie Wrzosa. Chce być wobec niej zupełnie szczery.

Ścigają mordercę jej przyjaciela i mają pewne przesłanki, by sądzić, że ów Michał mógłby im coś więcej, niż ona sama, na ten temat powiedzieć. Jędralowa zeznała, że Wrzos zdenerwował się bardzo oglądaniem niedzielnej telewizji. A on osobiście uważa, że spotkanie poniedziałkowe mogło być z tym faktem związane. Odtworzą wszystkie programy telewizyjne z niedzieli, jak szły. Wraz z Solarzówną on też weźmie w tym pokazie udział. Może jakieś wydarzenie czy twarz zwróci jej uwagę?

Był przekonany, że kobieta stanie okoniem. Tymczasem wykrzyknęła prawie radośnie:

- Do telewizji! Z panem kapitanem! Czy będę mogła wstąpić choć na chwilę do „Mody Polskiej” na Kono-
pnickiej?

Rogosz nie wdając się w różnice między figurowaniem na planie a oglądaniem audycji z taśmy MW, umówił się z Solarzówną za trzy kwadransy w tej samej „Cracovii”. Tym razem prosi bez spóźnienia!

Po wyjściu Solarzówny zatelefonował do Warszawy, żeby zapowiedziano jego wizytę w telewizji na jutro, godzina dziewiąta. I spacerem przez Planty poszedł w kierunku „Cracovii”.

Tym razem Irena nie spóźniła się. Ubrana w kożuszek, którego pozazdrościłyby jej elegantki warszawskie, czekała w holu. Rogosz uprzednio rozmawiał z kierownikiem recepcji, który teraz, kiedy zobaczył kapitana ze znaną sobie „panienką” kiwnął przecząco głową. Znaczyło to, zgodnie z umową, że owego poniedziałku Solarzówna nie była w nie znanym mu towarzystwie. Kelner, do którego Solarzówna zwracała się per Dzidzius nie przypominał sobie tej kobiety z dwoma mężczyznami, która w jego rewirze spożywała w poniedziałek obiad. Musieli się zachowywać przyzwoicie. W pamięci

pozostają zazwyczaj świntuchy albo goście, którzy nie zapłacili rachunku. Ale w „Cracovii” tego rodzaju przypadki zdarzają się stosunkowo rzadko i dlatego pracuje tu od dłuższego czasu i chciałby się nadal utrzymać.

- Długo, to znaczy od jak dawna? - zapytał Rogosz z niezawodowej ciekawości.

- Czwarty miesiąc. - Kelner z niechęcią spojrział na Irenę. To z jej powodu miał do czynienia z facetami, których niechętnie widzi się w każdym hotelu, nie tylko krakowskim.

- Brzydali! - wydeła pogardliwie wargi. - Pofarbował włosy, wyciął sobie brodawkę nad nosem i myśli, że któraś na niego spojrzy.

Rogoszowi spostrzegawczość Ireny sprawiła wyraźną przyjemność. Postanowił sobie, że wykorzysta jej pamięć wzrokową w Warszawie do odtworzenia pamięciowego portretu owego Michała. Mają takiego uzdolnionego grafika w Zakładzie Kryminalistyki.

Rozdział 14

Na Woronicza - w siedzibie warszawskiej telewizji - nikt nie zdziwił się widokiem wymalowanej jak reklama „Polleny” kobiety. Niektóre panie przed pokazaniem się na wizji tracą po kilka godzin na makijaż, a mężczyźni także bywają próżni. Różdżka dobrego charakteryzatora potrafi sprawiać cuda.

Figurowali na liście zapowiedzianych gości. Strzegł jej pilnie stary portier. Pani Halina z biura emisji czekała z projekcją.

- Od której godziny interesuje pana program z niedzieli 9 listopada?

Chyba od osiemnastej. O tej godzinie, jak wspominała Jędralowa, zszedł ze swojego stryszka Wrzos, prosząc o przygotowanie kolacji.

Rogosza i towarzyszącą mu kobietę zaproszono do zajęcia wygodnych foteli. Teraz czekali, aż obraz zostanie rzucony na ekran.

Solarzówna trwała w zachwycie. Oglądali program, jak leciał:

audycje o zwierzętach, pięć minut „Banku miast”, film o dalekim rejsie, „Lolka i Bolka”, który bardzo się Solarzównie spodobał. Potem dziennik wieczorny, ale tylko z fonii, zapisanej na magnetofon. Za to magazyn został utrwalony na magnetowidzie: rekord wytopu, nowa szkoła zbiorcza, wywiad z rolnikiem, który hoduje 200 świń o imponującej wadze, kiedy jego sąsiad na tym areale jedynie 9 sztuk i to mizernych.

W pewnym momencie Solarzówna drgnęła. Rogosz powiedział:

- Stop! Pani Halino! Można by powtórzyć ten kadr?

Była to jedna z migawek magazynu. Pokazywano budowę papierni w Libanie. Inżynier polski, kierujący inwestycją, odbierał pierwszy transport maszyn. Na wielkiej koparce można było odczytać napis reklamujący centralę handlu zagranicznego - „Chemarox”.

- Czy jeszcze raz? - zapytał operator.

- Nie! Dziękuję. Zrobimy małą przerwę - zaproponował kapitan i salkę projekcyjną rozjaśniło światło jarzeniowej lampy. Rogosz zaproponował swojej towarzysze wypalenie papierosa na korytarzu. Markując spokój zapytał:

- Poznała go pani?

Kogo? Nikogo z tych, co byli na ekranie, nie znała. A jednak coś ją w tym magazynie zaskoczyło. Niby nic specjalnego. Tylko nazwa na tej maszynie przypominała jej firmę, o której mówił ów Michał. Może on z tymi maszynami wyjeżdżał, bo też kiedyś wspominał Libię czy Liban. Nie zwróciła uwagi na treść rozmowy. Zresztą osobiście wolałaby sto razy jeździć do Włoch albo prosto do Monte Carlo. Jak Zasada. Mieszka obok niej, w Krakowie. Wozi ze sobą żonę jako pilota. A przecież ma ją ciągle w domu. W drodze na „takie rzeczy” to nawet nie ma czasu.

Że też takie kabotynki chodzą po ziemi i nawet nieźle prosperują - złościł się Rogosz, ale nie miał prawa ze względów zawodowych okazywać zniecierpliwienia. Wrócili na salę, obejrzeni jeszcze kilka fragmentów niedzielnego programu, które jednak ani jemu, ani Solarzównie nic nie mówiły. Podziękował pani Halinie i uprzedził, że być może jeszcze

skorzysta z jej uprzejmości.

Kobiecie pozostało kilka godzin do odejścia pośpiesznego pociągu w kierunku Krakowa. Trzeba było się pośpieszyć, by odbyć jeszcze jedno spotkanie w Zakładzie Kryminalistyki, gdzie ich oczekiwał grafik.

Zakład mieścił się w małej, starej kamienicy śródmiejskiej. Nie wiadomo, jakim cudem ocalała z pożogi wojennej. Pracownicy w białych fartuchach, którzy mijali Rogosza, zdążającego na drugie piętro, przyglądali się z zainteresowaniem jego towarzysze. Za kilka godzin pozbędę się tej baby! Myśl ta poprawiła mu nieco humor. Przekazał świadka grafikowi, który czekał w pracowni, i zapowiedział, że w razie czego, będzie go można znaleźć u majora Baranowskiego. Przykazał Solarzównie przypomnieć sobie wszystkie szczegóły twarzy owego Michała, jeżeli ma ochotę przenocować dziś we własnym łóżku. I pomyślał złośliwie, że nie każdego tego rodzaju perspektywa cieszy.

Grafik od razu ocenił mentalność osóbkę, z którą miał popracować dobre parę godzin. Posadził ją wygodnie w fotelu. Usiadł naprzeciw i wziął do ręki szkicownik. Upowiedział, że będzie jej zadawał pytania. Ma udzielać krótkich, rzeczowych odpowiedzi. Żadnych rozmów. Na flirty, kawkę, przyjdzie czas i pora, jak się dobrze sprawi. Niech teraz wysili pamięć: jaki miał nos ów pan, o którego pyta kapitan. Duży, ostry, mały, kaczy? A oczy? Brwi? Mocno zarysowane czy słabo, mało widocznie?

Pokazał jej pierwszy szkic. Nie podobał się Solarzównie. Zwróciła uwagę panu malarzowi, że twarz powinna być szczuplejsza, a pod oczyma ten facet miał zmarszczki i w kątach ust także. Bardzo to ciekawe - pomyślał grafik. - Kobiety z reguły pamiętają twarze zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Mężczyźni tylko kobiet!

- A teraz? - zapytał Solarzównę.

Drugi szkic trafił jej bardziej do przekonania, ale i przybliżył wspomnienia tamtego obiadu, przypomniawszy rysy tego człowieka, pozwolił na odtworzenie dodatkowych szczegółów twarzy.

Jeszcze jedna próba! Portret był coraz bardziej podobny do

twarży, którą teraz pamiętała, jakby spotkała tego człowieka wczoraj, przed chwilą. A widziała go wszystkiego dwa, może trzy razy w życiu i to na przestrzeni wielu lat.

- Zadowolona pani ze mnie? - zapytał grafik.

- Prawdziwy z pana artysta!

Wszedł Rogosz.

- Gotowe?

Pokazał portret kapitanowi i poprosił, żeby sprowadził sam świadka przez dyżurkę, bo musiałby jej wypisywać przepustkę.

Zeszli pieszo. Winda była już nieczynna. Stanęli przed budynkiem mając widok na Łazienki, Aleje i zjazd na nową trasę. Piękny fragment Warszawy. Oboje byli bardzo zmęczeni. Spojrzał na kobietę z pewną sympatią. Co za los? Z równym powodzeniem mogła zostać żoną znanego lekarza, a może gwiazdą filmową. Przynajmniej gwiazdką. Czy doświadczenie wydziału, zwanego „obyczajówką” nie wskazuje na pewną prawidłowość? Że pierwszy mężczyzna, wstęp do erotycznego życia, przesądza nader często o przyszłości?

Poinformował swego świadka, że ma bezpośrednią komunikację autobusową na Dworzec Główny. Ale nagle zmienił zamiar i zdecydował się odwieźć ją samochodem służbowym, który czekał przed zakładem.

Zatrzymali się przed wejściem na peron. Musiała szybko wysiąść, bo już zajeżdżały następne samochody. Wszedł z wozu, pożegnał się: - Szczęśliwej podróży! - I być może, czego jej w duchu nie życzył, do widzenia!

Miał za sobą pracowity dzień. I niewielkie wyniki. Nazwa firmy, portret pamięciowy mogą go doprowadzić do Michała. To wszystko. Ale czemu przypomnienie sobie starego znajomego zbulwersowało Wrzosa? Dlaczego skłoniło go do telefonowania w nocy i do wyjazdu do Krakowa? Coś tu nie grało. Ale co? Tak czy inaczej, jutro trzeba będzie zacząć od poszukiwań owego Michała. Dziś już w komendzie nikogo nie zastanie. Wstąpił do „Supersamu”, kupił wędlinę, konserwę rybną i czekoladę dla syna.

Drzwi otworzył Janek i aż krzyknął z radości na widok ojca.

Mieszkanie było posprzątane, naczynia umyte. Miał ochotę uściśnąć chłopca, ale wiedział, że sobie pomyśli: stary upadł na głowę! Wypakował walizkę, zakupione artykuły żywnościowe poumieszczał na półkach lodówki. Tabliczkę czekolady Janek zaraz napoczął i wkrótce pozostał z niej papier. Pokazał ojcu zeszyt z klasówką, pochwalił się wynikiem. Pół klasy dostało „lufy”, Olek czwórkę, a on jedyną piątkę. Olkowi dawali za piątkę stówę. A teraz rodzice podwyższyli na sto pięćdziesiąt. Była to próba fraj, bo wiedział, że ojciec nie pochwała systemu płacenia za stopnie. I zapytał grzecznie: - Przygotować ci kąpiel?

Wieczorem usiedli razem przed telewizorem. Był czwartek. Dzień „Kobry”. Na ekranie rozgrywała się druga część Teatru Sensacji: „Epidemia zbrodni”. Józef Nowak jako inspektor i jego szesnastoletni syn w roli głównej. Do akcji włącza się przedstawiciel Scotland Yardu - Gordon. Rola Zaczyka. Kiedy wizyta Gordona zostaje zapowiedziana w komendzie czy prefekturze, jeden diabeł, wszyscy wiedzą, że to on, inspektor z centrali przejmie śledztwo. Walka z przestępczością prowadzona jest w gruncie rzeczy wszędzie na świecie w podobny sposób. Czy straty liczą się na miliony dolarów, czy na tysiące złotych. Ważne jest subiektywne odczucie krzywdy, a nie wysokość konta bankowego.

Kiedy Gordon na ekranie szarogęsił się, zresztą w sposób sympatyczny, bo z angielską dyskretny, Janek powiedział do ojca:

- Popatrz, stary! Zupełnie jak inspektor z komendy. Ty także decydujesz o kierunku śledztwa i wszyscy ciebie słuchają. Już jesteś „z górki”?

Rogosz nie chciał wciągać syna w swoje sprawy zawodowe, zveksłował więc temat:

- Dostałeś pieniądze od Andrzeja? Muszę się rozliczyć.

- Dwie stowy. Myślisz, że mam jeszcze resztę? Abu- ty z reperacji? Zaczynam biologię i każdy musi przynieść biały fartuch. Chyba kapniesz coś jeszcze?

Umówili się, że ojciec ma dać pięćset złotych i zeszyt, w którym Janek będzie notował wydatki.

- Rozumiemy się?

Audycja sportowa sygnalizowała zakończenie programu telewizyjnego. Ziewnęli zgodnie. Najwyższa pora na spanie.

Rozdział 15

Kiedy następnego dnia do autobusu numer 144 wsiadł jak zwykle Janowski, zdawało się Rogoszowi, że nie widział kolegi od miesiący, a przecież minęło dopiero kilka dni od ich ostatniej, wspólnej jazdy, kiedy to zapomniał biletu miesięcznego. Sprawdził odruchowo, czy ma go dziś w kieszeni.

Prowadzili zwykłą rozmowę na zwykłe tematy: pogoda, sport, zbliżające się święta. Już dawno nie spędzał ich w domu. Janek jeździł na obozy narciarskie. Dla siebie znajdował azyl świąteczny w domu wczasowym milicji. Zawsze to lepiej aniżeli samemu. Jeżeli w ogóle się ruszy z Warszawy... Wszystko zależy od kierunku, jaki przyjmie śledztwo. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć na dzień dobry kolegom we wspólnym pokoju. Odłożył rozmowę z nimi do czasu identyfikacji osoby Michała. Z samego rana musi się zgłosić do Zawadki. Nie przychodzi z pustymi rękami.

- Zagrało? - przywitała go Janka i nie czekając na dyspozycję szefa nastawiła czajnik z wodą. - Major czeka!

- Zdaje się, że wpadłeś na właściwy trop - Zawadka był w widoczny sposób zadowolony. - Przynajmniej tak wolno mi sądzić z twoich dalekopisów. Krótkie, ale wiadomo, o co chodzi. Nie ma to jak stara szkoła. Jeżeli ten trzeci nawet nie pracuje w „Chemaroxie” - dyrektorem tam z pewnością nie jest, znam takowego osobiście - to w każdym razie znajdziesz go. Portret, imię, marka samochodu, jakieś kontakty z handlem zagranicznym. Nie rozplynie się w listopadowej mgle. Tylko się nie spiesz! Zacznij od wywiadu. Zresztą... kogo ja tu będę uczył?

Rogosz przedstawił swój plan: zdecydował zwrócić się do znajomego, który pracuje w kadrach i to w wymienionej centrali. Ten znajomy pracował kiedyś w Stołecznej Komendzie, ale mu nerwy nawaliły. Znalazł spokojniejszą

przystań i czasem za granicę podskoczy. Otóż chce od niego dostać „prywatnie” do wglądu spis delegacji na dzień 10 listopada. Woli nie zwracać się oficjalnie. Nigdy nie wiadomo, kto z kim. A czasem bez złej woli. Ludzie lubią sobie pogadać. Gdyby ktoś z wyjeżdżających w dniu dziesiątego listopada miał na imię Michał, a kierunkiem wyjazdu służbowego był Kraków? Tacy faceci, jak mają prywatne sprawy, zawsze sobie pretekst służbowy wykombinują...

- Roman! Wiesz, że ten Michał jest mniej więcej w tym samym wieku, co Wrzos i Markowski? ...Tylko się nie czepiaj. Pracowałem cały czas jedynie nad sprawą 1975. Zgodnie z umową.

- Wiem! Nie ofiaruję zaufania na kredyt. Ale nie wykluczam, Zbyszek... (Teraz już jestem Zbyszek - pomyślał Rogosz) że przyjdzie odkurzyć stare akta.

Na wszelki wypadek major wydał dyspozycję dwóm stażystom ze szkoły oficerskiej. Mają popracować nad odtworzeniem życiorysów denatów. Co do trzeciego, Rogosz ma przecież utrwalony ślad, zdjęty z kierownicy. Jeżeli będzie korespondował z tymi, które się utrwali z okazji wizyty „Michała” w komendzie?... Szef nie wykluczał, że przyjdzie taki dzień, w którym człowiekiem przesłuchiwanym będzie zabójca Krawczyka.

Rogosz był znacznie mniejszym optymistą aniżeli major. Referował rzeczowo:

Jest w kontakcie z komendą Śródmieście. Na jej terenie mieszczą się między innymi biura „Chemaroxu”. Zapytał sierżanta z kryminalnego, czy mieli kiedyś do czynienia z centralą o tej nazwie. Wszystko jedno w jakiej sprawie. Okazało się, że dwa miesiące temu nieznanymi sprawcami dokonali włamania do wzorcowni i zdrowo się obłowili. Sprawców ujęto. Nie przyznają się nadal do kradzieży. W związku z powyższym uzasadniona może być potrzeba utrwalenia śladów linii papilarnych wszystkich pracowników dla wyeliminowania obcych. Jest na Śródmieściu Jerzy Szubisz... Nie! To syn starego, który poszedł na emeryturę. Że też zawód ojca nie podziałał zniechęcająco na potomka. Mniejsza o to. Młody

Szubisz nie wie, kogo szuka komenda. Ale rozumie, że sprawa jest ważna. Zrobi zdjęcia wszystkich śladów, rzecz jasna w porozumieniu z ekspertem od daktyloskopii, i dostarczy je im jutro, najpóźniej za dwa dni.

- Nie obawiasz się, że tego rodzaju kroki wzbudzą podejrzenia sprawcy, jeżeli nim jest Michał?

- Nie wydaje się, żeby ta próba ze śladami mogła stać się alarmem. - Rogosz był o tym przekonany. Włamanie to sprawa sprzed wielu tygodni. Pracownicy stołecznej komendy kręcą się od października po centrali. Jeżeli zaś „wyszedł” faktycznie na zabójcę, ten człowiek cierpi ze strachu, ale strefa porażenia obejmuje jedynie określone dni listopada. Tylko one są dla niego alergiczne. A już w żadnym wypadku nie skojarzy wizyty pracownika daktyloskopii z historią lat pięćdziesiątych. Skąd mógł zresztą wiedzieć o utrwalonych na kierownicy śladach?

Pożegnali się do następnego spotkania. Tymczasem Rogosz, korzystając z chwilowej gościnności wydziału kadr „Chemaroxu”, znalazł bez trudności wśród wielu delegacji tę jedną, której poszukiwał. Wystawiona była na nazwisko Michała Staronia. Przy sposobności stwierdził, że tenże Staroń, referent działu sprzedaży, był nieobecny w listopadzie jeszcze przez kilka dni. Zwolnienie chorobowe obejmowało dni 12,13 i 14 listopada. Jesienna grypa. W tej jakże jasnej sytuacji żmudna praca grafika okazała się właściwie zbędna. Znalazł w aktach personalnych zdjęcie „en face”. Porównanie go z portretem potwierdziło dobry zmysł obserwacyjny Solarzówny.

Rogosz stracił jeszcze kilka godzin na pobyt w centrali. Żeby upozorować kontrolę, interesował się jako przedstawiciel resortu handlu zagranicznego wszystkimi absencjami. Zbliżał się, przynajmniej w jego przekonaniu, koniec czynności operacyjnych. Musiał zachować daleko idącą ostrożność.

Zatelefonował do szefa. Umówili się na jutro dla uzgodnienia dalszego planu działania. O zatrzymaniu Staronia nie mogło być mowy. „Zdjąć”, żeby po 24 godzinach przepraszając otworzyć drzwi celi? Trzeba było zebrać dostateczną ilość dowodów. Alibi nie może sprowadzać się do zaświadczenia

lekarskiego. Nie ma obawy. Nie ukryje się. W Polsce nie ma afrykańskiego buszu. Dla Rogosza ważny był przede wszystkim ślad linii papilarnych, który powinien za dzień, dwa być do ich wglądu.

Zawadka żywił wątpliwości, czy fragment linii, nadający się jedynie do badań indywidualnych, może po dwudziestu latach przekonać sąd. Pamiętają sprawę Bielaja, vel Ślesko, oskarżonego o porwanie i zabójstwo lekarki z Płocka. Były dowody i świadkowie a okoliczność szantażu i porwania, a jednak sąd uniewinnił oskarżonego z zarzutu zabójstwa, ponieważ nie udało się odnaleźć zwłok ofiary. Każdy ma swoje zadania. Oni mają dostarczyć dowody, przekonywający materiał, na podstawie którego sąd może orzekać. A w sprawie Staronia? Może nie mieć z tą sprawą nic wspólnego. Mało to Wrzos miał podejrzanych kontaktów? Muszą się jutro dobrze zastanowić i opracować plan realizacji...

Następnego dnia sierżant Jerzy Szubisz, który miał zwyczaj i ambicję wykonywać zlecenia nie tylko na czas, ale i o dobę wcześniej, zjawił się koło południa w komendzie. Znalazł kapitana i z triumfem wręczył mu komplet odbitek linii papilarnych wszystkich pracowników „Chemaroxu”. Wyłączyli kobiety, jak Rogosz przykazał. Było to logiczne, ponieważ wśród włamywaczy nie było niewiast. Starali się nie zakłócać toku pracy centrali i uzyskali pochwałę dyrektora. Zna majora Zawadkę. Może nawet do niego zadzwoni. Jeszcze jedna uwaga: mężczyzn pracuje w „Chemaroxie” stu trzydziestu sześciu, ale odbitek jest o jedną mniej. Po prostu jeden z pracowników, bo taki jest charakter jego pracy, przebywa za granicą.

- Pamiętasz nazwisko?

- Naturalnie. Nazywa się Michał Staroń. Jest referentem działu sprzedaży. Często wyjeżdża.

- Kiedy opuścił Polskę?

Szubisz pochwalił się. Ma wszystko odnotowane. Zajrzał do grubego zeszytu i wyrecytował: - Michał Staroń opuścił kraj 16 listopada, udając się Polskimi Liniami Lotniczymi „LOT” numer rejsu 425 do Bejrutu.

W ciągu kwadransa Rogosz zgłosił się do dyrektora centrali. Zmuszony był zagrać w otwarte karty, przynajmniej odkryć je częściowo. Rzeczywiście! Dyrektor przyznał, że nie mógł zrozumieć z początku zdenerwowania Staronia, który podkreślał konieczność natychmiastowego wyjazdu do Bejrutu. Jednakże argumenty pracownika, jednego z lepszych, trafiły mu do przekonania.

- Wyjazd ten był uprzednio planowany, ale na styczeń przyszłego roku. Staroń powołał się na poufną wiadomość - w ten sposób pracuje się w handlu zagranicznym, panie kapitanie - która świadczyłaby o tym, że nasz konkurent gwałtownie się zaktywizował, jeśli chodzi o budowę papierni. A zamówienie na tę budowę było prawie że zaklepane dla naszego przemysłu. Decyzja miała zapaść lada dzień. Trzeba przekonać Libijczyków, że Włosi są może bardziej efektywni w dziedzinie inwestycji, za to mnie j solidni i drożsi.

Dyrektor przyznaje, że w tych warunkach sam podpisał delegację. Były podobno trudności z miejscem w samolocie. Staroń szalał i jakoś szczęśliwie odleciał. Dyrektor zrozumiał, że palnął głupstwo z tym szczęściem i zapytał, czy podejrzenie w stosunku do jego pracownika jest w pełni potwierdzone.

Rogosz odpowiedział przecząco, poprosił o zachowanie jego wizyty wyłącznie do własnej wiadomości dyrektora. Podaje swój telefon. Interesuje go każdy teleks, który przyjdzie od Staronia albo będzie jego dotyczyć. I jeszcze raz: ani słowa. Wprawdzie mowa jest o podejrzeniu, ale nie o spowodowanie wypadku drogowego czy przemyt dolarów. Chodzi prawdopodobnie o przestępstwo najcięższego kalibru. Rozumiemy się?

Rozdział 16

Tym razem Zawadka stracił spokój. Sprawa przyjęła niepomysłny obrót. Jeżeli Staroń jest faktycznie sprawcą, którego tropią, istnieje dla niego jedyny ratunek: nie wracać do kraju!

- No i gdzie go będziesz szukał? Konsternacja Rogosza była nie mniejsza niż szefa. Rozważali możliwość ściągnięcia Staronia do kraju.

I doszli do wniosku, że nie ma żadnej. Oczywiście, można by zażądać ekstradycji. Zbrodniarz pospolity nie jest chroniony ażylem w krajach, gdzie obowiązują konwencje międzynarodowe. Jeszcze kilka lat temu zbiegły kryminalista przebierał się w togę politycznego opozycjonisty i póki sprawa się nie wydawała, korzystał z bezkarności. Ale obecnie, kiedy terroryści i inni ekstremiści dali światu gorzką lekcję, policje wszystkich krajów idą sobie na rękę.

- Jeżeli nie wróci w najbliższym czasie, trzeba będzie wszcząć starania o ekstradycję - zaproponował kapitan.

- Znowu fantazjujesz! - Zawadka chodził wściekając się po gabinecie. - Na jakiej podstawie? Śladu linii papilarnych sprzed dwudziestu laty? Nie zdążyłeś ich nawet porównać. Byłeś pewien, że Wrzos jest zabójcą Krawczyka. Teraz znowu zakładasz, że to referent z „Chemaroxu”. Żeby wystąpić o wydanie Staronia, należałoby zebrać dowody, które potwierdzą winę, pozwolą orzec o karze. Do tego czasu Staroń zmieni nazwisko, wygląd, nawieje do Argentyny czy Mozambiku. Niech to wszyscy diabli! Komendant wezwał nas obu na jutro w przekonaniu, że będzie z nami rozmawiał po przesłuchaniu podejrzanego... Swoją drogą nie wolno ci było się upierać przy jednoosobowej ekipie w tak poważnym przypadku. Postępowałeś lekkomyślnie i wciąż na własną rękę. Wizyta w kadrach centrali. Taki Staroń ma z pewnością kumpli, może współnika, który siedzi przy tym samym biurku. Czy wiesz, kiedy on wraca? Czy przynajmniej kiedy miał wrócić zgodnie z delegacją?

- Nic prostszego niż zatelefonować do centrali.

- I zapytać co robił w maju 1953 roku? Zostaw!

Rogosz nie zamierzał siebie bronić. Był zdania, że duży zespół powoduje więcej hałasu wokół czynności operacyjnych. Musiał minąć pewien czas, nim wypłynęła osoba

Staronia, który nazajutrz po ujawnieniu zabójstwa Wrzosa natychmiast wyjechał.

- Nic więcej nie możemy zrobić - powiedział Zawadka - tylko czekać cierpliwie. Wiesz coś o jego rodzinie?

- Żona wyjechała do sanatorium w Ciechocinku. Ma GPP - gościec postępujący. Dzieci nie mają. Mieszka w domu Spółdzielni Nauczycielskiej przy ul. Wiejskiej 20. Trzy pokoje, taras wychodzi na ulicę; Konopnickiej. W mieszkaniu są ponoć cenne obrazy, sewrska porcelana. Klucze pozostawiają u dozorcey. Jak widzisz, pracuję.

- Zabraniam rewizji! O niczym w tej chwili nie możesz decydować bez mojej zgody! - Szeff był groźny.

Rogosz zapewnił, że ani mu w głowie przeszukiwanie mieszkania podejrzanego. Nic tam nie znajdują. Jego zdaniem szansa istnieje tylko jedna. Może Staroń pozostawił w kraju majątek, którego nie zdążył wywieźć, bo wypadki pędziły zbyt szybko? Starzy kupcy w dawnej Polsce mawiali: człowiek jest tam, gdzie są jego pieniądze. Druga szansa to żona. Może jest do niej przywiązany? Znaczącą wskazówką będzie fakt, czy po przyjeździe do Bejrutu będzie się kontaktował z centralą. Czy będzie odwiedzał miejscową ekspozyturę „Chemaroxu”. A gdyby nie zamierzał wrócić?

Zawadka zgodził się, że kontakt czy brak porozumienia Staronia z centralą może być wskazówką co do jego dalszych planów i zapytał Rogosza, czy zna telefon biurowy podejrzanego. Przepisał go na kartce papieru i poprosił do gabinetu swoją sekretarkę.

Miała wielką zaletę, nie jedyną! Nie zadawała pytań. Szeff przekazał jej kartkę z numerem telefonu i polecił przeprowadzenie następującej rozmowy: ma poprosić do telefonu Michała Staronia. Jeżeli jej odpowiedzą, że jest za granicą, niech się przedstawi jako kuzynka, która przyjechała czarterowym lotem do starego kraju. Telefonowała do domu kuzynów. Nikt nie odpowiada. A jej „czarter” wraca 28 listopada do Montrealu.

- I co dalej? - Janka jeszcze nie rozumiała swojej roli.

- Dalej proszę jedynie notować odpowiedź. Każde słowo

jest na wagę złota.

Janka mówiła z angielska w sposób tak charakterystyczny, że Rogosz zastanawiał się, czy nie popełniła błędu z wyborem zawodu. Wysłuchiwała odpowiedzi, zapisując każde słowo i zakończyła rozmowę słowami: „dżenkuję bardzo” i powiedziała mężczyznom, że urzędnicy z centrali są znacznie uprzejmiejsi, aniżeli jej koledzy, może nawet zbyt uprzejmi wobec obcej osoby, która przyjechała z zagranicy. Odczytała informację: Staroń miał wracać dwudziestego trzeciego, ale zatrzymują go ważne sprawy. Ma napiętą transakcję i uzyskał od szefa przedłużenie pobytu na kilka dni. Wraca dwudziestego dziewiątego. Samolot ląduje o 17.20. Niestety nie wiedzą, u kogo zostawił klucze od mieszkania, bo mogłaby chwilowo u Staroniów zamieszkać. Żona kolegi przebywa w Ciechocinku. Pytali, czy trzeba jej pomóc w załatwieniu hotelu. Wtedy ona właśnie odpowiedziała „dżenkuję bardzo” i rozmowa była skończona. Czy może jeszcze gdzieś zatelefonować?

Zawadka uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia - Janka działała na niego jak neuroleptyk - i poprosił o herbatę. Rogosza nie częstował. Kiepski znak.

Kiedy sekretarka opuściła gabinet, zdecydował w sposób kategoryczny: zawieszają śledztwo na przeciąg sześciu dni. Absolutna cisza. Żadnych wywiadów środowiskowych, rodzinnych. Jego starania o przedłużenie pobytu rokuje nadzieje na powrót. Chyba nie zależy mu na kilku dodatkowych dietach? Przy sposobności: próbował iść Rogoszowi na rękę. Dysponuje dwoma wywiadami, dotyczącymi przeszłości denatów. Odpis niech zostanie w aktach sprawy. Jaki jej nadał kryptonim?

- Pasowałby „Niefart” - powiedział gorzko Rogosz- ale pozostawiłem „Konwój”. Słowo to jest tak wieloznaczne. Jeżeli ci przeszkadza, zmienię kryptonim.

Zawadka sądził, że choćby ze względów porządkowych nie będą prowadzili sprawy anno 75 pod nazwą figurującą już w rejestrze.

- Ustalamy, że będzie się nazywać „Apteka”. Dobrze? I

tak, jak mówiliśmy. Odpoczynek! Janek też ma prawo do opieki ojca... Proponuję, żebyśmy się spotkali dwudziestego siódmego rano, zaraz po odprawie.

Omówił plan na dzień przylotu Staronia. I żeby zakończyć rozmowę przyjaznym akcentem, opowiedział koledze, że kupił sobie psa. Piękny owczarek po tresurze w Gołędzinowie. Wychowany jak panienka z dobrego domu.

Rogosz zauważył w duchu, że starzejący się mężczyźni nabywają psy, żeby mieć pretekst do spacerów, których nie musi się uzasadniać, nawet wobec siebie, troską o zdrowie.

Miał przed sobą tydzień oczekiwania na przyjazd Staronia. W ten przyjazd nie bardzo wierzył. Jeżeli wróci, to znaczy, że jego założenia były fałszywe. Konstrukcja, którą sobie wypracował, opiera się jedynie na bezpodstawnej spekulacji. Powinien teraz zacząć na dobre pracę. Ale szef życzył sobie zawieszenia wszelkiej działalności. Dobra! Przejrzał wywiady, dotyczące przeszłości Wrzosa i Markowskiego, i dał je do przepisania. Pojęcie o ostatnim etapie ich życia, tak całkowicie różnym, miał wystarczająco jasne. Interesowały go wciąż lata pięćdziesiąte. Wrzos w tym czasie nigdzie nie był meldowany. Miał kuzynów, u których był, jak to mawiano dawniej, „na stacji”. Wpisał do brulionu adres. Mała uliczka tuż przy Puławskiej. Mógłby tam wstąpić po pracy. Może zapamiętali kolegów, którzy go odwiedzali, może wiedzą cokolwiek o warszawskim epizodzie jego życia? Powstrzymywała go od tej wizyty wiążąca mu ręce decyzja majora. Trudno!

Wrócił do swego pokoju. Kopeć rozmawiał jednocześnie przez dwa telefony. Chmura nie wrócił z konferencji. Spojrzenie kolegi świadczyło o tym, że jest wprowadzony przez szefa w meandry sprawy, którą Rogosz prowadził i ma na nią, jak należało przypuszczać, całkowicie odmienny pogląd...

Rozdział 17

Wieczorem był zaproszony do Andrzeja Żarnowskiego na kolację. Mała uroczystość. Pięć lat do srebrnego wesela. I tak długo wytrzymał. Czy chłopak zechce się z nim wybrać?

Zatelefonował do domu. Janek odpowiedział, że będzie towarzyszył ojcu, ale Rogosz nie wyczuł w jego głosie entuzjazmu.

U Andrzejów miało się spotkać większe towarzystwo. Mieszkali na Stegnach. Kawał drogi. Zaparkował trabanta i szli w kierunku znajomego bloku. Ścieżka ledwo widoczna, kostropawa, potykali się o wystające płyty chodnika. Błoto, wysypiska ziemi i piasku na każdym kroku. Przy odrobinie wyobraźni można było jednak przewidzieć na tym wielkim podwórku zielone trawniki, kwiaty, dziecińce, a na huśtawkach kolorowo ubranych malców. Janek zapisany był do spółdzielni mieszkaniowej, która buduje na Stegnach. Może to jego wnuczek będzie się bawił w piaskownicy przed jednym z tych domów? Co z nim wtedy będzie... Czy już poza pracą? Samotny? Może los mu będzie sprzyjał, zaskoczy go szybkim epilogiem, jak to nierzadko bywa w ich służbie? Tyle że serce miał młodsze aniżeli wiek- stwierdził lekarz po odczytaniu elektrokardiogramu.

Janek powiedział mocno już zniecierpliwiony. - Dzwonźże wreszcie! - Za drzwiami, przed którymi stanęli, dały się słyszeć wesole głosy. Konieczność dostosowania się pomaga czasem w utrzymaniu psychicznej dyscypliny.

Trzy pokoje, już nie klitki, jak budowano na poprzednim etapie. Żona Andrzeja - młodsza od niego wiekiem lekarka - lubiła podróżować i ponawieszała na ścianach trofea z licznych wędrówek. Nie mogła się wprawdzie pochłubić pamiątkami z egzotycznego buszu, ale znad Balatonu czy Dubrownika. Nieważne skąd, byle było kolorowo, wesoło, ciepło.

Towarzystwo zebrało się w komplecie. Andrzej nie lubił spędzać wolnego czasu z kolegami. Wyjątek stanowił Rogosz. Przy stole zasiedli wprawdzie nie pracownicy służby śledczej, ale lekarze z ambulatorium, w którym pracowała żona. Tak czy inaczej, choć wykręcamy się jak piskorze, wciąż obracamy się w kręgu zawodowych kontaktów. Na inne należałoby mieć dużo czasu i inicjatywy.

Siedli do skromnej kolacji. Żarnowska propagowała „jedno a smakowite danie” jako ozdobę wieczoru, uzupełniając jadłospis

drobnymi przystawkami. Twierdziła, że tylko w Polsce ludzie wstają od stołu przejedzeni, ale za to niezdolni do żywej wymiany zdań, flirtu towarzyskiego. A że obyczaj nie zmieniają się od jednego dzwonu, goście rozsiedli się, dojadając precelkami, nadmuchaną kukurydzą, słonymi paluszkami, który to „drobiazg” znakomicie pasował do alkoholu.

Skompletowała się jedna czwórka do bridża. Pan domu dyskutował w małym gronie nad projektem wspólnej wycieczki do Grecji. Wyliczył, że można znakomicie się zmieścić w skromnym budżecie polskiego turysty, byle by zabrać namioty i niewielkie zapasy żywności. Na uboczu pozostali Rogosz i młoda kobieta, która okazała się lekarzem internistą. Pracowała kiedyś z Żarnowską, zaprzyjaźniły się. Janek usiadł obok, słuchał rozmowy jednym uchem i nudził się jak mops. Wreszcie wziął się do rozwiązywania krzyżówki i przerywał co chwila rozmowę ojca z lekarką pytaniami w rodzaju: stworzenie pełzające na pięć liter, „z” na końcu. Pani Bożena z zadziwiającą wyrozumiałością pomagała w uzupełnianiu kratek.

Rogoszowi ciekawie rozmawiało się z lekarką, a przy sposobności dowiedział się, że pracownicy tej służby mają nie mniej kłopotów niż oni. Kobieta mówiła o medycynie z nieczęsto spotykaną żarliwością. Okazało się, że zamierza robić specjalizację drugiego stopnia, ale brak jej warunków. Jest sama, dwoje małych dzieci. Biega ze szpitala do przychodni. A w nocy bierze dyżury, bo są stosunkowo nieźle płatne.

Nie pytał, co się stało z mężem. Powiedziała sama, że rozeszli się z powodu niezgodności charakterów. Pozostali przyjaciółmi. Broniek jest także lekarzem. Pracuje w medycynie przemysłowej, na Żeraniu. Jeżeli między dwojgiem ludzi zabrakło namiętności, a charaktery się ze sobą kłóca, ilość kompromisów przechodzi w jakość zwiększającej się niechęci nie tyle może do siebie, ile do życia, otoczenia. Lepiej przeciąć węzły, aniżeli sztucznie je utrzymywać.

Był zdziwiony tym wynurzeniem, a jednocześnie pochlebiało mu widoczne zainteresowanie ze strony

przystojnej kobiety jego, jak sądził, nieciekawą osobą. Siedzieli we trójkę, a Janek wciąż zamęczał pytaniami. Pierwiastek chemiczny na „c”? Pani Bożena odpowiedziała natychmiast, budząc w chłopcu żywy podziw. Babka! To dopiero! W ten sposób wieczór, który nie zapowiadała Rogoszowi wrażeń, wzbogacił go o znajomość z inteligentną i uroczą osobą. Zanotował jej telefon, zapytał o godziny pracy i pozwolenie przypomnienia się. Zgodę wyraziła w sposób prawie entuzjastyczny. Tak żywy, że wzbudził jego niepokój. Pogłębił wrodzoną podejrzliwość Rogosza Andrzej Żarnowski, który odprowadzając przyjaciela i jego syna do drzwi, raz po raz pytał, jakie wrażenie wywarła na nim Bożena. Poklepywał Rogosza po ramieniu, co miało oznaczać akceptację dla rozpoczynającego się flirtu. Ten gest sprawił mu wyraźną przykrość. Ale była to maleńka chmurka na jasnym firmamencie udanego wieczoru. Nawet Janek, kiedy znaleźli się na ulicy Sobieskiego, gdzie czekał na nich trabant, powiedział nagle, z cicha pęk: - Wiesz, stary? Kobięca ręka, to nie nasza. Może by i nie było tak źle, jakbyśmy sobie znaleźli jakąś ładną panią, która przygotowuje chłopcom śniadanko?

Nie podtrzymywał tej dyskusji. Z pewnością Andrzej „podpuścił” Janka. Nie znosił podobnych manewrów i postanowił, że do Bożeny nie zadzwoni. Że też od razu nie zwrócił uwagi, jak skłonna jest do intymnych zwierzeń. Cecha, której u kobiet wyjątkowo nie lubił... Jechali chwilę w milczeniu. Zapytał chłopca, żeby cokolwiek powiedzieć:

- Bardzo było nudno?

- Koszmarnie!

Janek głupio się poczuł, że zrobił staremu przykrość. Chciał się jakoś wytłumaczyć i brnął dalej:

- Powiem ci otwarcie. Nie ciągnij mnie na takie przyjęcia. Zjeść można, ale trzeba odsiadywać te kolacje, prowadzić rozmowy wciąż na te same tematy. Ile można gadać o niczym? Krytykujecie, że młodzi dziwacznie się bawią. Nie jestem tego zdania. Siadamy na podłodze, gdzie kto miejsce znajdzie, nastawiamy stereo i słuchamy. Po co mówić, jeżeli

nie ma się nic nowego do powiedzenia? Choćby dziś. Aż mdli. Popisywali się znajomościami, wysilali na głupie dowcipy i wciąż te same narzekania. U nas fajniej. Nie poczuwa - my się do obowiązku prowadzenia konwersacji.

Rogosz słuchał chłopaka i w znacznym stopniu przyznawał mu rację. Był zdumiony, że nie spostrzegł, jak mu chłopiec dorosłaje. I powiedział:

- Wiesz co, Janek? Masz rację co do kobiecej rączki. Zaczekam, aż się ożenisz. Niech mnie synowa pieści... A co to była za Basia, z którą byliśmy w kinie?

Pytanie nie przypadło chłopcu do gustu.

- Obudź się! Ja i miłość? Było, poszło. - I dodał z niechęcią: - Łazi teraz z Olkiem. Jego ojciec daje mu malucha do prowadzenia. Gdzie tam ja z moim starym motorowerem!

Rozdział 18

Przed zameldowaniem się w czwartek dwudziestego siódmego listopada u szefa, Rogosz jeszcze raz sprawdził godzinę lądowania samolotu z Bejrutu. Informacja LOT-u potwierdziła dane z notatek. O godz. 17.20 samolot będzie na płycie Międzynarodowego Portu Lotniczego Okęcie.

Nim jeszcze przekroczył próg gabinetu szefa, zaniepokoiło go zachowanie Janki. Unikała jego spojrzenia, pozornie zajęta segregacją poczty, która to czynność nigdy jej nie przeszkadzała w drobnym geście, potwierdzającym ich starą, wypróbowaną przyjaźń.

Coś się na mnie szykuje, zrozumiał Rogosz i nie pomylił się zbyttnio.

W gabinecie majora znajdował się także Kopeć. Szef rozpoczął rozmowę od słów: - Musimy się razem zastanowić...

Rozumiał znakomicie potrzebę kolektywnej narady, nie miał zwyczaju demonstrować swoich reakcji, jeżeli w grę wchodziła ambicja czy urażone poczucie własnej godności. Kopeć? Proszę! Jeszcze jedna głowa nie zaszkodzi.

Szef zaczął od tego, że prognoza kapitana Rogosza raczej się

sprawdza. Ma informacje, zdobyte w sposób nie budzący niczyich podejrzeń, że ten człowiek znajduje się na liście pasażerów, odlatujących w sobotę. Niewykluczone, że wersja „Staroń” jest niewypałem. Choć niczego z góry nie chce sugerować. Niech podejrzany najpierw się znajdzie w zasięgu działania polskiej służby śledczej. Co proponują?

Kopeć był zdania, że trzeba zatrzymać podejrzanego w chwili wysiadania z samolotu. Jeżeli liczymy się z pasażerami, wśród których są i cudzoziemcy, można by go „zdząć” po odprawie celnej, ale zaraz po opuszczeniu sali poczekalni. Rzecz w tym, żeby nie mógł się porozumieć z nikim przed rozmową z pracownikiem komendy. Obojętne, czy będzie nim on czy Rogosz.

To alternatywne wymienienie jego nazwiska wkurzyło Rogosza. Był zdecydowanie przeciwny koncepcji Kopcia. W jego przekonaniu mają za mało dowodów, żeby zrezygnować z szansy zebrania dodatkowych informacji. Dla śledztwa będzie niesłychanie ważne, z kim zobaczy się Staroń w pierwszych godzinach po przyjeździe. Do kogo będzie telefonował? Kto go odwiedzi? Kto ewentualnie będzie go oczekiwał na lotnisku? Najlepiej byłoby tę obserwację przedłużyć na dzień, dwa. Ale obawia się, że kiedy Staroń przyjdzie do pracy...

Zawadka przerwał mu w środku zdania: - Za dużo cię tam widywano!

- Może... - zgodził się Rogosz i zaproponował trzymać faceta na muszce po południu do późnej nocy. Obstawić dom! Rozmowy telefoniczne powinny być nagrane na taśmę. Podejrzany mieszka w bloku na Wiejskiej. Jest tam jedno wyjście. Łatwy punkt obserwacji. Uciec nie ucieknie. Gdyby żywił tego rodzaju intencje, nie wystartowałby z Bejrutu... A może jeszcze nie wyleci? Wpisanie się na listę pasażerów niczego nie przesądza.

Rozumowanie było logiczne. Szef mógł posprzeczać się z Rogoszem, nawet go ochrzanić, mimo że był od niego młodszy wiekiem. Ale cenił jego doświadczenie i przyjął po namyśle drugą koncepcję. Porozumiał się ze Stołeczną Komendą i ustalili osobę wywiadowcy, który od chwili przejścia Staronia

przez kontrolę celną i paszportową będzie mu towarzyszył non stop, a później przejmie obserwację domu przy ulicy Wiejskiej. Musi zwracać uwagę na podjeżdżające samochody czy też podejrzanych osobników, gdyby kręcili się w pobliżu bloku. Jeśli podejrzany opuści mieszkanie, należy go nie spuszczać z oka i natychmiast przy pierwszej możliwości zawiadomić przedstawiciela Komendy Głównej, który będzie w kontakcie z dyżurnym oficerem KSMO.

Naczelnik wydziału kryminalnego Komendy Stołecznej podał nazwisko wywiadowcy: starszy sierżant Jerzy Mieloch.

- Gdzie i kiedy ma się zgłosić?

Major zdecydował, że następnego dnia z samego rana. Do kapitana Rogosza, pokój 237. Wywiadowca otrzyma zdjęcie podejrzanego osobnika, numer jego samochodu i bliższe wskazówki. Żona podejrzanego znajduje się obecnie w Ciechocinku. Niewykluczone, że zaraz po przyjeździe zechce do tej miejscowości telefonować. Kontrola rozmów jest zabezpieczona. Gdyby wskazany osobnik objawiał zamiar opuszczenia Warszawy, należy za nim jechać, pozostając w stałym kontakcie z dyżurnym wydziału.

- Ilu ludzi? Wystarczy Mieloch i dwóch funkcjonariuszy, którzy pojedą po północy, gdzieś koło godziny pierwszej nowego dnia „zdjąć” Staronia. Zawiozą go do was. Kapitan Rogosz zacznie zaraz po przywiezieniu podejrzanego przesłuchanie. Naturalnie, że u was... No to wszystko jest jasne...

A jednak sprawa pod kryptonimem „Apteka” potoczyła się zupełnie innym torem, nie przewidzianym zarówno przez Rogosza, jak i jego antagonistę ze wspólnego pokoju. A zmiana ta spowodowała, że spotkali się wszyscy owej sobotniej nocy 29 listopada w Komendzie Stołecznej. I to bynajmniej nie w celu przesłuchania Michała Staronia...

Rozdział 19

Kiedy przenikliwy w nocnej ciszy sygnał telefonu obudził majora Zawadkę, Rogosz nie spał, oczekiwał w pałacu

Mostowskich - siedzibie Stołecznej Komendy - przywiezienia Staronia. Dzień ten był dla niego napięty, nautykany zajęciami i to od samego rana. Przed obiadem Akademia zorganizowała spotkanie słuchaczy z grupą doświadczonych pracowników Komendy Głównej. - Jak potrzebują starych pryków - powiedział do Zarnowskiego - zaraz sobie o mnie przypominają. - Ale uczestniczył gorliwie, odpowiadał na liczne pytania, zaskoczony zakresem wiedzy tych młodych, ich odczytaniem, znajomością ciekawych przypadków, nawet z okresu przedwojennego.

Zamierzał po obiedzie odpocząć, bo noc zapowiadała się pracowicie. Ale nerwy „nie strzymały”. Pojechał na lotnisko. Nim siądą naprzeciw siebie, chciał z daleka przyjrzeć się pasażerowi, który przybędzie o godz. 17.20.

Na wszelki wypadek pojechał nieco wcześniej i sprawdził godzinę przylotu. Sygnalizowano kwadrans spóźnienia. Na warszawskim lotnisku zalegała mgła. Za to w poczekalni panował nastrój nerwowy. Tłoczyli się przyjezdni, odjeżdżający i towarzyszące podróżnym rodziny. Kwiaty, uściski, radosne okrzyki graniczyły ze smutkiem pożegnania. Przy balustradzie krewni i znajomi oraz zwyczajni gapie przyglądali się ustalonej procedurze, której są podporządkowani podróżujący liniami lotniczymi. Kontrola biletów, ważenie walizek. Podziwiał urzędników w zielonych mundurach, którzy kontrolowali przecież tylko jednego spośród wielu pasażerów, i mimo to czy też z reguły trafiali na takiego, który przekraczał przepisy celno-dewizowe. Mają oko!

Wszedł na piętro, stanął na galerii obok grupy rodzinnej, wyczekującej niecierpliwie przybycia samolotu z Libanu. Dzieciaki aż popiskiwały z ciekawości, co im też ojciec z dalekiego Bejrutu przywiezie. Matka kazała im ustąpić starszemu panu miejsca przy balustradzie. Wpatrywał się w drzwi, które wypuszczały zmęczonych jazdą pasażerów do ciepłej, jasno oświetlonej poczekalni. Wzrok miał dobry, niezawodny. Nie może się omylić, kiedy zobaczy człowieka, na którego niecierpliwie wyczekuje od tygodnia.

Megafony podały, że ląduje samolot z Bejrutu opóźniony o

kwadrans. A więc za chwilę! Jakaś kobieta zatrzymała malca, który wyrwał się matce i zbiegł na dół, żeby jak najszybciej uściskać tatusia. Pasażerowie, przybyli wprost z samolotu miejscowym autobusem, ustawiali się w regularnym szyku przed okienkiem kontroli paszportowej.

Rogosz obrzucił spojrzeniem poczekalnię. Sierżant Mieloch, ubrany w ciemną, nie rzucającą się w oczy jesionkę i cyklistówkę, wybrał sobie miejsce do obserwacji podziwiając model fiata 125p, ustawionego w holu na podium jako reklama polskiej motoryzacji. Odrywał się od wypucowanego na błysk samochodu i znowu wracał na miejsce, skąd widać było jak na dłoni drzwi, z których pasażerowie wpadali wprost w ramiona kochającej rodziny lub przekazywali bagaże szoferom instytucji, z ramienia których odbywali służbowe podróże.

Pomyślał, że Mieloch się niecierpliwi, bo trochę za długo trwa zarówno jedna odprawa, jak i druga. Chętnie podzieliliby się z nim wiadomością, że powodem przeciągania się formalności jest bagaż, którego taśma jeszcze nie wyrzuciła. Ale Mieloch przecież nie wiedział, że kapitan Rogosz towarzyszy jego czynnościom.

Rogosz był w stanie, który można określić jako rozdwojenie. Wciąż nie wierzył w przybycie pasażera. Miał swoją koncepcję sprawy i sprawców, w której Staroń, zabójca młodego milicjanta, a dwadzieścia lat później - sprawca usunięcia ze świata dwóch współników napadu, nie miał prawa wrócić do kraju. W czasie pierwszej wizyty w kadrach w „Chemaroxie” zdobył informacje, którymi nie chciał już „truć” szefa. Okazało się, że Staroń urodził się w 1933 roku. A w 1953 mieszkał w Warszawie na tej samej ulicy, co nieżyjący aptekarz. A więc jego intuicja działa bezbłędnie. Hipoteza tym razem sprawdza się! Wiedział także, że rozmowa ze Staroniem, jeżeli w ogóle przybędzie, a nie jest sprawcą zbrodni, wyjaśni wiele okoliczności, otwierając nowe perspektywy dla śledztwa, A więc czekał!

I w pewnym momencie uporczywego wypatrywania dostrzegł...-Staronia. Nie mogło być wątpliwości. Zbyt często oglądał jego zdjęcie, żeby się pomylić. Pasażer miał w rękę

dwie walizki, nylonową torbę i kończył zakupy w „Baltonie”. Podszedł do celnika - którego musiał znać jako globtroter urzędowy, bo przywitał się podaniem ręki - i bez kontroli wyszedł wraz z bagażowym, który nosił za nim walizki sporej wielkości, przez drzwi prowadzące do poczekalni. Szli w kierunku parkujących samochodów. Rogosz dostrzegł starszego sierżanta Mielocha, jak powoli, wraz z grupą podróżnych kierował się za Staroniem. W pewnej chwili wyminął gęsty tłum i szedł tuż za podejrzanym.

Wtedy dopiero kapitan udał się do swojego pokoju w komendzie. Wyjął z szafy magnetofon, kasety, notatki, zawierające własne uwagi oraz pytania przygotowane do rozmowy ze Staroniem. Obładowany wszedł do swojego trabanta i pojechał na plac Dzierżyńskiego do Stołecznej Komendy, gdzie czekał na niego pokój, butelka wody mineralnej, a za kilka godzin zjawi się człowiek, którego pilnie śledzi Mieloch. Na korytarzu kręcił się umundurowany funkcjonariusz milicji, który miał pełnić swoją wartę do końca przesłuchania - Rogosz przewidywał, że nie skończy się przed świtem.

Staroń pojawił się w komendzie około pierwszej w nocy. Miał przed sobą jeszcze kilka godzin wyczekiwania. Przeczytał zaległą prasę i zdecydował się wpaść do części budynku, zajmowanego przez stanowisko dowodzenia Komendy Stołecznej. Pracują 24 godziny na dobę. Nie ma dla nich nocy.

Zszedł o piętro niżej i znalazł się w centrum, które zabezpiecza spokój nocy warszawskiej. Na oświetlonej mapie stolicy wyskakiwały punkty sygnalizujące zakłócenia ruchu, wybryki chuligańskie, pijackie awantury czy też ludzkie dramaty, które rozgrywają się nie wiadomo dlaczego, najczęściej w nocy. Pora, w której narasta strach, depresja, poczucie osaczenia.

Po każdorazowym sygnale radiowóz otrzymywał od dyżurnego oficera polecenie w rodzaju: AB-74! Proszę jechać na ulicę, pod numer, do mieszkania... Zabrać po drodze... Najczęściej trzeba było transportować pijaka wprost do Izby Wytrzeźwień. Milicję, jak każdą inną instytucję, obowiązuje w

okresie kryzysu paliwowego oszczędność benzyny.

Trzech dyżurnych odbierało sygnały od ludzi atakowanych, obawiających się o swoje życie, czy mienie (często bez uzasadnienia) i od kawalarzy, których ubaw polegał na serwowaniu fałszywych alarmów, wprowadzających w błąd służbę porządku publicznego. Trzeba było jechać, sprawdzać. Bo jak tu przez telefon odróżnić łobuza od człowieka zagrożonego?

Rogosz obserwował pracę kolegów i stwierdzał z satysfakcją, że technika operacyjna zrobiła wielki krok naprzód od czasu, kiedy on sam, wiele lat temu, pełnił tu nocne dyżury. Przy aparaturze, kierując ruchami radiowozów, urzędował tej nocy stary kolega. Rogosz zaproponował mu z czystej życzliwości i chęci sprawdzenia się w dawnej roli, że zastąpi go do północy. Niech sobie odpocznie, zdrzemnie się... Odbierał informacje o przemieszczeniu się wozów, przekazywał zlecenia i już miał kończyć swój dobrowolny dyżur, bo i kolega wrócił po kolacji, kiedy trzykrotny sygnał zaalarmował stanowisko. Podniósł słuchawkę i zastygł w przerażonym zdumieniu.

Wywiadowca raportował z ostatniej chwili. Rogosz powtórzył mechanicznie:

- Nie żyje? To niemożliwe! A Mieloch? Miał go nie spuszczać z oka! -I po wysłuchaniu odpowiedzi oficera z radiowozu, powiedział coś bardzo nielogicznego: - Przecież czekam od tylu godzin, żeby go p r z e s ł u c h a ć!

Następnego dnia rano na biurku szefa znalazły się dwa dokumenty. Pierwszym był raport starszego sierżanta Jerzego Mielocha.

„Zgodnie z poleceniem służbowym w dniu 29 XI o godz. 16.30 na terenie Międzynarodowego Portu Lotniczego rozpocząłem obserwację wskazanego mężczyzny, którego będę nazywał »Inżynierem«.

O godz. 17.55 »Inżynier« wyszedł z budynku Portu Lotniczego i udał się w kierunku postoju taksówek. Trzymał w ręku neseser koloru jasnobrązowego i niewielką torbę papierową z nadrukiem »Baltona«. Obok szedł bagażowy,

niosąc dwie duże walizki koloru czarnego. »Inżynier« przez cały czas rozglądał się dookoła, wyraźnie kogoś poszukując. Powrócił do poczekalni i w »Informacji« zapytał (sprawdzono po jego odejściu od okienka), czy nie było dla niego wiadomości. Pozostawił bagażowego na zewnątrz, ale widocznie upewnił się co do nieobecności poszukiwanej osoby, bo za chwilę był z powrotem. Taksówek na postoju nie było. Bagażowy postawił walizki na chodniku, podszedł do stojącego w pobliżu mężczyzny (lat ok. 45, wysoki, dość tęgi, ubrany w marynarkę z brązowego zamszu i szare spodnie), chwilę z nim porozmawiał. Wrócił następnie po bagaż i razem z »Inżynierem« skierowali się na parking przed budynkiem poczekalni. Tam podeszli do samochodu osobowego fiat 125p koloru zielonego nr rej. 5307 - WL. Obok samochodu stał już wyżej opisywany mężczyzna. Otworzył bagażnik, do którego towarzyszący »Inżynierowi« bagażowy wstawił dwie czarne walizki. Po zatrzaśnięciu bagażnika podejrzany wyjął z kieszeni jeden banknot, odniosłem wrażenie, że dolarowy - wartości jego nie dostrzegłem ze względu na odległość - i wsiadł do samochodu na tylne siedzenie. Za kierownicą zajął miejsce mężczyzna w zamszowej marynarce. Pojechali ulicami Żwirki i Wigury do pomnika Lotnika, potem Trasą Łazienkowską, Alejami Ujazdowskimi do Pięknej. Po czym skręcili i mijając Sejm zatrzymali się przed dużym blokiem przy ulicy Wiejskiej 20. »Inżynier« i kierowca wysiedli. Mężczyzna w zamszowej marynarce wyjął z kufra walizki - jedną z nich oddał »Inżynierowi« - a odebrał natomiast neseser. Razem weszli do budynku przez duże podwórko. Torba z nadrukiem »Baltona« pozostała prawdopodobnie w samochodzie. Po około pięciu minutach kierowca wrócił do wozu. Po otwarciu sięgnął na tylne siedzenie, podniósł torbę z napisem »Baltona«, zajrzał do środka i po chwili wahania odłożył torbę, zapalił silnik i odjechał z niedozwoloną szybkością w kierunku Alei Jerozolimskich. Po chwili z domu wybiegł »Inżynier«, rozglądał się za samochodem, ale go już nie było widać. Powrócił do

budynku, sprawiał wrażenie zmartwionego.

Zgodnie z otrzymanym drogą radiową poleceniem, obserwowałem w dalszym ciągu budynek. Zaznaczam, że w tym bloku znajduje się garaż podziemny, do którego zjeżdżała pod wieczór znaczna ilość samochodów. Od dzielnicowego, który pełnił tego dnia służbę, dowiedziałem się, że garażują w nim właściciele samochodów, zamieszkujący blok pod numerem 20. Wobec tego, że spis numerów garażujących samochodów jest w posiadaniu dozorca, nie było potrzeby ich notowania. Dodaję, że w okresie obserwacji do budynku weszło i opuściło go dwadzieścia siedem osób - kobiet i mężczyzn, lecz zgodnie z otrzymanym zadaniem, osób tych nie obserwowałem.

O godz. 23.30 przed budynek podjechał samochód służbowy z oficerami KSMO, którzy po zapytaniu mnie, czy obserwowany nie opuścił domu, weszli do wewnątrz. Zgodnie z poleceniem obserwacji w tym momencie zakończyłem".

Podpisany był Jerzy Mieloch - wywiadowca.

Drugi dokument uzupełniał sprawozdanie starszego sierżanta Mielocha. Była to relacja z ustaleń wstępnych w sprawie zabójstwa Michała Staronia, zamieszkałego w Warszawie, na ul. Wiejskiej 20 m. 24, a brzmiała następująco:

„W dniu 29 listopada 1975 r. o godzinie 23.30 grupa funkcjonariuszy KSMO udała się do mieszkania ob. Michała Staronia, zam. przy ul. Wiejskiej 20 m. 24 w celu dokonania zatrzymania. Zgodnie z raportem wywiadowcy, obserwującego budynek, miał on pozostawać w czasie od przyjazdu z lotniska do momentu, w którym mieliśmy realizować jego zatrzymanie w swoim mieszkaniu. Ponieważ na pukanie wywiadowcy nikt drzwi nie otwierał, po naciśnięciu klamki okazało się, że nie są zamknięte. Po wejściu do wewnątrz funkcjonariusze stwierdzili, że nikogo w mieszkaniu nie ma. Dopiero po otworzeniu drzwi do łazienki natknęli się na zwłoki rozebranego mężczyzny, który znajdował się w wannie. Mężczyzna ten przy pomocy dozorca został zidentyfikowany jako główny lokator - Michał Staroń. Żona jego znajduje się poza Warszawą. Dzieci nie posiadają. Wezwany lekarz Pogotowia Ratunkowego zastosował zabiegi reanimacyjne,

które nie dały rezultatu. Z polecenia kapitana Zbigniewa Rogosza z Komendy Głównej do powyższego mieszkania przybyła grupa techników wraz z lekarzem dr Jerzym Bąkowskim. Stwierdził on, że śmierć nastąpiła mniej więcej godzinę przed przybyciem ekipy KSMO i przyczyną zgonu było utonięcie. Ustalił ponadto, że na ciele denata, w okolicy barkowej, znajdują się wyraźne zadrapania i otarcia naskórka, powstałe najprawdopodobniej wskutek nacisku ręki innej osoby. Mieszkanie nie nosiło śladów płądrowania i nic z niego, jak wynika z powierzchniowych oględzin, nie zginęło.

Na podstawie całości ustaleń przyjęto następujący stan faktyczny:

W dniu 29.XI.75 o godz. 18.10 ob. Michał Staroń powrócił do domu po dwunastodniowym pobycie w Libanie, gdzie przebywał jako reprezentant centrali „Chemarox”, z siedzibą w Warszawie. Ob. Michał Staroń pozostał w domu sam i postanowił się wykąpać. Gdy wszedł już do wanny, usłyszał prawdopodobnie dzwonek do drzwi wejściowych. Wszedł z wanny, założył szlafrok (stwierdzono, że był on wilgotny) i poszedł otworzyć drzwi. Po przyjeździe ekipy na podłodze widoczne były jeszcze mokre ślady. Wpuścił do mieszkania kogoś prawdopodobnie dobrze mu znanego i wszedł ponownie do wanny, aby dokończyć kąpieli. W tym czasie NN sprawca zaatakował go łapiąc za barki i wcisnął mu głowę pod wodę. Zaskoczony Michał Staroń bronił się słabo, zachłysnął wodą i stracił przytomność. Sprawca opuścił następnie mieszkanie, nie zamykając za sobą drzwi.

Przesłuchanie lokatorów budynku nic do sprawy nie wniosło. Wywiadowca, który obserwował budynek, podał rysopisy pięciu mężczyzn i czterech kobiet, które zwróciły jego uwagę. Trzech spośród mężczyzn i wszystkie kobiety, których rysopisy zostały przez wywiadowcę podane, zostali zidentyfikowani jako stali mieszkańcy budynku. Trwają działania mające na celu identyfikację dwóch pozostałych mężczyzn. Zwłoki Staronia zostały przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej celem dokonania sekcji... Relacja podpisana została słabo czytelnym nazwiskiem.

Zawadka spoglądał na dwóch inspektorów, którzy wymieniali między sobą dokumenty. Powiedział beznamiętnie, z chłodną ostentacją:

- Śledztwo w sprawie Wrzosa, Markowskiego i Staronia przejmuję z dniem dzisiejszym kapitan Kopeć. Popełniliśmy... - zaakcentował liczbę mnogą - wielki błąd, nie zatrzymując wczoraj na lotnisku Staronia, jak proponował zresztą Kopeć. Niewykluczone, że dałem się zasugerować wersją o trzech współnikach, co nie zwalnia mnie bynajmniej od odpowiedzialności za błędną decyzję. Proponuję stworzenie zespołu, do którego weszłoby dwóch lub trzech pracowników z sekcji zabójstw Komendy Stołecznej. - Zwrócił się do Rogosza: - Czy masz konkretną propozycję, dotyczącą składu zespołu?

Rogosz odpowiedział spokojnie, chociaż wydarzenia biegingy tak szybko i konsekwentnie wbrew jego wersji, że trudno mu było mimo wielkiego treningu życiowego opanować drżenie głosu.

- Owszem! Proszę o włączenie mnie do zespołu. Co do pozostałych, można zawierzyć szefowi Stołecznej. Zna lepiej od nas swoich ludzi.

Zawadka i Kopeć wymienili między sobą spojrzenia, których Rogosz nie mógł nie zauważyć. Ale ten Kopeć mnie nie lubi. - pomyślał. - Już by mnie chciał widzieć na emeryturze. I tak mnie wcześniej szlag trafił. Już całkowicie opanowanym głosem poprosił szefa o chwilę rozmowy. Kopeć zrozumiał, że chodzi o rozmowę w cztery oczy. Nie był nawiasem mówiąc zachwycony decyzją szefa. Koledzy lubili i szanowali Rogosza. Źle przyjmą decyzję majora. Pomyślą, że to on kopał dołki pod kolegą. Wprawdzie nie miał wątpliwości. Sprawa była nieprawidłowo prowadzona od samego początku.

Żeby jednak upokarzać starego pracownika wobec kolegi? Zapytał szefa, czy może wrócić do siebie. Wyszedł z miną człowieka bynajmniej nie uszczęśliwionego. Zawadka pozostał z Rogoszem.

- O co chodzi? Chyba wszystko zostało powiedziane?

Rogosz nie zamierzał wracać do problemu kierownictwa grupy operacyjnej. Powiedział głosem bardzo zdecydowanym, w którym nie można było wyczuć cienia rezygnacji:

- Wciąż jestem przekonany, że byłem na właściwym tropie. Wiem! W Tworkach jest dla mnie przygotowane ciepłe łóżeczko. Zanim sam udam się na „zasłużony” odpoczynek, chcę zaryzykować jeszcze jedną próbę. Czy pozwolisz, że zrobią dla mnie w zakładzie ekspertyzę linii papilarnych denata? Muszę je porównać. Koszty są groszowe. Chyba tyle jestem jeszcze wart?

Chłop ma pecha - pomyślał Zawadka i powiedział dobrotliwie, jak do człowieka nie całkiem zrównoważonego: - Jeżeli ci tak zależy, zatrudnij „trupią łyżeczkę”. Nie ma znaczenia...

„Trupią łyżeczką” nazywano metalowy uchwyt, którym wyprostowuje się martwą dłoń dla dokonania odbitek linii papilarnych.

- Dziękuję ci bardzo - powiedział Rogosz. - Jadę zaraz do Zakładu Medycyny Sądowej. Chyba nie zakończyli jeszcze sekcji?

Wpadł jednak najpierw do archiwum. Na jednej z półek odpoczywała dokumentacja „Konwoju”. Protokoły, zeznania, wątle dowody rzeczowe. Wśród nich dwie łuski broni palnej 7.62 mm. W kopercie zamknięte były odbitki linii papilarnych zabójcy Krawczyka. Przełożył wytartą kopertę do swojej teczki. Powiedział do archiwisty, że jutro dokument wróci na swoje miejsce. Stary funkcjonariusz, przyzwyczajony do porządku, zażądał pokwitowania, które Rogosz posłusznie podpisał.

Potem pojechał do Zakładu Medycyny Sądowej.

Na miejscu dowiedział się, że nie przystąpiono jeszcze do sekcji. W pomieszczeniach piwnicznych pod białymi prześcieradłami odpoczywali snem, nazywanym wiecznym, ludzie, których nawet po śmierci nie wolno było pozostawić w spokoju, jeżeli sprawiedliwości miało się stać zadość.

Rogosz wraz z technikiem daktyloskopii podeszli do stołu, na którym leżał człowiek, podejrzewany przez niego do wczoraj o

zabójstwo dwóch współników. Stary woźny odsłonił prześcieradło. Zobaczył ciemne włosy, szczupłą twarz o wyrazie niezmaconym gwałtowną śmiercią. Tyle razy oglądał ją na zdjęciu, że wydała mu się dobrze znajoma.

Ekspert unieruchomił martwą dłoń żelaznym uchwytem, wziął kartkę czystego papieru i ułożył na niej rękę w ten sposób, w jaki musiałby uczynić to człowiek podejrzany, zatrzymany przez milicję. Przyrzekł, że zadzwoni do Rogosza, jak tylko skończy pracę. Gdyby wyskoczyło coś ciekawego, da znać wcześniej. Ciekawego - to znaczy zbieżność linii? Nie myli się chyba?

Rogosz w tym czasie pojechał na lotnisko. Jeszcze raz, ostatni zadziała na własną rękę. Staroń nim wszedł do samochodu, rozmawiał z panią z „Informacji”. Siedziała i dziś w okienku, nagabywana przez pasażerów. Wylegitymował się i zapytał, czy może ją ktoś na mały kwadransik zastąpić. Znalazła się uprzejma koleżanka. Rogosz zaprosił panią na małą kawę do barku. Przyjęła z chęcią zaproszenie od interesującego mężczyzny.

Uprzedził, że jej odpowiedź na pytanie, które zada, posiada wielką wagę. Otóż czy nie przypomina sobie rozmowy w dniu wczorajszym, w godzinach popołudniowych, z nerwowym mężczyzną... Opisał jego wygląd. Ów mężczyzna próbował się dowiedzieć, czy ktoś nie pozostawił dla niego informacji!

Odpowiedziała bez namysłu, że pamięta tego pana. Elegancki, w średnim wieku. Chodziło mu o to, czy nie szukał go jego kolega. Ten kolega zwróciłby jej uwagę, bo nosił bokobrody. Kiedy zaprzeczyła, zapytał jeszcze, czy nie było telefonu z Nowego Targu. Mógł ktoś pytać o jego nazwisko albo samolot z Bejrutu. Powiedziała, że nie, a ten pan bardzo się śpieszył i chyba denerwował. Chociaż zastrzega się, że bardzo jej przyjemnie odpocząć choć chwilę od tej nudnej pracy, nie bardzo rozumie, dlaczego milicja się tym interesuje... Dziś już był jeden pan z komendy i zadał jej podobne pytanie...

A więc Kopec zaczął działać! Trzeba było jak najszybciej

zjawić się na Puławskiej. W swoim pokoju zastał tylko Chmurę. Mimo chłodu już zimowego wietrzył pomieszczenie. Kopeć? Niechętnie wypowiedział to nazwisko. Kapitan Kopeć siedział u szefa. Ale nie minęła godzina, kiedy zjawił się pracownik daktyloskopii. Rzucił na stół zdjęcia i delikatnie położył obok nich starą, zniszczoną kopertę. Powiedział triumfująco:

- Fragmenty linii ze starych akt korespondują najdokładniej z liniami papilarnymi dłoni, utrwalonymi u denata. Prawdziwa bomba!

Rozdział 20

-No i co powiecie na taką rewelację?

Zawadka zwrócił się z pytaniem zarówno do Rogosza, jak i Kopia oraz dwóch pracowników ze Stołecznej, którzy wspólnie tworzyli ekipę, rozpoczynającą nowy etap czynności operacyjnych w sprawie prowadzonej pod kryptonimem „Apteka”.

Niezależnie od zgodnej a krytycznej oceny kierunku śledztwa, który przyjął Rogosz, trzeba było się zastanowić nad nową sytuacją. Pracownicy ze Stołecznej nie zabierali głosu. Za mało byli wprowadzeni w przebieg działań i koncepcję śledztwa, które trwało przeszło dwa tygodnie. Niezależnie od indywidualnego poglądu lepiej za dużo się nie mądrzyć w obecności dwóch inspektorów z KG z ich szefem na czele.

Kapitan Roman Kopeć nie ukrywał swojego zdania. Był konsekwentny, rzadko kiedy zmieniał stanowisko, a swoich poglądów co do spraw i ludzi nie taił. Tym razem twierdził, że nie widzi żadnego powodu, uzasadniającego zmianę kierunku śledztwa. Fakt identyfikacji śladu po dwudziestu latach może być interesującym dowodem, jeżeli wymowa tego dowodu zostanie potwierdzona dalszymi wynikami śledztwa. Istnieją ponadto omyłki, od których i technika nowoczesna nie jest w stanie się ustrzec. Prasa publikowała wiadomość o uszkodzeniu drobnego elementu komputera, było to bodaj w Anglii, który zaczął wyrzucać błędne dane. Nie znaczy to, że neguje on istnienie ciekawych przyczyn-

ków, a tym bardziej potrzeby komputeryzacji. Warto byłoby zresztą...

- Co proponujecie? - Major nie lubił przydługich monologów, w których specjalizował się Kopeć.

Kopeć miał spisany na kartce plan. Przewidywał prowadzenie normalnego śledztwa bez obciążania go historią. Oględziny zwłok opisane są w protokóle. Nikt ich nie uważał za słuszne zanalizować. Wywiadu o Staroniu brak. Co wiedzą o tym człowieku? Jego żona? Wykluczone, żeby Staroniowa nie wiedziała o kontaktach męża. Jak można było nie przesłuchać narzeczonej farmaceuty z Oleśnicy, która słyszała na własne uszy dialog aptekarza z Wrzosem? Obawia się, musi to powiedzieć szczerze, że na metodzie prowadzenia śledztwa zaciężała - przeprasza, ale mówi prawdę w oczy - koncepcja kolegi Rogosza, którą niektórzy nazywają nie bez racji obsesją. Istnieją określone reguły postępowania w fazie przygotowawczej. Po to ich się uczy, wydaje podręczniki kryminalistyki, egzaminuje ze znajomości przedmiotu. Jeżeli zaś, ujawniając sprawcę zabójstw anno 75, wpadną na trop dawnej działalności grupy bandyckiej, tym lepiej. I ślad korespondujący będzie wówczas jak znalazł.

Zawadka podzielał w zasadzie tego rodzaju pogląd, ale uważał za konieczne, tym bardziej w nowej sytuacji, wysłuchać Rogosza, bowiem inni funkcjonariusze z miejsca oświadczyli, że nie czują się uprawnieni do zabierania głosu. Jeszcze nie zdążyli nawet przestudiować dokumentacji. Rogosz, który przemyślał długą noc nad swoim postępowaniem i jego konsekwencjami, wystąpił z niespodziewaną propozycją:

Zgadza się z Romanem. Zbyt poważne zaszyły wydarzenia, żeby zajmować się archiwalną historią, jeżeli nawet, a jest o tym przekonany, związana jest z aktualnym konfliktem, który zakończył się tragicznie. Ponieważ wie, że kierownik zespołu - spojrzął bez cienia ironii na Kopcia - zamierza podzielić zadania między czterech współpracowników, prosi, żeby jemu przekazano historyczny - słowo to ujmuję w cudzysłów - wstęp do aktualnych wydarzeń. Słowem, chciałby, żeby jego udział w pracach zespołu sprowadzał się do szukania starych zazębień.

Według Romana być może ważnych, ale w żadnym wypadku decydujących. Zgodnie zaś z jego opinią - nie zmienił jej - decydujących, gdyby nawet pozornie wydawały się nieważne.

- Zbyszek! Zastanów się chwilę! - przerwał Zawadka. - Pierwsza twoja niekonsekwencja, nie ostatnia zresztą. Wtłaczałeś we mnie prawdę o trzech uczestnikach napadu na konwój bankowy. Najpierw Wrzos miał być zabójcą młodego milicjanta. Nie wyszło ci. Teraz obciążasz tą zbrodnią Staronia Jeżeli było ich trzech, to ten denat, który przyjechał na swoją zgubę z Libanu, musiałby popełnić harakiri. Czy mam rozumieć, że kwestionujesz wynik sekcji?

- Przeciwnie! Mam do siebie pretensję, że zlekceważyłem zupełnie kogoś innego. Nie wiem - zwrócił się do szefa - co pozostało ci w pamięci z protokołu, który podpisałeś na „OZ” ? Było tam między innymi zeznanie starego strażnika, nazwiskiem Lipiński, który upierał się, że widział czterech napastników i wyliczył kolejno: mężczyznę udającego ofiarę, drugiego napastnika, pochylonego nad „rannym”, który zatrzymał konwój oraz dwóch wybiegających z lasu. Inni świadkowie nie potwierdzili tej relacji. I ja byłem skłonny sądzić, że staremu się przywidziało. Byłem wtedy bardzo młody i pewny siebie. A jeżeli Lipiński miał rację?

- Daj spokój! Na ilu denatów każesz nam czekać, żeby nie brnąć z omyłki w niedopatrzenie? - powiedział szef. Ale obecni w gabinecie szefa zdali sobie sprawę, że korespondujące ze sobą ślady linii papilarnych Staronia i zabójcy milicjanta nie pozwalają na odrzucenie propozycji Rogosza. Szczególnie że kapitan Kopeć ją z miejsca zaakceptował. Nie bez pewnej kalkulacji. Sytuacja dowodzenia ekipą, w której znajduje się starszy kolega, bywa kłopotliwa, codzienna współpraca trudna. A podpierając się teorią kryminalistyki wiedział, że z żadnej wersji rezygnować nie wolno!

- Znowu postawiłeś na swoim - powiedział Zawadka, żegnając się z Rogoszem. - Zawsze chciałeś być samotnym detektywem. Widziałem film pod tym tytułem „Samotny

detektyw McQ".

- Tyle że tamten walczył jednocześnie przeciwko sprawcy i skorumpowanej policji. U nas bywają wprawdzie różnice zdań, ale nie interesów, kiedy to wchodzi w grę miliony dolarów. Jeżeli jednak w ten sposób mnie oceniasz, dobra. Jestem samotnym inspektorem, który działa opierając się na społecznej służbie kryminalistyki i liczy na jej pomoc. Zgoda?

Zwrócił się nie tylko do szefa, ale i kolegów. Milczenie było równoznaczne z potwierdzeniem.

- Na to teraz już się o mnie nie martwicie - powiedział. - Nie sądzę, żebym za często bywał w komendzie. Pozwolicie, że przez jakiś czas nie będę podpisywał listy obecności. Proponuję kontakt przez Jankę, będzie mnie „trzymała na muszce”.

- Wyjeżdżasz? - zapytał major.

- Jeszcze nie, ale niebawem. Dotrę, gdzie trzeba - powiedział Rogosz i jakoś wszystkim zrobiło się lżej, bo nie tylko został zażegnany konflikt, ale zawarto dżentelmeński akt przymierza. Kopeć zaprosił do swojego pokoju pracowników Stołecznej, żeby rozdzielić zadania na dzień następny...

Rozdział 21

Co dalej? - pytał sam siebie Rogosz. Wprawdzie uzyskał status, zezwalający na samodzielne działanie, ale nie widział jak dotąd wyraźnych punktów zaczepienia do prowadzenia śledztwa. Na początek wypożyczył sobie z archiwum akta sprawy, zamkniętej na „OZ”. W gruncie rzeczy znalazł je na pamięć Skąpe zeznania, wątpliwe dowody rzeczowe: oznakowanie pistoletu, łuski, jeden ślad. Zadał sobie pytanie, w jaki sposób, na podstawie obecnego rozeznania, widzi rolę czterech napastników owej nocy.

Wrzos był tym napastnikiem, który stał na drodze, alarmując: - Człowiek umiera! Markowski, wciągnięty przez tę trójkę, ponieważ miał zawodowe prawo jazdy i słaby charakter,

zgodził się na prowadzenie samochodu, nie przewidując krwawego incydentu. Te rękawiczki, ostrożność, zawahanie się, czy poprowadzić wóz, kiedy krew się polała. To on. Zgadza się to z osobowością aptekarza, o której mówili świadkowie w Oleśnicy. Z lasu nadbiegł Staroń, agresywny, młody i należałoby sądzić - tchórzliwy. Dlatego właśnie strzelił na widok podnoszącego głowę milicjanta, a dwadzieścia lat później, kiedy szykowała się „dintojra”, wykombinował sobie podróż służbową, żeby znaleźć się poza granicami kraju. Wrócił sądząc, że albo się już dogadali - wtedy upomni się o swoje - albo też zbrodnia została dokonana, ale już za jego plecami. Zawadka nie pozwalał mu się wówczas wtrącać, ale wystarczyłoby przesłuchanie panienki z „Informacji”, żeby wkrótce po opuszczeniu przez Staronia lotniska wiedzieć, że przyjezdny z Libanu nie jest sprawcą. Nie mógł nim być, skoro czekał na przyjazd czy też telefon Wrzosa... Zapisał w brulionie: Jak on go zawiadomił o dacie przyjazdu? Czy nie przez Irenę?

No i był czwarty, nazwijmy go „zet”. Leżał na drodze, udawał rannego. To on właśnie krzyknął do nadbiegającego Staronia: - Nie strzelać! - Strażnicy konwoju zeznali, że sprawiał wrażenie dowódcy. Istniała podstawa do hipotezy, że planował dokonanie rabunku bez przelewu krwi.

A więc pierwsza korekta! Byli grupą koleżeńską, składającą się z czterech chłopców, ściślej młodych mężczyzn, którzy żyli jeszcze legendą o wyczynach partyzantki. To były czasy! Ich życie w pierwszych latach po wojnie było szare i biedne. Po kilku chudych, powojennych latach zdecydowali się odkuć. Zorganizować jeden, jedyny napad, ale taki, żeby stanąć na nogi, żeby móc pokazywać się w lokalach, które otwierały się w stolicy, kupić co najmniej motocykl. Stary pistolet, znaleziony w lesie, czy gwizdnięty ojcu, miał służyć może tylko jako straszak. Taki był pewnie plan przywódcy, owego „zet”. A jednak tylko on mógł być w 1975 roku sprawcą trzech zabójstw! Musiał mieć powód, bardzo ważny powód. Czterdziestodwuletni mężczyzna - tyle powinien mieć dzisiaj - który przez prawie ćwierć wieku nie popełnia żadnego przestępstwa, decyduje

się nagle na trzy kolejne zbrodnie, kiedy wystarczy jedna, żeby nie zobaczyć więcej świata bożego.

A może jest dziś rutynowanym przestępcą, znanym recydywistą? Opuścił właśnie więzienie, które zawdzięczał, na przykład... Wrzosowi? Odrzucił jednak tezę o zawodowym bandycie, kierując się raczej wewnętrznym przekonaniem, nazywanym intuicją niż rzeczowymi przesłankami. Był to może jego błąd, albo... zaleta? Wiedział, że musi sobie odpowiedzieć na pytanie, co mogło się stać po tak długim upływie czasu, że konflikt między bandą spowodował krwawą rozprawę? Bo przecież nie mogło być mowy, przy tego rodzaju łańcuchu, o zabójstwie pod wpływem afektu, z przypadku i tych wszystkich innych okoliczności, które łągodzą orzeczenia wyrokujących.

Trzeba było sięgnąć do zgromadzonego materiału. Jeszcze raz przesłuchać zeznania nagrane na taśmie, przeczytać protokoły zdanie po zdaniu, przemyśleć notatki, poczynione w biegu, w pociągu, w pokojach hotelowych, w czasie przypadkowych spotkań. Nigdzie lepiej nie pracowało się niż w domu. Stary, wytarty fotel, miękkie bambosze i zydelek, na którym można oprzeć nogi. Nastawił sobie radio. Ciche pobrzękiwania, niewyraźne odgłosy piosenek i dialogów nie przeszkadzały mu. Odwrotnie, pomagały w osiągnięciu stanu skupienia. Janka nie było w domu. Poszedł do kina z Olkiem i Basią. Ma dziewczyna dwa warkocze... jakoś się widać pogodzili.

Wyłożył na stół swój skromny dorobek: kasety, brulion z notatkami. Odtwarzał zeznania po kolei, jak szły. Trudno mu było pośród wielu zdań, nie mających żadnego znaczenia, wyłowić informację, którą uważał za najważniejszą w obecnej fazie swoich poszukiwań. Chodziło konkretnie o rozmowę z pracownikiem apteki, owym Adamem, którego dziewczyna podsłuchiwała kłótnię między Wrzosem a Markowskim. Żeby odtworzyć tych kilka zdań, musiał przegrać sobie cały tekst rozmowy. Pracownik apteki mówił o swojej pracy, stosunku do kierownika, trudnościach z pacjentami, a także o kłopotach, związanych z modą na coraz to nowe leki... W którym to było momencie? Tak! Siedział w kawiarni, kiedy przyszedł bez

zapowiedzenia się ów Adam. Powiedział, że wołałby rozmowę w pokoju. To było chyba w tym miejscu? Uruchomił dźwigienkę i usłyszał głos, z którym wróciło mu wspomnienie każdego szczegółu hotelowego pokoju i twarzy młodego mężczyzny, zatroskanego, czy jego dziewczyna nie będzie miała do czynienia z milicją. Adam mówił: „Chyba bliżej osiemnastej niż dwudziestej pierwszej. Bo ona jeszcze wstąpiła do rodziców... Spotykamy się zazwyczaj w »Switeziance«...”

Nie! To jeszcze nie to. Przesunął dźwigienkę do przodu. Teraz on pytał, a Adam odpowiadał:

„Jakiś obcy głos nalegał, że Markowski musi z nim pojechać, odebrać dług czy zapłatę... Kierownik mówił, że nigdzie się nie ruszy. Tamten naciskał, że muszą się trzymać razem, jak kiedyś. A Markowski krzyknął, że nie potwierdzi kłamstwa...”

Rogosz wyłączył aparaturę i nagle olśniła go myśl tak prosta, że nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wpadł na nią od razu, tam na miejscu

Wrzos mówił o odebraniu długu, nie wiedząc, że „zet” nigdy z zagrabionych pieniędzy nie korzystał. Na dobre był ich właścicielem dopóty, dopóki ich nie zakopał... Dlaczego z miejsca nie ruszyli, nie wzięli nawet części pieniędzy, choć ich zapewne nie mieli w nadmiarze? Musieli się bać. Z jakiego powodu? Należałoby sądzić, że przebieg napadu zaskoczył ich samych, spowodował, że postanowili zachować przez pewien czas ostrożność. Wrzos, Markowski, Staroń czuli się oszukani, a więc zakopał je „zet”. On decydował. Był ostrożny, znaczy inteligentny. Zamierzał przeczekać pewien czas. Wiedział, że otoczenie, rodzina, a nawet obcy zauważyliby zmianę trybu życia, posiadanie środków, których nie można zarobkiem uzasadnić. Prymitywni włamywacze czy pospolici złodzieje wpadają najczęściej z powodu braku cierpliwości, którą przecież dyktuje rozum. Ukradnie, sprzeda. Wyda go paser albo zwróci na siebie uwagę kolacją w droгим lokalu, za którą zapłaci kilka tysięcy złotych, a spadku nie otrzymał.

Dlaczego „zet” nie zakopał pieniędzy w obecności współników? Pewnie obawiał się, że mogą naruszyć okres kwarantanny. Tak jak Staroń przekroczył ustalone z góry

dyspozycje, strzelając do milicjanta, który sam nie wyciągnął broni. Po napadzie wozili zapewne pieniądze skradzionym samochodem. Mógł im wówczas powiedzieć: - Zostawcie mnie tutaj! Zwiewajcie! - Pojechał kilka czy kilkanaście kilometrów dalej i zakopał worki w lesie graniczącym ze wsią. Właśnie z tej wsi wyszły dzieci, uważane za zaginione.

Być może umówili się, że po jakimś czasie, miesiącu, dwóch, spotkają się i dokonają podziału. „Zet” przed tym terminem wrócił na znane sobie (tylko sobie!) miejsce, do iglastego lasu, szukając znaczonej sosny. Znalazł ją po znaku, ale od razu przeczuł katastrofę. Dół był zryty jak po dzikach, szukających zimną pożywienia...

Przypomina sobie jak dziś. Wezwano go telefonicznie z Komendy Powiatowej w Nowym Dworze. Dziś już nie ma takiej. Włączona jest do województwa warszawskiego. Miał natychmiast jechać w stronę zegrzyńskiego lasu. Na miejscu będzie czekał funkcjonariusz na motocyklu. Poprowadzi ich ekipę... Wsiadli do warszawy i chwalili sobie jej wysokie podwozie, bo inaczej nie daliby rady przedrzeć się leśną drogą do miejsca, na które kierował ich motocyklista w mundurze. Musieli się śpieszyć, zbliżał się zmrok. Worki uwolnili z wilgotnych płacht, odrzucili ceratę - dziś użyto by nylonu - którymi zostały zabezpieczone i załadowali je do wozu, a teren pozostawili nie uporządkowany, przewidując nie bez satysfakcji, jakie to zrobi wrażenie na ludziach, którzy przyjdą tu w swoim czasie po łup.

Obraz wydarzeń polaryzował się w jego wyobraźni. Na miejsce wrócili nie ludzie, a tylko „zet”, ponieważ za kilka dni upływał termin, w którym mieli dokonać podziału. Kiedy zobaczył rozkopany dół, zrozumiał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Katastrofa! Nikt nie uwierzy w bajeczkę o wykopanych pieniądzach. Nigdy nie może spotkać się ze swoimi współnikami. Musi zniknąć, ukryć się!

Wrzos w rozmowie z Markowskim mówił o odebraniu długu. Z jakiego powodu waluciarz miałby mobilizować współników do działania? Tylko w tym przypadku, kiedy w jego przekonaniu „zet” posiada ich wspólne, zapłacone krwią,

wprawdzie cudzą-pieniądze. Musiał przewidzieć, że po dwudziestu dwóch latach „zet” nie będzie ich przechowywał w „żywej gotówce”. Ale zużytkował je na przykład na kupno willi, dolarów, mebli czy na kobiety. Nabył dobra ziemskie, które umożliwiają „pełnię życia”, jaka była im niedostępna. Jeżeli Wrzos tak rozumował, to znaczy, że „zet” nigdy mu o znalezieniu przez milicję pieniędzy nie mówił. A więc nie widzieli się ze swoim przywódcą od przeszło dwudziestu lat. Niewykluczone, że w tym czasie trójka pozostałych kolegów pozostawała w kontakcie. O kontaktach Staronia i Wrzosa zeznawała Solarzówna. Może handlowali wspólnie... Niech się o te powiązania martwi Kopeć. Może „wyjdą” na jakiś przemyt, nadużycia gospodarcze? Wszystkiego najlepszego! Był zadowolony, że może pracować sam, bez popędzania, sprawozdań, odpraw. Jeszcze raz nastawił fragment rozmowy z Adamem. Wciąż krążył wokół spotkania na zapleczu apteki. To właśnie w tym miejscu: „A Markowski krzyknął, że nie potwierdzi kłamstwa!”

Jakiego kłamstwa? Chwilę zastanawiał się, nie znalazł odpowiedzi i zdanie to podkreślił, stawiając przy nim znak zapytania. Skreślił natomiast z uczuciem satysfakcji pytajnik w notatce, którą sporządził po powrocie z Oleśnicy. Brzmiała następująco: „Między wspólnikami zaistniał konflikt, którego przyczyny nie znam”.

Teraz znał! Wyłoniło się jednak następne pytanie, bez którego nie ruszy sprawy z miejsca: dlaczego wybuch nastąpił po dwudziestu dwu latach po odkryciu fiaska i przybrał tak groźne formy?

Odpowiedzi na stawiane sobie samemu pytania stawały się coraz jaśniejsze. Tak się dzieje w krzyżówce, kiedy wiele słów poziomych i pionowych zostało wpisanych i wystarczy niewielki wysiłek, żeby dopowiedzieć resztę. Żyli sobie być może spokojnie, każdy na swoją miarę. Byli przekonani, że ich przywódca napotkał na nieprzewidziane przeszkody, może groźny pościg. Niewykluczone, że zdołał uciec za granicę, pozostawiając worki z pieniędzmi w kraju... Przecież nie zabrał ich ze sobą. Może w ten sposób

uratował sobie i współnikom życie. Jest wytłumaczony. W tym przekonaniu tkwili przez te wszystkie lata. Przyzwyczaili się do myśli o stracie i trochę się sami zmienili, stali się, jak to powiadają, innymi ludźmi. I nagle w 1975 roku wybucha bomba! Wszyscy trzej dowiadują się, że „zet” żyje, istnieje, może nieźle prosperuje. Wiadomość ta musiała dotrzeć w tym samym czasie i spowodowała rozmaite reakcje. Wrzos - taka była jego natura - zdecydował się działać i nie darować swojej krzywdy. Markowski, dobrze urządzony, wolałby zapomnieć. I w tym miejscu nasunął się Rogoszowi szereg wątpliwości: - Dlaczego aptekarz groził pójściem na milicję? Czemu „zet” zaatakował jako pierwszego właśnie Markowskiego, który nie chciał mieszać się w awanturę? Odpowiedziałby sobie może na to pytanie, gdyby rozszyfrował słowa aptekarza: „Nie! Nie potwierdzę kłamstwa!”

Problem ostatni pozostał otwarty. Trzeba było przystąpić do decydującej operacji: mając w ręku trzy wiadome znaleźć czwartą. Kim jest „zet”? Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

Wychodząc z założenia, że źródła wiadomości mogą, choć nie muszą, sięgać przeszłości, przewertował jeszcze raz życiorysy Markowskiego i Wrzosa. Nie miał już teraz żadnych wątpliwości, że należy odwiedzić kuzynkę aptekarza...

Rozdział 22

Mieszkała przy ulicy Nabelaka, tuż przy Puławskiej. Nazywała się Laura Poznańska. Kamienica była dwupiętrowa, mieszkanie łatwe do odszukania. Drzwi otworzyła młoda dziewczyna w fartuchu. Widywał takie pokojówki w filmach zagranicznych z życia milionerów. O nic nie pytając pokojówka pokazała mu drzwi i kazała usiąść.

Znalazł się w poczekalni dentystycznej. Wnętrze było mało eleganckie, standardowe. Zagraniczne tygodniki ilustrowane (z ubiegłego roku), pisma fachowe w obcych językach, foteliki dla pacjentów, a na ścianach reklama lśniących białą zębów i porady, jakich trzeba używać środków, żeby posiadać takie

właśnie zęby.

Pani Laura zjawiała się po chwili i zaprosiła Rogosza do gabinetu. Mieścił się w jadalni oddzielonej parawanem. Gdy więc z prawej strony, na stole, pozostały jeszcze resztki obfitego śniadania... (czego tam nie było: twarożek, sery, płatki różowej szynki), z lewej panoszył się nowoczesny fotel, szafka lekarska z wystawą sztucznych szczęk. Pani Poznańska zajmowała się także techniką, w łazience urządziła sobie protezownię. Zatrudniała technika narodowości japońskiej. Warunki pracy były może podłe, protezy za to najwyższej jakości i odpowiednio drogie.

Pani doktor zaprosiła Rogosza na fotel. Zaproponował jednak rozmowę przy stole, z drugiej strony parawanu i pokazał swoją legitymację. Była z początku zaniepokojona, ponieważ dentyści, zwani dziś stomatologami, mają pewne kłopoty, związane ze złotem używanym w protetyce. Źródła zakupu złota nie są zawsze natury legalnej i już sądziła, że uczepili się finezyjnych koronek, z których znany był gabinet przy ulicy Nabelaka. Kiedy okazało się, że pan kapitan żadnych zastrzeżeń tego typu nie zgłasza, być może nawet sam z nich skorzysta - uspokoiła się i zapytała, w czym mogłaby pomóc. Była niesłychanie zdziwiona, kiedy Rogosz zapytał ją o związki z Bronisławem Markowskim. Owszem, słyszała o tej tragedii, bodaj przeczytała w „Expressie”, ale żadne stosunki towarzyskie i rodzinne ją z Markowskimi nie łączą. Głównie z powodu Barbary, która izolowała zmarłego od własnej rodziny, preferując swoją. Przynajmniej dwadzieścia lat nie widziała Bronka.

Powiedział, że chodzi właśnie o okres lat pięćdziesiątych, kiedy kuzyn u niej mieszkał. Nikt do niej nie wnosi pretensji. Dla porządku muszą odtworzyć życiorys denata, także okres wczesnej młodości. Czy mieszkał u niej sam? Może z kolegą?

Naturalnie, że sam. Był to gest rodzinnej pomocy. Nie brała nawet od jego świętej pamięci ojca pieniędzy.

- Jaki był ten Bronek?

- Bardzo spokojny, schludny. Miał właściwie jedną wadę.

Milczenie kapitana rozumiała jako zachętę do konty-

nuowania relacji i była z tego powodu wielce rada, bo każda samotna kobieta lubi sobie pogadać z „kawałkiem” chłopca, jakim był kapitan w przeciwieństwie do tego skośnookiego łamagi, na którego towarzystwo była zdana... A więc ten Broniek nie robił wstydu rodzinie, tylko miał słaby charakter. Można go było ciągnąć w każdą stronę, nie opierał się. Ojciec posyłał mu trochę grosza. Wystarczyło - żeby ktoś z jego paczki (A więc koleżeńska grupa - pomyślał Rogosz. - Zawsze tak twierdziłem!) potrzebował pieniędzy, oddawał swoje i jeszcze od niej pożyczał. Był w końcu tak zadłużony, że wolał wracać późno w nocy, kiedy spała. Skończyło się na tym, że go wyrzuciła z mieszkania i proszę sobie wyobrazić, nagle po dziesięciu latach odesłał jej wszystko co do grosza. Rzecz jasna, że te pieniądze straciły na wartości.

- Pan kapitan pamięta, ile kosztowało wtedy kilo szynki?

Zapytał, czy znała jego kolegów z paczki.

Doskonale! I opisała trzech chłopców, ich sposób wyrażania się, maniery. Grupa składała się z czterech, właściwie już nie chłopców, ale młodych mężczyzn. Tylko jeden był studentem, chyba ekonomii. Wie, że jeden z nich pochodził ze wsi. Skąd wie? Przynosił czasem świeże jaja, kurę. Poczował się do obowiązku, bo ich także gościła. Ale prawdę mówiąc cała czwórka biedowała. Za to fasony, ambicje na wyrost. Znali każdą markę zachodniego samochodu, rozmawiali o dalekich podróżach. Największy głos miał tenże wsi. Przyjaźnił się też bliżej z Bronkiem niż z innymi.

Czy nie spotkała nigdy więcej tych mężczyzn? Może na ulicy, w kinie? Może na ekranie telewizji? Teraz to chyba połowa mieszkańców Polski przewija się przez mały ekran. Czy ogląda regularnie audycje TV?

Powiedziała, że dziennik i magazyn to codziennie, żeby nie wiadomo jaka wizyta. Zresztą nie opuszcza często domu. Kapitan się chyba domyśla, jak szare jest życie samotnej kobiety, która przecież nie jest stara, dobrze zarabia, umie i lubi prowadzić gospodarstwo.

Znowu mam powodzenie - zezłościł się Rogosz, ale nie ustępował, trzymając się wciąż jednego i tego samego tematu.

Imiona tych chłopców. Choćby niektóre?

Niestety! O jednym, tym właśnie koledze, który pochodził ze wsi, wie, że mu na imię Waldek. Jego rodzina mieszkała w Orzechowie. Pamięta, bo kiedyś do niej przyjechała matka tego chłopca. Pytała o adres Markowskiego. Skarżyła się, że nie ma wiadomości od syna. Gdyby wiedziała, że nazwisko tej rodziny przyda się kapitanowi... Przykro jej bardzo... Ale może napiłby się kawy? Brazylijska. Ma pacjenta z ambasady. Był bardzo zadowolony z protezy. Odwiedzał ją później...

Ponieważ rozmowa przybierała charakter towarzyski, a z użębieniem Rogosz nie miał wyjątkowo kłopotów, wstał i pożegnał panią stomatolog, zapewniając, że jej informacje są bardzo ważne, co zgadzało się nadto z prawdą. „Zet”, papierowy manekin bez twarzy i nazwiska, miał już imię i miejsce pochodzenia. To dużo dla Rogosza, który szedł uparcie i długi czas ciemnym tunelem. Ale jeszcze mało, prawie nic, do wystąpienia o wznowienie zamkniętej sprawy „Konwoju”. A jednak był przekonany, że tym razem dobije do mety!

Kiedy odtwarzał sobie w domu rozmowę z kuzynką Markowskiego, zajrzał do pokoju Janek. Rzucił okiem na rozrzucone papiery, kasety, otwarty brulion.

- Zwolnili cię z pracy? - zapytał. O tej porze ojciec zwykle siedział w komendzie.

- Prawie - mrugnął do Janka. - Musisz się przyzwyczać do ojca emeryta.

- W twoim zawodzie szybko się idzie na rentę. Ojciec Olka na łyżwach zasuwa, modnych tańców się uczy, żeby nie wypaść „z kursu”... Wszystko przez tę starą sprawę. Myślisz, że nie wiem. Czy ty naprawdę wierzysz, że znajdziesz klucz do tej zagadki?

A jednak był przekonany, że postępowałby podobnie jak ojciec. Rogosz zdecydował się na szczerą rozmowę z dorosłym już synem. Powiedział mu, że obecnie rozstrzygają się jego sprawy zawodowe, które oznaczają dla niego tyle samo, co osobiste. Niestety! Może to i źle, ale nie potrafił ułożyć sobie życia. Nie gra w karty, za wódką nie przepada. Wstyd się

przyznać, ale nie lubił tańczyć, nawet jak był młody. Niewiele miała z niego pociechy matka Janka. Nie ma o czym mówić. Teraz czekają go tygodnie ciężkiej pracy. Niech się nie dziwi, jeżeli będzie częściej w drodze niż w domu. Jest jednak coraz bardziej pewny, że wpadł na właściwy trop. Co zaś dotyczy gospodarstwa, zostawił mu w umówionym miejscu pięćsetkę. Czy notuje wydatki?

Następnego dnia zatelefonował do Janki, że pracuje w domu i w dalszym ciągu przegrywał z magnetofonu dotychczasowe rozmowy. Zaczął od Oleśnicy. Pobyt u Markowskich. Wypowiedź żony, dzieci. Zadawał im pytanie, co robili wieczorami, kiedy się spotykali w rodzinnym gronie. Zeznawał Zbyszek, syn nieżyjącego:

„Właściwie o niczym specjalnym nie dyskutowaliśmy. Chyba że taki szczegół tej niedzieli, o którą pyta kapitan. Siedzieliśmy jak zwykle razem. Gości nie było, ani nikogo z dalszej rodziny. Odbiór był zły i trzeba było co chwila kręcić gałką, żeby poprawić wizję. W pewnej chwili ojciec zdjął okulary, co jest... było u tatusia oznaką zdenerwowania. - Powiedział coś? ...-Gdybym poszedł do Zosi, spałbym spokojnie...”

Zatrzymał dźwigenkę i zaczął się zastanawiać. Na jaki obraz zareagował tak gwałtownie Markowski? Niewykluczone, że zdenerwował go ten sam reportaż z Libanu, na który zwróciła uwagę Solarzówna. Może zaskoczyła go nazwa centrali, w której pracował Staroń? Mógł mieć z nim jakiś zatarg, o którym chciał zapomnieć. Nie wiadomo czy Wrzos namawiając aptekarza do rozrachunku z „zetem”, nie powoływał się na kumpla z byłej grupy koleżeńskiej. Nie! To ostatnie przypuszczenie jest fałszywe. Rozmowa Wrzosa z aptekarzem miała miejsce w dniu morderstwa, to znaczy 12 listopada. A jego pytanie dotyczyło audycji telewizyjnej sprzed trzech dni. Spróbuje jeszcze raz spytać Zbyszka. Nic prostszego niż zadzwonić do Oleśnicy.

Słuchawkę podniosła Barbara Markowska. Jej syn? W jakim celu? Chyba już nic gorszego stać się nie mogło... Trudno. Zaraz go poprosi... Rogosz usłyszał, jak kobieta wołała, chyba w kierunku piętka, na którym znajdował się pokój chłopca. Za chwilę odezwał się on sam: - Jestem przy telefonie!

Poprosił, żeby się zastanowił nad odpowiedzią, nie-słychanie ważną dla ujawnienia zabójcy jego ojca. Czy przypomina sobie, że w rozmowie z nim napomynał o zdenerwowaniu ojca, mowa była o niedzieli 9 listopada, z powodu audycji telewizyjnej?

Zbyszek nie przypominał sobie, żeby o tym mówił, ale coś takiego faktycznie miało miejsce. Rogosz odczytał mu powoli jego wypowiedź: „w pewnej chwili ojciec zdjął okulary, co jest... było u tatusia oznaką zdenerwowania. - Powiedział coś? ... - Gdybym poszedł do Zosi spałbym spokojnie...”

A teraz prosi chłopca, żeby się skupił, nim mu odpowie na następujące pytanie: czy słowa, które przed chwilą zostały mu powtórzone, były wypowiedziane w czasie wyświetlania magazynu dziennika telewizyjnego? Czy przypadkowo nie w tym momencie, kiedy nadawano reportaż z budowy obiektu przemysłowego w Libanie? Był tam wywiad z inżynierem, kilku tubylców i kobieta w turbanie, która roznosiła jakieś napoje. A na jednej z maszyn widniał wielki napis „Chemarox”... Niech nie odpowiada od razu. Zadzwoń po raz drugi za kwadrans, powiedzmy za pół godziny. Może w tym czasie zdoła sobie przypomnieć?

Zbyszek powiedział pośpiesznie w sposób zdecydowany, że następny telefon jest całkowicie zbędny. Przecież ojciec ani dziennika, ani magazynu tego wieczoru nie oglądał. Kapitan pytał wtedy, jak i teraz o niedzielę, poprzedzającą ten straszny dzień. W tę niedzielę, jak i w każdą inną, ojciec grał partyjkę kanasty, tym razem u kierownika szkoły. Pamiętam nawet, jak tato wszedł do jadalni, a oni siedzieli we trójkę przed telewizorem i powiedział: - Szkoda, że nie zdążyłem na dziennik, ale byłem wygrany i musiałem zgodzić się na rewanż. - Później dopiero wszedł do kuchni. Bo u nich jest taki zwyczaj, że obiad jada się wspólnie, przy stole, ale za to kolację w biegu. Każdy bierze sobie, co chce z lodówki. Słyszał, jak ojciec zatrzasnął drzwiczki od lodówki, później postawił czajnik z wodą na kuchenkę i zjawił się z herbatą w jadalni. Usiadł i oglądał telewizję. I później dopiero, po jakimś czasie się zdenerwował...

Rogosz słuchał uważnie chłopca, a na koniec powiedział, że musi jeszcze porozmawiać z matką. Podniosła słuchawkę coraz bardziej zaniepokojona. Bardzo ją przeprosił. Niestety! Taki jest charakter jego pracy, że sprawia ludziom kłopoty. Wolalby czasem być w skórze listonosza, który roznosi świąteczne paczki. Dla dobra śledztwa Zbyszek będzie musiał przyjechać do Warszawy. Powiedzmy jutro, pojutrze. Otrzyma zwolnienie i naturalnie zwrot kosztów podróży. O co chodzi? Nic wielkiego. Nie! Nie ma w tym żadnych tajemnic. Trzeba, żeby przejrzał i przesłuchał audycje telewizyjne, nadawane niedzielnego wieczoru 9 listopada. ...Naturalnie. Nawet lepiej, jak przyjadą razem. Co dwie głowy, to nie jedna. Byli tego wieczoru razem. A więc czeka o godzinie dziewiątej rano przed wejściem do gmachu telewizji, ulica Woronicza. Niech wezmą taksówkę, za pokwitowaniem. Wszystkie koszty zostaną im zwrócone...

Odłożył słuchawkę i zastanowił się, czy nie ściągnąć do Warszawy Jędralowej. Znalazł zeznania góralki. Z przyjemnością przypomniał sobie przystojną kobietę, która budziła zarówno sympatię, jak i zaufanie. Przyśpieszył tok jej relacji, zatrzymując się w miejscu, które rozpoczynało się od słów:

„Nie! Takiej pamięci nie mam... Jakoś zawsze tak się dzieje, że w nocy spać mi trudno, a jak tylko siądę przed telewizorem, zasypiam...”

Nie! Nie było po co fatygować Jędralowej. W dodatku Kopeć siedzi teraz być może w Nowym Targu. Nie chce zadrażniać stosunków. Wystarczą Markowscy. Zrobiło mu się przykro, bo idąc cały czas „za ciosem” musiał wyrządzać ludziom niejedną przykrość, a w tym przypadku - krzywdę. Czy nie lepiej byłoby pozostawić rodzinie wspomnienia o świetlanej postaci ojca? Jeżeli jego przewidywania sprawdzą się, ujawniony zostanie udział Markowskiego w napadzie rabunkowym. Niskie pobudki itd. Oleśnica zaroi się od plotek. Trudno! I zatelefonował do Janki, żeby uprzedziła biuro emisji TV. Będą pojutrze rano. Chodzi o powtórne przegranie programu z dnia 9 listopada, ale już bez dziennika. Zawsze to trochę krócej. Rozumiemy się?

Miał przed sobą dzień oczekiwania na Markowskich i

wstąpił do swojego pokoju w komendzie. Od czasu, kiedy Kopeć objął kierownictwo ekipy, był jak do rany przyłóż. Łatwo jest uszczęśliwić człowieka chorego na przerost ambicji.

Kopeć prowadził działalność operacyjno-śledczą przy zastosowaniu nowoczesnych metod kryminalistyki. A może przygotowywał sobie po cichu temat pracy doktorskiej? Chętnie zaofiarowałby mu wstęp „historyczny”.

- Co się u was dzieje? - zapytał raczej z grzeczności niż z zainteresowania, ponieważ tkwił myślą i pamięcią w zupełnie innej epoce.

Okazało się, że żona Staronia znajduje się w drodze z Ciechocinka do Warszawy. Była już na miejscu przesłuchiwana. Zeznała, że mąż wspomniał o jakiejś denerwującej rozmowie ze starym znajomym. Nie znała go. Miała nie najbliższe kontakty z rodzonym małżonkiem. Nie dbał o nią, nie bywał z żoną. Trzymała się go jednak. Dzięki wyjazdom zagranicznym można było utrzymać dom na wysokim poziomie.

Rogosz zapytał, co dzieje się w Nowym Targu.

Kopeć wybierał się właśnie do Komendy Powiatowej. Chce przesłuchać kilka osób z otoczenia waluciarza. Rogosz wywróżył mu spotkanie z wyjątkowo przystojną kobietą. Prosi, żeby kolega ją zapytał, czy nie otrzymała depeszy w dniach między 25 a 28 listopada. Jak odpowie, wytłumaczy mu, o co chodzi. Przy sposobności zapytał, czy nie mógłby przywieźć mu niewielkiej paczuszki, którą przekaże major Jaroszek. Spostrzegł zaniepokojenie kolegi, który lubił wiedzieć o wszystkim, i wyjaśnił, że w paczce będzie piżama, szczotka do zębów oraz zapasowy aparat do golenia. A Jaroszkowi niech powie, że ryby w tym roku będą łowili w przeręblu.

Kopeć uważnie przyjrzał się koledze. Co ten Rogosz mówiąc o rybach z przerębła miał właściwie na myśli?...

Rozdział 23

W piątek rano Rogosz podjechał na Woronicza i zaraz w

holu spotkał się z Markowskimi. Przyjechali nocnym pociągiem i zdążyli wpaść do kuzynki, której nie widzieli od lat. Owa krewna - pani Laura Poznańska z ulicy Nabelaka - ani słowem nie wspomniała im o rozmowie z funkcjonariuszem służby kryminalnej. Wcale rozsądna kobieta - pomyślał. - Żeby nie była taka gadatliwa, może bym nawet... uzupełnił dwa ubytki w trzonowych zębach? - Nie lubił tego typu kobiet. A za jakimi właściwie przepadał?

Markowscy pozostawili u kuzynki podręczną walizkę. Jeżeli niezbyt długo będą tu zajęci, pani Barbara przyrzekła Zbyszkowi pokazać Dworzec Centralny. Otworzyli tam podobno piękne sklepy. Warto zajrzeć!

Rogosz pomyślał, że rodzina Markowskich przeboleła jakoś swój dramat. Matka i syn byli wręcz radośnie podnieceni spotkaniem ze stolicą. Takie jest życie i tacy są ludzie. Może to i dobre, zarówno dla ludzi, jak i życia.

Pani Halinka z biura emisji nie okazała zniecierpliwienia ponowną wizytą kapitana. Była bardzo zaintrygowana rolą telewizji w poszukiwaniu sprawcy z pewnością poważnego przestępstwa i zapytała, czy mogliby ewentualnie po zakończeniu śledztwa wykorzystać temat na „Kobrze”.

Rogosz nic nie miał przeciwko temu. Porozmawiają, jak przyjdzie czas. Chciałby już być na takim etapie sprawy, w której nie zaszkodzi jej zbytnia reklama. Chwilę porozmawiali o tym, jak niełatwo jest znaleźć wspólny język ludziom, którzy odpowiadają za wykrycie sprawców przestępstw, z dziennikarzami, którzy traktują zagadkę kryminalną jako „temat”. Po czym siedli z Markowską i jej synem przed roboczym aparatem. Kapitan poprosił o powtórzenie programu nadawanego już po dzienniku i magazynie.

Szedł program publicystyczny. Później Sopot 75.

I dalszy ciąg „Banku Miast”, który rozpoczął się po południu. Prowadził audycję jak zwykle Eugeniusz Pach. Towarzyszyli mu dwaj obrońcy, z których każdy występował w imieniu podopiecznego miasteczka oraz prokurator, szukający w sposób mniej, czy czasem bardziej sztuczny, argumentów na nie. Sąd nad miastem! Dla

warszawiaka niewielka to może sensacja, ale w małym mieście wejście na wizję stanowi wydarzenie, o którym mówi się przez długie miesiące.

Dwa miasteczka toczyły pojedynek: Ustronie Śląskie i Brzozów koło Rzeszowa Rywalizacja zmierzała o tej późnej godzinie ku końcowi. Trwała dyskusja, w której każdy, z najlepiej pojętej ambicji, bronił własnego miasta, żeby uzyskać w konkurencji największą ilość punktów.

Przed oczyma widzów migały na zmianę fragmenty Ustronia i Brzozowa. Trzeba było skoncentrować uwagę, żeby nie pomylić wszystkich szczegółów, które stanowiły kryteria oceny.

Na wizji pokazał się Brzozów. Śliczny rynecek błysnął świątecznym wystrojem kolorowej dekoracji. Na pytania prokuratora odpowiadał naczelnik miasta, zwracając się o szczegółowe informacje do grupy mężczyzn ze Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego. Było ich pięciu i starali się świecić twarzą jak najczęściej i jak najbliżej kamery, żeby im sąsiedzi pozazdrościli, a ich dzieci mogły się pochwalić w szkole: zyg, zyg! Mój tato występował w telewizji...

Jeden z mężczyzn, należący do grupy notabli, zachowywał się jednak skromnie. Stał tyłem do kamery i widać było tylko jego kapelusz oraz jesionkę z futrzanym kołnierzem podniesionym do góry. Listopad bywa w Polsce dokuczliwy. Pozostali mężczyźni zwracali się do niego, kiedy trzeba było informacjami wspomóc naczelnika.

Audycja nabierała tempa. W pewnym momencie redaktor, pełniący rolę prokuratora, zajrzał do notatek, które przygotowali mu koledzy „od dokumentacji” i nadrabiając tonem zaatakował wprost: - Panie dyrektorze! Dlaczego, kiedy zabytkowe domki w ryneczku czekają na remont, pan, w swoim zjednoczeniu, zmarnował 15 tysięcy worków cementu i sto metrów sześciennych desek?

Mężczyzna w jesionce odwrócił się gwałtownie, ukazując wzburzoną twarz i powiedział: - Nieprawda! Co za bzdura. Kto to mógł... - Przerwał w pół zdania i nachylił się do naczelnika, podpowiadając mu argumenty czy cyfry. Potem

przesunął się bokiem między jurorami i zniknął z wizji. Naczelnik wyreczył zdenerwowanego dyrektora zjednoczenia i wytłumaczył, że informacje „prokuratora” oparte są na błędnych obliczeniach, nie chciał powiedzieć wprost o braku odpowiedzialności, ponieważ każdy o tym wie, że z dziennikarzami zadzierać nie warto, zawsze będą mieli ostatnie słowo na wizji czy w prasie. Z materiałami budowlanymi było zaś tak, że z jego decyzji część materiału poszła na budowę zbiorczej szkoły, którą zresztą pochwali się dziś jako swoim największym w konkurencji atutem. Prokurator-dziennikarz nie nastawał. Na wizji pokazano budynek szkolny, nowiutki jak spod igły. Chyba ten Brzozów zakosi nagrodę, pomyślał Rogosz, bo prawdę mówiąc nie bawił go ten konkurs, traktujący dorosłych ludzi jak dzieci w przedszkolu.

Redaktor Pach zapowiedział ostatnią rundę współzawodnictwa na godzinę 23.10. W przerywniku Irena Santor śpiewała patetycznym głosem znaną piosenkę o Warszawie. Jako materiał ilustracyjny zjawiały się na wizji stare uliczki, zapomniane zakątki i nowe osiedla, trasy.

Zbyszek powiedział szeptem do Rogosza: - Może to było właśnie w tym miejscu? Santorka go zdenerwowała tym swoim śpiewem albo wzruszyły go wspomnienia ulicy, na której mieszkał.

Nie wykluczał jednak, że mogło to być kilka minut wcześniej. Tyle że ani w Brzozowie, ani w Ustroniu nigdy nie bywali.

Kapitan zapytał chłopca, czy nie powtórzyć programu. Może wtedy sobie przypomni?

Chłopak powiedział, że pamięć mu jeszcze dopisuje, w przeciwieństwie do jego profesora, który mu postawił piątkę za przedmiot, z którego jeszcze nie zdawał. Świetnie się złożyło, bo nie ma pojęcia o fizyce. Jest pewien, że gdzieś na pograniczu tych dwóch audycji ojciec się wściekł, co mu się nader rzadko zdarzało. Pani Barbara zwróciła uwagę synowi, że słowo „wściekł” jest niestosowne, kiedy mówi się o nieżyjącym. Podziękował obojgu i dał do podpisania delegacje. Uprzedził ich, że będzie w najbliższym czasie nieuchwytny. Na wszelki

wypadek podał telefon Janki. Pozostał jeszcze w zacisznej salce telewizyjnej i poprosił panią Halinę, która czuła się już prawie członkiem ekipy operacyjnej, o powtórzenie fragmentu „Banku Miast” od miejsca, w którym oskarżyciel - zapomniał nazwiska tego redaktora - Stanisław Auguścik... Zgadza się. A więc od tego miejsca, kiedy prokurator atakuje dyrektora Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego Brzozowa.

Jeszcze raz wysłuchał ostrej wymiany zdań na temat materiałów budowlanych, przerwanej interwencją naczelnika, zachwyił się Brzozowem, a później uważnie notował ulice, które kolejno ukazywały się na ekranie, w czasie kiedy Irena Santor zachwalała uroki Warszawy. W przerwie zapalili sobie papierosa i Rogosz zapytał sympatyczną redaktorkę, czy mogłaby powtórzyć interesujące go fragmenty w maksymalnie zwolnionym tempie.

Operator znowu wygasił światła. Na małym ekranie ukazało się podium, na którym zasiadał redaktor Auguścik. Przybrał surowy wyraz twarzy, zwracając się do mężczyzny, który w grupie pracowników zjednoczenia stał tyłem do kamery. Teraz ów mężczyzna odwracał się w zwolnionym tempie, bardzo powoli, i Rogosz zobaczył sympatyczną, szczupłą twarz i mocno zarysowane brwi. Można było dostrzec nawet skurcz twarzy, spowodowany przerażeniem, kiedy kamera zaświeciła mu w oczy. Gwałtowne odwrócenie twarzy od telewidzów świadczyło o skromności albo strachu. Przechodził między jurorami i dopiero teraz, przy zwolnionym tempie, Rogosz dostrzegł kobietę o wyjątkowo miłej twarzy, ciepłym uśmiechu, która ujęła mężczyznę pod ramię, po czym zniknęła z wizji.

Kapitan obejrzał program do końca, wysłuchał piosenki o Warszawie i podziękował pani Halinie. Była mu bardzo pomocna. Nie trzeba chyba przypominać ani jej, ani operatorowi o obowiązku zachowania tajemnicy służbowej. Chodzi o pospolite przestępstwo. Śledztwo trwa!

Pani Halina zapewniła, że będą dyskretni, chociaż co to za tajemnice, o których wiedzą miliony telewidzów, oglądając ten sam program. Pożegnali się przyjaźnie.

W następnych dniach Rogosz uruchomił kontakty służbowe oraz osobiste, ażeby zdobyć maksimum informacji o Waldemarze z Orzechowa czy też z okolic. Miał pewne podejrzenia, związane z owym „Bankiem Miast”, -ale daleki był od wszelkiej pewności. Nie zamierzał prosić o pomoc Kopcia, który uznałby jego plan za jedno z urojeń obsesjonisty. Będzie czas na rozmowy przy wspólnym stole, kiedy uzyska pewność, co więcej dowody rzeczowe, potwierdzające jego „urojenia”.

Zaczął od wyjazdu do Orzechowa. Pani Laura, stomatolog, mówiła o Waldemarze, pochodzącym z tej wsi czy też z okolic. Autobus w kierunku Zegrza zatrzymał się na przystanku o poszukiwanej nazwie. Rogosz wszedł do pierwszej chałupy graniczącej z szosą. Zapytał „na wariata” o rodzinę, której syn, imieniem Waldemar, zaginął przeszło dwadzieścia lat temu. Stara kobieta, najwidoczniej babka - po izbie kręciło się kilkoro nieletnich dzieci - zapytała, czy Waldek się znalazł. Zawsze tej Pelagii mówili, że przyjedzie albo przyśle pieniądze z Ameryki.

Matka „Waldka” nazywała się Pelagia Targowska, gospodarowała na czterech hektarach. Mąż jej umarł kilka lat temu na cukrzycę. Pozostała sama z córką, która wydała się za mąż za gospodarskiego syna z pobliskiej Jachranki. Kobieta ucieszyła się na widok funkcjonariusza milicji, ponieważ ma zamiar oddać swój kawałek ziemi na rentę i nie może sobie sama poradzić. Rogosz poinformował ją, do kogo i z jakimi dokumentami ma się zwrócić i zapytał, czy Waldek, jej syn, nie obejmie kiedyś gospodarstwa.

Posmutniała i powiedziała, że nie mają od niego żadnej wiadomości. A tak jej się dobrze ten syn jedyny zapowiadał. Jeszcze w latach pięćdziesiątych, kiedy mąż żył i dorabiał jako gajowy, wysłali chłopca do Warszawy do technikum. A w 1953 roku zaginął po nim ślad. Kiedy spytał, dlaczego nie zgłosiła faktu zaginięcia do milicji, odpowiedziała, że chciała to uczynić, ale mąż obawiał się, że zaszkodzi Waldkowi. Był przekonany, że syn uciekł za granicę i jak się dorobi, napisze do nich. Wciąż czekała na wiadomość. W końcu pomyślała sobie, że i za granicą ludzie umierają...

Podawała jego rysopis: wzrost wysoki, tuszy szczupłej, oczy

szare i mocno zarysowane brwi. Znaków szczególnych nie posiadał. Kolegów nie znała. Tylko jednego, który mieszkał u swojej kuzynki. Jej Waldek dostawał tam choć czasami coś gorącego. Posyłała im to jaja, to miód. Pisywać nie pisała ani do Czerwonego Krzyża, ani też do tej kuzynki. Nie jest, broń Boże analfabatką. Brak jej czasu, żeby sobie „wychodzić” okulary.

A więc już znam nazwisko - odetchnął Rogosz i zatelefonował z Warszawy do dobrego kolegi, który pracował w Komendzie Wojewódzkiej Rzeszowa. Dwadzieścia kilka lat pracy w milicji daje taką ilość kontaktów, że nie ma komendy w całym kraju, gdzie by się nie znalazła jakaś zaprzyjaźniona dusza.

Kolega nazywał się Władysław Jabłoński i zajmował się przestępczością gospodarczą. Rogosz był przekonany, że kolega oglądał program „Bank Miast”, w którym brał udział Brzozów, gdzie jak sobie przypominał, Wladek pracował przez dobrych parę lat. Z Brzozowa zaawansował do województwa. Czekal teraz przy telefonie, żeby się kolega odezwał. Przy moim niefarcie - pomyślał - przenieśli go pewnie na inny teren. - Ale Jabłoński był na miejscu, tyle że w innym pokoju. Za chwilę usłyszał: - Jabłoński przy telefonie. Kto mówi? - Kiedy dowiedział się, że stary przyjaciel Rogosz, z miejsca spytał o co chodzi, ponieważ o telefonowanie celem przekazania serdecznych pozdrowień Rogosza nie pomyślał.

- Jakbyś zgadł! Chciałem się dowiedzieć, czyś oglądał program „Bank Miast” - Brzozów kontra Ustroń?

Jabłoński oglądał i emocjonował się. Czuł się w Brzozowie jak na wczasach. Teraz jest w młynie.

Może przypomina sobie, że w konkurencji brało udział Zjednoczenie Budownictwa Miejskiego, atakowane przez tego lipnego prokuratora...

Pamięta, a ten dyrektor jest jego dobrym znajomym. Nawet kontrolował na jego prośbę sprawę tych materiałów budowlanych. Najbardziej zainteresowana w dobrym zaopatrzeniu rynku jest milicja. Bo jak czegoś brak, kradną, i potem oni mają kłopoty. Dyrekcja bywa bezsilna. Ale to nie ten przypadek. Nowicki jest klasa.

Jak się nazywa?

Jan Nowicki. Zaczynał jako robotnik fizyczny. Pracuje w Brzozowie kupę lat. Ma już dziś tytuł magistra. Taki ambitny. Ma wspaniałą i uroczą córeczkę. Żonie na imię Agnieszka. Prostym robotnikiem, studia zaoczne i zrobił je w przyspieszonym terminie. Czy Rogosz nie zauważył choćby w tym programie? Inni pchają się, a on zawsze skromnie z boku...

Rogosz powiedział krótko:

- Uważaj, Władek! Nikomu o tej rozmowie ani słowa. Traktuj moją prośbę jako polecenie z Warszawy. Przyjeżdżam do ciebie jutro z samego rana... Chyba będę musiał pozostać w Brzozowie miesiąc, może dwa. Trzeba znaleźć wiarogodny pretekst, może pracę. Pomyśl sam!

I udał się do Zawadki, przysięgając sobie, że teraz za nic nie ustąpi. Janka przekazała mu wiadomość od Kopcia. Okazało się, że Solarzówna otrzymała depezę 26 listopada. Treść była następująca: „Przyjeżdżam 29. Czekam dworzec”. Podpisany był Jurek. Kopec prosi o komentarz. Rogosz wsadził kartkę do kieszeni i wszedł do gabinetu szefa. Wyszedł podniecony, ale w sposób, który uspokoił Jankę. Za chwilę dzwonek wezwał ją do majora. Wróciła niebawem i wypisała Rogoszowi delegację na teren województwa rzeszowskiego bez ograniczenia terminu ważności.

- A Janek? - zapytała.

Powiedział, że chłopak jedzie na obóz narciarski, a w razie potrzeby ma przyszywaną ciotkę, która jest w dodatku jego imienniczką. Odwdzięczy się jej kiedyś. Niech to przekonanie towarzyszy jej do jego przyjazdu. Uprzedził, że można się z nim kontaktować przez kapitana Jabłońskiego, z komendy rzeszowskiej. Tylko przez niego, i żadnych informacji.

Na jak długo planuje swoją nieobecność? I usprawiedliwiła swoją ciekawość, czy prawdę mówiąc, niepokój, obowiązkiem przesyłania wypłaty, korespondencji.

- Mniej więcej do kiedy? - powtórzyła pytanie.

- Aż do skutku - uśmiechnął się porozumiewawczo. - Rozumiemy się? - I ucałował jej rękę raz i drugi, czego nie

czynił nigdy. Popatrzyła za wychodzącym. Ta gadka o wdzięczności, sposób pożegnania. Gdyby ... Cała komenda wiedziała o tym beznadziejnym uczuciu, tylko ten Zbyszek ślepy albo obojętny. Nieba by mu przychyliła...

Rozdział 24

Jabłoński miał wstąpić po niego rano do hotelu, w którym spędził noc, ponieważ dobił na miejsce popołudniowym samolotem.

„Rzeszów”, bo taką nosił nazwę reprezentacyjny hotel wojewódzkiego miasta, został zlokalizowany przy autostradzie. Albo, jeśli ktoś woli, autostradę wybudowano obok hotelu. Rogoszowi przyśniło się nad ranem, że pędzi samochodem wielką szosą, a hałasy dochodziły oczywiście z ulicy, na której w godzinach porannych rozszalały się ciężarówki. Zresztą cały ruch graniczny, niezależnie od miejscowego, nie oszczędzał gości okazałego hotelu. Pomyśleć, że czyjś schizofreniczny pomysł zostaje uwieczniony na długie dziesiątki lat, jeżeli nie więcej!

Zszedł na dół i ledwie zdążył wypić herbatę - Władek z pewnością poczęstuje w komendzie kawą - jak Jabłoński już zjawił się w kawiarni ponagając kolegę. Przygotował dla niego materiały, o które prosił. Zadał sobie wczoraj dużo trudu, ale czego nie robi się dla starego kumpla!

W samochodzie było jeszcze dwóch funkcjonariuszy Komendy Powiatowej. Rozmawiali o sprawach obojętnych. Władek pytał o Janka, jak sobie we dwóch radzą. On sam zmienił żonę i mieszkanie. Co do pierwszej zmiany jest raczej zadowolony, mieszkanie wymaga jednak wielu inwestycji i to kosztownych. Opowiadał Ewie o Rogoszu. Noce bezsenne, spędzone wspólnie na oględzinach, umacniają przyjaźnie. Czy pamięta tygodnie bezskutecznych poszukiwań podczas śledztwa w sprawie Kota z Krakowa? Chłopiec młody, ucieleśnienie niewinności, okrutnym mordercą? Ile razy ich działania zdawały się beznadziejne? Ale doszli w końcu do momentu, w którym można było sprawę przekazać prokuratorowi... A co się

dzieje z majorem Płocienniczakiem? Wciąż w Komendzie Stołecznej?

Rozmawiając o wszystkim, to znaczy o niczym specjalnym, podjechali pod budynek komendy i witając po drodze śpieszących cło swoich pokoi kolegów, znaleźli się na drugim piętrze. Jabłoński, od czasu kiedy awansował na zastępcę naczelnika wydziału, dorobił się własnego pokoju i mogli swobodnie porozmawiać. Zrzucili płaszcze, które Władek starannie powiesił w szafie. Przygotował dwie szklanki, cukiernicę i nastawił wodę.

- Co cię przyparło z tym Nowickim? - zapytał Jabłoński i wypił po sporej łyżeczce, „Marago” do każdej ze szklanek.

Rogosz uważał za słuszną opowiedzieć koledze o przebiegu sprawy, o aktualnej sytuacji i swoim stanowisku. Nie ukrywał, że koncepcja szukania źródła groźnego konfliktu w historii starego napadu napotyka na krytykę szefa i kolegi, który prowadzi sprawę.

- Sądziłem, że ty...

Rogosz wyjaśnił omyłkę. Znajduje się w niełasce. Nawet się nie dziwi. Wszyscy w naszym kraju mają prawo do błędu z wyjątkiem inspektora Komendy Głównej. Jedyne dzięki potwierdzeniu się tezy o związkach, jakie łączyły ofiary, udało mu się uzyskać zgodę na udział w działaniach operacyjnych, ale tylko w tej części, która dotyczy starej sprawy. Jeżeli jego punkt widzenia weźmie w łeb, nie wyobraża sobie dalszej pracy w Warszawie. Może wyjedzie w teren. Spokojny posterunek w pobliżu wartkiego potoku, którego nie unikają śmigające w wodzie pstrągi...

- Bujasz! - Jabłoński zbyt dobrze znał kolegę, żeby uwierzyć w jego zaangażowanie się w sprawę bez przekonania o celowości poczynań. Co do roku 1975, czytał w biuletynie o trzech zabójstwach. Wiedział, że sprawa jest zbyt poważna, żeby Komenda Główna nie objęła nad nią opieki. A jeśli chodzi o koncepcję szukania związków ze starą sprawą, sam ma wątpliwości. Jeżeli ujawnią sprawcę czy grupę przestępczą w rezultacie aktualnych działań... Kto je prowadzi? Kopeć? Nie zna go. Co się dzieje? Czyżby

lata tak biegły! Kiedy wchodzi na konferencję, nie zna już połowy zebranych... Aha! Więc kiedy znajdują tych ludzi, przyznają się oni z pewnością do napadu na konwój bankowy. Minęło tyle lat. Odpowiada najbardziej zabójca milicjanta. Bo i pieniądze się znalazły, ludzie byli młodzi,. Nie trzyma się to kupy. A już absolutnie nie chce mu się wierzyć w udział Nowickiego!

Wyjął z żelaznej szafy kopertę. Otworzył ją. Zawierała dwie strony maszynopisu. Jakieś zdjęcie. Kilka karteczek, zapisanych odręcznym pismem. Niezależnie od własnych wątpliwości, potraktował prośbę kolegi jak najbardziej poważnie. Zdobył w sposób dyskretny maksimum danych na temat osoby dyrektora Zjednoczenia Budownictwa w Brzozowie. Zresztą Zbyszek chyba zauważył. W samochodzie, przy kolegach, nie puścił farby. Jeżeli podejrzenia są bezzasadne, po co tworzyć atmosferę sensacji, która zgodnie z anegdotą o złodzieju - ukradł-nie ukradł - zrobi człowiekowi krzywdę. Nie chciałby niczego sugerować, ale w tym wypadku...

Rogosz przerwał mu w pół słowa.

- Pokaż, co masz w ręku!

Przede wszystkim życiorys Nowickiego. Zgodnie z telefoniczną rozmową ograniczył się do szukania danych, które nie obudzą niczyich podejrzeń. Czy wie, w jaki sposób udało mu się zdobyć życiorys? Pod pierwszym lepszym pretekstem poprosił o teczki personalne kadry kierowniczej wojewódzkiego aparatu budownictwa. A z jednej zrobił fotokopie. Z biografii wynika, co następuje:

„Jan Nowicki, urodzony w 1929 roku, pochodzenie chłopskie. Rodzice: Zdzisław i Marta z Dąbczyńskich, zamieszkali w Łoczowie w pobliżu Lwowa, zmarli w czasie okupacji. Od 18 roku życia pracował w tartaku jako robotnik fizyczny. Trzy lata później przeniósł się do Polańczyka, gdzie był zatrudniony przy wyrębie lasu. W roku 1955 zamieszkał w Brzozowie i trafił na budowę. Szybko awansował. Nie tracił wieczorów na wódkę i karty. Uczył się sam. Zdał do technikum, od razu na drugi rok. Został kierownikiem odcinka przy budowie osiedla. A później kierował całą budową. Zrobił zaocznie magisterium. I objął

kierownictwo Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego”.

- Jeżeli chcesz wiedzieć - powiedział Jabłoński - jest kandydatem na odpowiednie stanowisko w ministerstwie. Trzeba stawiać na tego rodzaju ludzi.

Zresztą uważa za słuszną powiedziec koledze, co on sądzi o Nowickim. Jest to człowiek skromny, nie rozpycha się lokciami. A pieniędzy także nie posiada w nadmiarze, żona pracuje, żyją skromnie. Postawę moralną tego człowieka charakteryzuje historia jego małżeństwa: ożenił się osiem czy dziewięć lat temu z kobietą, która spodziewała się dziecka, ale nie on był jego ojcem. Dziewczyna pochodziła z rodziny bardzo religijnej, nie zgodzili się na przerwanie ciąży. Agnieszka nie chciała zdradzić rodzicom nazwiska tego człowieka.

- Plotek było... sam rozumiesz. Brzozów to nie Warszawa. Faktem jest, że Nowicki się ożenił, dał swoje nazwisko dziecku, kocha swoją córkę i z tego co słyszę - a w Brzozowie zaglądamy sobie do okien - szanuje żonę i nie wypomina jej tak zwanych błędów młodości.

Rogosz, który słuchał uważnie tego, co mówił Jabłoński, wydawał się zadowolony. Kiedy kolega zakończył relację, Rogosz zapytał, w jaki sposób mógłby gdzieś się zaczepić w Brzozowie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Jabłoński przeczuwał, że padnie i taka propozycja ze strony Rogosza. Ma pomysł. W miasteczku uruchomiono związek spółdzielni inwalidów. Jest to duża, jak na Brzozów placówka, która organizuje podległe zakłady w terenie. Dają także zamówienia indywidualnym chałupnikom, którymi są inwalidzi pracujący w domu. Okolicznością dla niego pomyślną jest fakt, że Agnieszka Nowicka pracuje w wydziale kadr tych spółdzielni. Jest nawet kierowniczką. Jeżeli rzeczywiście Nowicki... nie chce mu się wierzyć... w każdym razie istnieje możliwość kontaktu i źródła informacji. Zastanawiał się nad innymi możliwościami. Tartaki są daleko od miasta, przetwórnia owocowo-warzywnicza kończy za tydzień pracę. Będzie miała przerwę aż do nowego sezonu. Nie są Śląskiem. Latem turystyka, to wszystko. Jak się koledze koncepcja z inwalidami podoba?

Rogosz uważał, że bardzo sensowna. Ale w jakim charakterze tam się zjawi. Co oni tam produkują?

- Rękawice ochronne - wyjaśnił Jabłoński i dodał, że wszystko da się zrobić. Będą musieli dopuścić do grona wtajemniczonych prezesa regionalnego związku. Nie znaczy to, że trzeba wprowadzać go w detale. Zresztą jeżeli komenda kogoś poleca, to przecież wiadomo, że nie do prowadzenia porad przedmażeńskich. Prezes musi znaleźć dla Rogosza godziwy pretekst, który uprawdopodobni prowadzenie inspekcji w spółdzielni, a jak będzie potrzeba i w terenie.

- Nie dałoby się uniknąć informowania prezesa?

- Nie! - W tym przypadku Jabłoński okazał stanowczość. Być może Rogosz zna dobrze stosunki międzyludzkie w środowiskach warszawskich. Ale nie w Brzozowie. Przyjazd obcego człowieka, kontrola w placówce, podległej związkowi wojewódzkiemu, musi wzbudzić sensację. Prezes może przeciąć plotki jednym zdaniem. Musi chcieć skłamać, że inspektora skierował zarząd.

- Żeby chciał być prawdziwie pomocny i mógł nadać autentyczne formy tej kontroli - ciągnął Jabłoński - musi mieć przekonanie, że mu ufasz. Masz na to czas. Trzeba, żebyś w Rzeszowie porozumiał się z nim. Skoro minęły tygodnie od chwili dokonania przestępstwa, a w tym przypadku tyle lat, godziny przestają decydować. Trzeba działać powoli. Można tylko z miejsca załatwić jedną rzecz... Wynieść się z hotelu „Rzeszów”. Nie możesz mieszkać przy szosie. Postaram się jak najszybciej zorganizować spotkanie z prezesem Budzyńskim...

Rogosz po namyśle dał się poprowadzić po obcym terenie doświadczonemu koledze. Przed powrotem do hotelu połączył się milicyjną linią z Warszawą. Odezwał się Kopeć.

- Co się dzieje w wydziale? - spytał Rogosz.

- Pracują. Idą zgodnie z planem. A co to za depesza do Solarzówny?

Rogosz wyjaśnił, że gdyby nie śmierć Staronia, mogłaby stanowić dla niego znakomite „alibi”. Kopeć miał dla niego

jeszcze jedną wiadomość z okienka p.t. „Informacja”. O samolot z Libanu pytał dwukrotnie mężczyzna, który zwrócił uwagę bagażowego.

- Był wysoki, szczupły, o mocno zarysowanych brwiach - dopowiedział Rogosz. - Miał lat przeszło czterdzieści.

- Skąd to wiesz? - Kopcia zatkało. Powiedział: - Zbyszek! Tak nie można. Musimy pracować razem.

Rogosz zapewnił, że też tak sądzi. Podaje nazwisko Jabłońskiego jako łącznika. Roman prosił go pozdrowić. Spędzali kiedyś całkiem fajne wczasy w Wildze.

Rozdział 25

Pan Tomasz Budzyński - prezes Regionalnego Związku Spółdzielni Inwalidów (produkcja rękawic ochronnych) - odznaczał się, przynajmniej takie odnosiło się wrażenie, tężyzną i zdrowiem, które to cechy nie kojarzyły się z charakterem placówki, zatrudniającej ludzi kalekich. Gabinet prezesa był, można powiedzieć, ekspozycją rękawic rozmaitych kształtów i kolorów. Prezes, jak każdy człowiek odpowiedzialny za ważny dział produkcji, rozpoczął od wykładu na temat wagi zadania, które mu powierzono itd... Produkowano trzy rodzaje rękawic: jedno, trzy i pięciopalcowe. Pięćdziesiąt milionów rękawic ochronnych rocznie. Od ich pracy zależy bezpieczeństwo rąk, które są zatrudnione przy wielkich piecach, w laboratoriach, na oddziałach górniczych. Każdy typ rękawic ma inną fakturę, kształt, surowiec, normę techniczną, znakowaną „OR” z numerem. Czy wiedział na przykład o tym, że istnieją specjalne rękawice dla nurków? Inne rękawice chronią ręce leśników, a zupełnie odmienne, określone przepisami BHP, przeznacza się dla tych, którzy pracują w niskich temperaturach.

Pan Tomasz wykladał jeszcze dobre pół godziny, ażeby nie było między nimi niedomowień. Potem wręczył Rogoszowi delegację, uzasadniającą jego pobyt w Brzozowie. W sekretariacie przygotował mu obszerną dokumentację. Musi poznać ich organizację pracy i

kontroli. I w tym miejscu powiedział coś bardzo sensownego, co stworzyło jakąś więź porozumienia między tymi zupełnie obcymi sobie ludźmi. Zaproponował mianowicie inspektorowi, że skoro jako przedstawiciel tak ważnej instytucji jak Komenda Główna musi „odstawiać” kontrolera, niechże im się choć trochę przyda. Bardzo jest im potrzebne oko kibica, kogoś z zewnątrz. Gdyby mógł przy okazji zwrócić też uwagę na stan organizacji pracy i stosunki między ludźmi.

Okazało się, że telefonował już do Brzozowa, zapowiadając przyjazd inspektora z Centrali Związków Inwalidzkich. Istnieje pretekst do tej kontroli. Dwóch chałupników złożyło skargę wprost do ministerstwa, nie wiedząc, że i tak ich zażalenie musi wrócić do regionu. Jeden z nich zamieszkuje okolicę Polańczyka, drugi ma swój jednoosobowy warsztat w Łańcucie. Skarżą się na maszyny z usterkami. Bo Rogosz musi wiedzieć, że inwalida otrzymuje z punktu rozdzielczego nie tylko maszynę, ale wykroje, surowiec, dodatki, nawet gumki i nici. Inwalida daje swoją pracę, która umożliwiając mu utrzymanie siebie i rodziny, rehabilituje jednocześnie kalekie ręce... Widać było, że Budzyński oddany jest bez reszty pracy, może nawet wyolbrzymia jej znaczenie. Ale był to objaw raczej sympatyczny i wcale nie taki częsty. W dalszym ciągu prezes tłumaczył Rogoszowi, że raz w miesiącu odbiera się produkcję, dokonuje wypłaty. Inwalidzi są szkoleni. W zależności od warunków i stanu zdrowia przyjeżdżają do ich zakładów albo korzystają z pomocy instruktora, który przyjeżdża do miejsca zamieszkania inwalidy. Słowem, nie zabraknie okazji ani do wyjazdów, ani do rozmów, a o to chyba chodzi. Pomyślał już o zarezerwowaniu pokoju w hotelu w Brzozowie. Teraz będzie pustawo, ale latem nie można się dopchać. Tędy prowadzi szlak na Czechosłowację i do Jugosławii, Grecji... Czy mógłby przy sposobności zapytać, w jakich rękawicach dokonywał przestępstw’ osobnik, którego poszukuje?

- Nie nosił ochronnych. Na moje szczęście - zapewnił Rogosz i przyrzekł dziś jeszcze przestudiować w hotelu materiały przygotowane w sekretariacie. Bardzo go

interesuje wejście w ten obcy świat. Własny brzydnie czasem człowiekowi...

Rozdział 26

Kiedy rano zbliżał się do budynku Regionalnego Związku Spółdzielni Inwalidów w Brzozowie, był już całkiem nieźle podkształcony w zagadnieniach, dotyczących organizacji i charakteru produkcji, które miał opiniować. Cały ten świat biedy inwalidzkiej, produkcji nakładczej był tak odmienny w swojej problematyce od jego spraw zawodowych, że przez sam kontrast wzbudził w nim zainteresowanie.

Zatrzymał się chwilę przed budynkiem zakładu, obserwując robotników, którzy o tej porze śpieszyli do pracy. Słowa „śpieszyli” nie należało rozumieć dosłownie. Byli to wyłącznie inwalidzi i najbardziej dla nich męczącym zajęciem było pokonywanie drogi do zakładu pracy. Kilku najsprawniejszych poruszało się za pomocą laski, kul podpierających lub szczeდეł. Dwóch mężczyzn przyjeżdżało na wózkach. Tylko jeden samochodem, przystosowanym do możliwości beznogiego kierowcy. Wysiadł z samochodu, rozstawiał wózek i wjeżdżał nim na teren zakładu. Pomyśleć tylko, że czynił to codziennie, może przez wiele lat życia, które minęły od wypadku czy choroby. Trudno by się było dziwić, gdyby nie okazywali dobrego humoru, o który zdrowym niełatwo, kiedy w słotne, zimne dni listopada czy grudnia muszą wstawać do pracy wczesnym rankiem. A jednak ci ludzie, tak ciężko przez los doświadczeni, zdawali się wręcz rażni. Wymieniali pozdrowienia, uśmiechali się do siebie przy tych codziennych spotkaniach. Nigdy przedtem Rogoszowi nie przyszło- by do głowy zastanawiać się nad wychowawczym znaczeniem pracy inwalidzkiej. W jakim stopniu nadaje ona sens życiu kalekiego człowieka?

Drugim wejściem wchodzili do budynku administracyjnego urzędnicy spółdzielni, z reguły ludzie zdrowi, pełnosprawni. Doznawał ulgi obserwując przez chwilę ten

ruch. Z pewnością nie doceniają, jak i on, największego majątku, jakim jest sprawność fizyczna, zdrowie. Czy on nie zachowuje się czasami, jakby miał wciąż te lata, co wówczas, kiedy wezwał go szef - już dawno znajduje się po drugiej stronie bariery życia - powierzając sierżantowi Rogoszowi prowadzenie sprawy, w której miał za zadanie ujawnić zabójców młodziutkiego Michała Krawczyka, syna towarzysza broni i przyjaciela.

Trzeba zamknąć tę sprawę, jakkolwiek będzie jej bilans. W najbliższych dniach musi paść odpowiedź, dotycząca osoby Nowickiego. Jeżeli Rogosz udowodni mu, że przywłaszczył sobie obecne nazwisko, a jego właściwe brzmi Waldemar Targowski... Jeżeli sprawcą przygwoźdżony do muru zezna, że następnego dnia, kiedy tak nieopatrzenie pokazał swoją twarz w telewizji, zgłosił się do niego były kolega z grupy koleżeńskiej, dziś człowiek marginesu społecznego, i zażądał podziału łupu pieniędzy, których Targowski vel Nowicki nigdy nie posiadał... Musiał ten Wrzos zaśmiać mu się prosto w twarz, kiedy szanowany obywatel Brzozowa, ojciec rodziny oraz dyrektor zjednoczenia, zakomunikował mu, że nigdy grosza z łupu nie zobaczył... Rozmowa odbyła się z pewnością w mieszkaniu Wrzosa. Zatelefonował zaraz po zakończeniu programu, może jeszcze tego samego wieczoru. Nie sztuka poprosić o połączenie z prywatnym mieszkaniem dyrektora zjednoczenia, jeżeli w telewizji pada jego nazwisko. Brzozów za wielu abonentów prywatnych nie posiada... Zadzwonił, powiedział swoje nazwisko i zażądał przyjazdu do Nowego Targu. Na swoim terenie czuł się pewniej. Czy mu groził? W jaki sposób szantażował Nowickiego, że ten wiedziony strachem rzucił się na niego, chwycił za gardło... Gdyby tylko wspomniał o udziale w napadzie sprzed dwudziestu laty, nie skończyłoby się to morderstwem. Miał jeszcze argument w zanadrzu. Jaki? Co jednak działo się przed spotkaniem tych dwu? Wrzos wiedział, że oprzeć się może jedynie na Staroniu. Byli z tego samego tworzywa, tyle że koledze los sprzyjał. Staroń jednak bał się wszelkich

rozliczeń. Jego zbrodnia sprzed dwudziestu dwóch lat nie uległa jeszcze przedawnieniu. Zostawił Wrzosowi pełnomocnictwa i zdołał wycofać się na okres gorący za granicę.

Tylko Targowski mógłby odpowiedzieć na wszystkie dręczące go pytania. Żeby jednak doszło do tej decydującej rozmowy, musi mieć w ręku atuty. Będzie je miał! Żona Targowskiego wie przecież zarówno o telefonie, jak i o nagłej podróży. Może nawet jest wprowadzona we wszystkie szczegóły biografii męża. Będzie z nią współpracował, miał niejedną okazję do rozmowy. Mówi się u nich, że nikt tak nie sypie przestępcy jak jego własna żona... W najlepszej wierze.

Poszukał pokoju prezesa spółdzielni inwalidzkiej. Znalazł drzwi. Na nich tabliczkę: Franciszek Szamowski. Zapukał i dowiedział się, że oczekują go od rana, uprzedzeni przez Rzeszów.

Szamowski okazał się człowiekiem obytym, dowcipnym i bynajmniej nie przerażał go fakt nasłania na placówkę inspekcji z Warszawy. Wie o tym, że chałupnicy skarżą się władzom w Rzeszowie i prasie. Mają dużo racji. Zaledwie pięć osób obsługuje stu rzemieślników-inwalidów, którzy mieszkają czasem na odludziu, a zimą drogi bywają nieprzejezdne. Dlatego nie obawia się kontroli. Chętnie odstąpi mu swoją posesję. Co oni już tych najazdów przeżyli. W ubiegłym roku kontrolerzy z wysokiej instancji, woli nie cytować, z jakiej, siedzieli tu sześć tygodni. Myszkowali, nie dali ludziom pracować w spokoju. Pod koniec inspekcji zgłosili się do niego z listą wątpliwości. Między innymi były tam jego wydatki przeznaczone na zakup kawy. Kwota wydała się im zdecydowanie za wysoka. Zapytał, czy wzięli pod uwagę ilość wypitych przez siebie kaw. I dyskusja na temat wydatków reprezentacyjnych urwała się.

Ad rem: inspektora interesuje zapewne organizacja pracy w spółdzielni. Inżynier Szczepański wybiera się dziś do Leska. Czy nie jest zmęczony podróżą? Szczepańskiemu towarzyszy kierowniczką kadr. Jest to żona tutejszego dyrektora budownictwa miejskiego... Nacisnął biały guzik wewnętrznej linii i powiedział sekretarce, żeby poprosiła Agnieszkę

Nowicką. Rogoszowi zaś wyjaśnił:

- To bardzo miła pani. I ładna. Miała biedę przez jakiegoś faceta na stanowisku, który spędzał w Bieszczadach swój urlop. Romans, gruchanie, no i za dziewięć miesięcy... Było dużo gadania, któremu zapobiegł Nowicki. Ożenił się z Agnieszką i zatkał ludziom gęby.

Do gabinetu weszła Nowicka, nie wiedząc, że zostanie tu obcego.

- Pan prezes mnie wzywał?

- Prosił - powiedział Szamowski i zapoznał ją z przybyłym. Oddał jej kontrolera pod opiekę i zaproponował wspólny wyjazd do Leska. - Nie zgłasza pani sprzeciwu?

Uśmiechnęła się i Rogosz nie mógł zrozumieć, dlaczego ta kobieta uśmiechem, być może konwencjonalnym, wzbudziła w nim uczucie, które nazwałby wzruszeniem, gdyby nie charakteryzująca go niechęć do używania wielkich słów. Była rzeczywiście ładna, o bardzo jasnych włosach, jakie można w ich naturalnym odcieniu spotkać tylko w Polsce albo w Szwecji. Wysoka, smukła, ale pozbawiona agresywnego wdzięku, który każe mężczyźnie myśleć o wiadomych sprawach. Nie była, jak to powiadają, seksbombą. Jej uroda odpowiadała imieniu. Sprawiała wrażenie łagodnej, smutnej i spokojnej. Powiedziała, że muszą się pośpieszyć, bo mają czterdzieści kilometrów nie najlepszej drogi.

- Jeżeli pan inspektor mógłby zaraz?

Zabrali po drodze inżyniera Szczepańskiego, który urzędował o piętro niżej, i wsiedli do nysy bardzo już podniszczonej na skutek długiej znajomości z bieszczadzskimi drogami.

Rozsiedli się w wozie, co wcale nie było łatwe, ponieważ załadowany był stertami paczek z wykrojami, które dziś jeszcze musiały trafić do jednoosobowego warsztatu producenta. Pani Agnieszka wyjęła z torby notatnik i podała kierowcy nazwy miejscowości, w których należało się zatrzymać. Dziś na tapecie Załuż i Sanok.

Nie rozmawiali, kobieta wciąż była zamyślona i nieobecna. Inżynier przypomniał kierowcy, że na trasie mieszka wspólny

znajomy, który bił wczoraj świniaka. Można by u niego kupić kaszanke palce lizać! I już później mówili o tym, że nikomu teraz nie chce się robić wiejskiej kielbasy i piec chleba. Przez technikę wszystko to wzięło w łeb.

W Załuzu zatrzymali się w pobliżu parterowego domku. Na spotkanie wysiadającej trójki wyszła stara kobieta, za nią pies, którego nie można było posądzać o rasowe pochodzenie. Nowicka przekazała wypłatę, nowe zamówienia. Inżynier sprawdzał maszynę. Okazało się, że trzeba będzie wymienić silniczek.

- Jak długo potrwa ta wymiana? - spytał Rogosz.

Szczepański twierdził, że nie więcej niż kwadrans. Nowicka poprosiła żonę inwalidy, by zechciała poczęstować gościa z Warszawy szklanką gorącej herbaty. Mocną, bo w stolicy nie piją takiej bladej. Podała Rogoszowi kanapkę starannie opakowaną w serwetkę. Widząc jego wahanie, otworzyła szerzej torbę. Leżało tam jeszcze sporo kanapek i jabłka. Uśmiechnęła się znów prześlicznie, mówiąc, że zawsze asekuruje się, jadąc w teren, bo nyska bywa uparta, a drogi jesienią grzaskie...

Jechali w kierunku Leska krętą trasą, która o tej porze roku była znacznie mniej atrakcyjna. Inżynier Szczepański zwrócił uwagę Rogoszowi, że wybrał złą porę roku. Bieszczady należy „kontrolować” wiosną, latem, a najpiękniejsze bywają jesienią. Czy oglądał w listopadzie „Bank Miast” w telewizji? Jeżeli ma telewizor kolorowy mógł się przekonać w pełni o urodzie Brzozowa. Rynek wkomponowany w panoramę pagórków i zieleni. Czy inspektor zauważył kamieniczki obok hotelu, wiernie odrestaurowane? To robota dyrektora Nowickiego, męża pani Agnieszki. Zwrócił się do koleżanki:

- Już kilka razy chciałem panią zapytać. Czemu właściwie mąż bronił się przed udziałem w imprezie? Taka konkurencja to wcale niezły pomysł, żeby poruszyć śpiące wody miasteczka. Trzymałem dla dyrektora miejsce na podium do ostatniej chwili. Tak sobie zaplanowaliśmy z naczelnikiem i tym redaktorem z Warszawy. Miał zająć honorowe miejsce. A on nie i nie. Niech nam pani zdradzi!

Jest do tego stopnia skromny, czy tak bardzo zarozumiały?

Szczepański żartował, czy też próbował być dowcipny, ale Rogosz w napięciu oczekiwał na odpowiedź kobiety. Nie była to tylko zawodowa ciekawość, choć inżynier uczynił mu tym pytaniem przysługę. Reakcja pani Agnieszki mogła rozstrzygnąć, przynajmniej zasignalizować ważną okoliczność. Gdyby kobieta nie potwierdziła dziwnego zachowania się męża, byłby to znak, wskazujący na świadomość sytuacji, w której mąż się znalazł. Odpowiedź ta zbliżyłaby go znowu o krok do końca śledztwa, a przynajmniej swojego w nim udziału. Był już zmęczony i chwilami skłonny przyznać rację Zawadce, że należało się skoncentrować na dniu dzisiejszym, pozostawiając na uboczu stare dzieje. Być może na jakimś etapie dochodzenia zostałyby ujawnione.

Pani Agnieszka bez namysłu odpowiedziała, że czasem nie rozumie postępowania' męża. Dlaczego nie chciał wziąć udziału w imprezie? Czemu zdenerwował się do tego stopnia pytaniem redaktora? Przecież wiadomo, że otrzymał zlecenie z góry, jak ma rozdysponować materiał budowlany. Zabrała go do domu, ale nie mógł się uspokoić. Ci dziennikarze zabawiają się czasem kosztem człowieka.

Ona o niczym nie wie - pomyślał Rogosz i ta świadomość sprawiła mu tak wyraźną ulgę, że aż zdumiał się własną reakcją.

Rozdział 27

Po tygodniu sumiennego przeprowadzania kontroli, którą ułatwił mu prezes, zapewniając udział w wyjazdach terenowych (z reguły towarzyszyła mu Nowicka), Rogosz postanowił pod pierwszym lepszym pretekstem wyrwać się do Rzeszowa.

Nie chciał uprzedzać telefonicznie kapitana Jabłońskiego. Musiałby ze spółdzielni zamówić rozmowę z komendą albo dzwonić za pośrednictwem portiera hotelowego. W mikrospołeczeństwie Brzozowa taki telefon, świadczący o kontaktach z milicją, nie mógłby pozostać w tajemnicy.

Wspólny pokój, w którym urzędowali z Agnieszką, przygody

nieodłączne w podróżach, wszystkie te okoliczności sprzyjające rozmowom pozwoliły Rogoszowi na ustalenie coraz bardziej konkretnych danych, które pasowały jak ulał do jego wersji.

Poprzedniego dnia powiedział Nowickiej, że wybiera się do Rzeszowa. Nie zadawała pytań, na jak długo, i w jakim celu wyjeżdża. To było dla niej typowe. Była ! osobą mało komunikatywną, raczej milczącą. Jak to się stało, że polubił ten pokój i kobietę, która nie kwapiła się do rozmowy, zawsze łagodna, melancholijna, ale w sposób, który uspokajał, rozładowywał nerwową atmosferę, charakterystyczną dla tego rodzaju placówki.

Wchodziła rano zaróżowiona od chłodu podgórskiego powietrza. Zdejmował z niej kożuszek, wieszał go starannie w szafie. Bukieciak na biurku był znakiem, że o niej pamiętał. Nie kwitowała wdzięczności konwencjonalnym podziękowaniem, ale wiedział, że sprawia jej przyjemność tymi kwiatkami. Czuł, i było to fatalne przekonanie, że nie jest w stanie przeciwdziałać pogłębianiu się tej sympatii. Czasami zdawało mu się, że wzajemnej.

Codziennie mógł obserwować przebieg jej mało urozmaiconego dnia pracy. I podziwiał jej dzielność, cechę, którą cenił sobie wyjątkowo. Miała bardzo trudnych podopiecznych. Poza tym musiała rozmawiać z odbiorcami, tłumaczyć się przed władzami regionalnymi. W takiej niewielkiej placówce kierowniczką wydziału personalnego musi spełniać nadto kilka dodatkowych funkcji.

Udawał, że także pilnie pracuje i patrzył od czasu do czasu na pochyloną nad stołem kobietę. Głęboko jej współczuł. Gdyby nawet stawał na głowie, dokonywał heroicznych wysiłków, nie spowoduje, żeby pozostawiono ją w spokoju, kiedy zespół operacyjno-śledczy zacznie działać w Brzozowie. Byłby może jeden jedyne sposób. Samemu ustąpić z forsowanej przez długie lata wersji! Może nawet przyjęliby tego rodzaju rezygnację z ulgą? Zresztą prowadził jedynie fragment śledztwa, który w gruncie rzeczy poza nim samym nikogo nie bulwersował. Nic już nie można było w tej chwili odwrócić! Może już za tydzień Brzozów doczeka się sensacji. Jak

Agnieszka przetrzyma ten cios? Znał życie. Wiedział, że człowiek potrafi bardzo dużo przecierpieć i nie rezygnuje z dalszych doznań. Kobieta była młoda, lubiana. Zapomni! Ale jego zniechęcenie. To jedno było jasne. Choć kiedy do późnej nocy oczekiwali na samochód, zagubiony w bieszczadzkiej mgłę, wyznała mu nagle, bez pytania, że wyszła za męża nie z miłości. Chodziło o dziecko. Mąż jej zachowuje się lojalnie, jest dla niej dobry, jest wierny. Wydawało się, że chce powiedzieć coś więcej, ale zamilkła i do końca drogi nie odzywała się. Taka była Agnieszka!

Nie pytała też o nic, kiedy uprzedził ją, że wyjeżdża do Rzeszowa. I nigdy nie zapraszała Rogosza do swojego domu. Może domyślała się, kim jest naprawdę? Mówi się czasem o kobiecej intuicji, która pozwala prawidłowo dedukować bez znajomości faktów. To Agnieszka Nowicka była między innymi powodem, dla którego chciał jak najszybciej zamknąć śledztwo w sprawie „Konwoju”. Wyjazd do Rzeszowa powinien ten etap przyspieszyć.

W biurze komendy zastał Jabłońskiego, nudzącego się przy biurku. Każda komenda przeżywa gorący okres, który przeklina. Dla rzeszowskiej są to miesiące letnie. Piękno Bieszczad przyciąga turystów, a za nimi zjeżdżają żuliki. Zmieniająca się co turnus anonimowa społeczność utrudnia utrzymanie porządku. Ale teraz był spokój. Święta coraz bliżej. O tej porze roku nawet zawodowi złodzieje zawieszają swoją działalność.

Rogosz ucieszył się na widok kolegi, bo mimo sympatii i zrozumienia, jakie miał dla prezesa i jego zagadnień pracy z inwalidami - rola fałszywego inspektora zaczynała mu wychodzić bokiem.

- Z górki? - Jabłoński był autentycznie zafascynowany śledztwem, które zajął się i o jego województwo.

- Można i tak powiedzieć - westchnął Rogosz i przeprosił kolegę, że odbędzie w jego pokoju kilka rozmów telefonicznych z Warszawą. Zorientuje się z nich, co jest grane.

Jabłońskiego interesowało to, jakie wrażenie zrobił na

Rogoszu Nowicki. Dowiedział się, że przyjaciel spotkał go tylko raz czy dwa na ulicy. Kiedyś przyszedł po żonę. Wygląda sympatycznie, jak na zdjęciu. Czy każdy przestępca ma wypisane na twarzy piętno, cechy osobowości? Zresztą Targowski miał wszelkie szanse wyjść ze swoich opresji, gdyby po ogłoszeniu amnestii zgłosił się do władz. Nie on był zabójcą! Jeszcze raz potwierdzenie słusznej tezy o nie wykrytych przestępstwach, które rodzą następne. Może mu tyle powiedzieć, że Nowicki w dniach od 12 do 14 listopada był nieobecny w Brzozowie.

- Człowieku! - zdziwił się Jabłoński. - W budownictwie wciąż się jeździ. A to materiał jest potrzebny albo ludzi trzeba do roboty szukać. - I rzucił podchwytliwe pytanie, dotyczące Agnieszki: - Jak ci się podoba Nowicka? Podobno razem pracowaliście?

- Nawet w jednym pokoju. - Głos Rogosza zadrżał lekko, a Jabłoński z racji swojego zawodu był niezłym psychologiem. Tu cię mam - pomyślał i zapytał, czy nie jest to wyjątkowo miła kobieta. Być może wie o swoim mężu więcej, niżby się zdawało.

Rogosz zapewnił go, że Agnieszka Nowicka nie orientuje się ani w przeszłości męża, ani w dramatycznym przebiegu wydarzeń tego roku. Zaakcentował to zbyt mocno, ażeby osoba, o której mówił, mogła mu być obojętna. Jabłoński zaś jako człowiek doświadczony nie mógł tego osobistego zaangażowania przyjaciela nie spostrzec.

- A więc już masz pełne rozeznanie?

- Poza jednym szczegółem chyba tak...

Czy pozwoli mu wreszcie zatelefonować? Przy sposobności: bardzo mu jest potrzebne zdjęcie Targowskiego lub jak woli - Nowickiego. Najchętniej paszportowe. Czy podejrzany występował może kiedyś o wyjazd za granicę?

- Nie mój sklepik - odpowiedział Władek i zatelefonował do kolegi z paszportowego. - Zaraz otrzymamy zdjęcie... - Okazało się, że Nowicki wyjeżdżał na jakąś konferencję do Budapesztu. Samochód z pocztą wyjeżdża do Warszawy za godziną. Pewnie Rogosz chce wysłać tą podobizną do

zakładu?

- Wszystko wiesz, po co ty się pytasz, człowieku - powiedział Rogosz i połączył się z Janką. Jak zwykle ucieszyła się z jego telefonu i spytała, kiedy wraca.

Chciałby jak najprędzej, ale to niełatwe. Znów musi nadużyć jej dobroci. Chodzi o to, ażeby ze zdjęcia, które przyjedzie do niej z Rzeszowa, zrobić portret, ale odmłodzony. Powiedzmy o dwadzieścia lat. Jeżeli nie ma dziś grafika w Zakładzie Kryminalistyki, niech zadzwoni do pałacu Mostowskich. Mają podobno znakomitego picassa. I jak najszybciej niech przyśle ten prowizoryczny portret do Rzeszowa. Wszystko na ręce Jabłońskiego.

Potem poprosił o przełączenie na telefon kapitana Kopcia. W oczekiwaniu na głos Romana wsadził przyniesione z paszportowego zdjęcie do koperty, zaadresował na Jankę, dopisał ręcznie „pilne” i oddał Jabłońskiemu, który nadał przesyłce bieg, znikając w tym celu z pokoju.

Warszawa odpowiedziała, że kapitan Kopeć jest u szefa. Tym lepiej. Niech zaraz łączą!

Roman na wstępie zakomunikował, że posuwają się energicznie naprzód. Co do Solarzówny miał całkowicie rację. Nie podejrzewa ją o perfidię. Po prostu głupia k... Gdyby była mądra, wybrałaby ciekawszą profesję. Bywa. Ekspertyza obydwu sznurów potwierdziła, że pochodziły z tego samego kłębka. Sprawca śmierci Wrzosa i Markowskiego był jedną i tą samą osobą. Szukają teraz osobnika, który dwukrotnie pytał w „Informacji” o samolot z Bejrutu. Wysoki, szczupły, ma gęste brwi, prawie zrosnięte.

- Czy poza informacjami z okienka macie coś więcej?

Przesłuchali przyjaciółkę pracownika apteki, tego Adama. Błąd w sztuce, że Rogosz tego nie zrobił.

Słyszała, że ten obcy głos mówił o jakimś Waldku. „Będzie musiał wypluć...”¹ Słyszała te słowa wyraźnie. Jeszcze coś. Dziewczyna zauważyła w pobliżu apteki kręcącego się mężczyznę. Zwróciła na niego uwagę z powodu ciemnych, wyjątkowo gęstych brwi. Miał lat 40-45. Zgadza się? To nie wszystko! Markowska znalazła

korespondencję męża. Dowiedziała się od urzędniczki na poczcie, że w dniu zabójstwa Markowski bardzo długo rozmawiał przez telefon i była to zamiejskowa rozmowa. Dziś jedzie do Oleśnicy inspektor z zespołu. On sam odwiedził kuzynkę Markowskiego. Bardzo dorzeczna babka, stomatolog. Mówiła, że był już u niej jakiś inspektor i pytał o kuzyna. Sprawdzają, kto to mógł być. Twierdzi, że ten mężczyzna nie miał gęstych, zrosniętych brwi!

Rogosz zapewnił kolegę, że mogą sobie oszczędzić czasu. To on pozwolił sobie na odwiedzenie pani Laury. Interesowały go kontakty Markowskiego z okresu lat pięćdziesiątych. Ponieważ nie chcieli przyjąć jego punktu widzenia, nie sądził, żeby to spotkanie interesowało kogokolwiek poza nim.

Do rozmowy włączył się major, który brał w niej cały czas bierny udział słuchając z drugiego aparatu.

Nigdy i w żadnej sprawie nie odrzucają wglądu w przeszłość podejrzanego osobnika. Jeżeli on osobiście zgodził się dać mu pełnomocnictwo, to właśnie z tego powodu. A delegację ma, o ile Zawadka się nie myli, służbową. Zobowiązuje ona do synchronizowania działań operacyjnych. Koniec z samotnym detektywem McQ.

Zaczyna wierzyć, że miałem rację! Rogosz zrozumiał, że musi szybko kończyć działania w Brzozowie. Zapowiedział szefowi, że lada dzień przyjedzie i to z dowodami, które pomogą Kopciowi w kontynuacji śledztwa. Nie zajmuje się tu przecież flirtem. Jabłoński może poświadczyć. Telefonuje z jego pokoju.

Ale kolega Jabłoński, który zdążył nadać przesyłkę i słuchał dłuższy czas rozmowy, przybrał ironiczny wyraz twarzy, który mógłby świadczyć o tym, że jego zdaniem oświadczenie przyjaciela nie pokrywa się z prawdą. Rogosz nie podtrzymywał już na ten temat dyskusji, tylko jeszcze raz zapewnił, że przyjedzie z gotowym materiałem. Jeżeli nie... poprosi o przeniesienie do wydziału gospodarczego. Specjalizuje się obecnie w zagadnieniach spółdzielczości.

Zawadka i Kopeć nic z tego nie rozumieli.

- Tajemniczy Dżems - wzruszył ramionami Kopeć. Mimo

pozornego zawieszenia broni nie lubił Rogosza.

- Dziwaczy - zdecydował Zawadka, który za nim w gruncie rzeczy przepadał. Obaj mieli za dużo na głowie, żeby się zastanawiać nad aluzjami Rogosza, choć wydawały im się dziwne.

- Pozwolisz, jeszcze jeden telefon. Ostatni. - I nie czekając na zgodę, Rogosz połączył się z Żarnowskim, bo wiedział, że syna nie ma o tej porze w domu.

Żarnowski miał u siebie „klientów”, ale poradził Rogoszowi, żeby przestał niepokoić się o Janka. Wpadł do niego któregoś dnia po południu. Chłopak nie zaprosił go do mieszkania, rozmawiał w progu i był rozkosznie rozczochrany. Bardzo się zaniepokoił, kiedy Żarnowski pocieszył go, że ojciec niedługo wraca.

Odłożył słuchawkę i powiedział do Jabłońskiego.

- Wiesz? Mam dorosłego syna. Trochę to smutne.

- Powód dodatkowy, żeby pomyśleć o sobie - zauważył Władek.

- Tyle czasu ci powtarzam, że jestem pechowcem. Sam widzisz... - Było to prawie wyznanie i Rogosz przeraził się, że Jabłoński zechce wrócić do rozmowy o Agnieszce. Zapytał przyjaciela, czy chciałby się rzeczywiście dowiedzieć, jak ocenia motywację Waldemara Targowskiego. Jabłoński znów mu przerwał:

- Załóżmy, że udowodnisz Nowickiemu sfałszowanie nazwiska. Nie jest to takie łatwe. Pamiętasz lepiej ode mnie jego życiorys. Rodzice nie żyją od iluś tam lat. Rodzeństwa nie miał. Własna matka nie rozpozna Targowskiego po dwudziestu latach. To bardzo stara kobieta. Myślisz, że nie wiem z jakiego powodu kazałeś odmłodzić zdjęcie? Może z tego będzie poszlaka, ale nie dowód!

- Nie przerywaj - powiedział Rogosz. - Wiesz, co mi powiedziała żona Nowickiego? Nigdy nie chciał się ruszać z Brzozowa, nawet na urlop. Mówił, że nie ma czasu. Jeden raz udało się jej namówić męża na wyjazd do domu wczasowego w Juracie. Jechali przez Warszawę. Nie zatrzymali się w stolicy, mimo że prosiła go ze względu na

córeczkę, która pierwszy raz w życiu miała okazję zobaczyć stolicę. Minęli Jabłonnę i znaleźli się nad Zalewem Zegrzyńskim. Przypominam ci, że matka Targowskiego mieszka w Orzechowie, koło Zegrza. Pani Agnieszce wydawało się, że mąż zna te strony znakomicie, bo cytował kolejne miejscowości, przez które będą przejeżdżać. Zdawało się w pewnym momencie, że skręci do jakiejś wsi. Ale nagle ruszył pędem i zatrzymali się dopiero w Sopocie. Sądziła, że mąż miał być może jakąś przygodę miłosną w tej okolicy. Zapytała go wprost. Ale odpowiedział, że nigdy w życiu tędy nie przejeżdżał. Miejscowości przestudiował na mapie.

- To wszystko opowiedziała ci sama Agnieszka? Żal mi ciebie, Zbyszek. Mów dalej!

- Dobra. Wracam do sytuacji sprzed lat. Nigdy o niej nie zapominam. I tylko w ten sposób mogłem wyjść na sprawcę. Otóż miesiąc czy dwa po napadzie na konwój Targowski stwierdza, że ktoś odkrył i zabrał pieniądze, które zagrabili. I wiedział, że nie uczynili tego wspólnicy, bo tylko on znał to miejsce. A więc musi uciekać przed nimi. Nieprzypadkowo znalazł się w miejscowości przygranicznej. Może w tamtych czasach łatwiej było uniknąć spotkania z WOP-em. Nie udało mu się, jak widać, uciec z kraju. Przyjął pracę w tartaku. Czym były Bieszczady w tamtych latach - wiadomo. Polski western. Mekka dla dzielnych ludzi i wszelkiego rodzaju swołoczy. A teraz moja rola: muszę udowodnić, jak w tego rodzaju warunkach Targowski zdobył dowód osobisty Nowickiego? Bo metrykę, która mu była potrzebna do zawarcia ślubu, wyciągnął z ewidencji za jedne pięćdziesiąt złotych. Waldemar Targowski z dowodem Nowickiego ma szansę wybicia się. Prosty robotnik, który przeskakuje klasy technikum. Nie jest to dowód, ale poszlaka, upewnienie się, że jestem na właściwej drodze... Pozwolisz, że pociągnę dalej historię mordercy, który nie był „szakalem”, ponieważ zabijał we własnej obronie... Kto pierwszy do niego zadzwonił, żądając rozliczenia, nie wiem jeszcze. Ale należy

przypuszczać, że Wrzos. Staroń miał na sumieniu śmierć milicjanta, wolałby pozostać w cieniu, choć bardzo lubił pieniądze. Teraz możesz sobie wyobrazić. Wszystko się wali. Jego spokój, opinia, dorobek całego życia. Nie miał pieniędzy, gdyby chciał się wykupić własnymi. Dziwne, ale prowadził przez dwadzieścia dwa lata życie uczciwego, prawego człowieka... Jak to się stało, z jakiego powodu zabił właśnie aptekarza, do dziś nie rozumiem. W jakim celu zabrał ten kłębek sznura z zaplecza aptecznego?

Dalszy ciąg jest konsekwencją pierwszego aktu dramatu. Obawiał się, że kiedy Staroń wróci i otrzyma wiadomość o zamordowaniu Wrzosa, poczuje się zagrożony i pójdzie na milicję, chociażby ze strachu o własne życie. Wiem, o czym teraz myślisz. Że opowiadam ci historię zbrodni po raz drugi. Sobie ją opowiadam nie wiem po raz który. Za każdym razem wzbogacona jest o nowe szczegóły. Potrzebny mi jest jeszcze jeden, żeby poprosić Targowskiego o rozmowę, którą nazywamy przesłuchaniem...

Na zakończenie Rogosz poprosił kolegę o numer telefonu Budzyńskiego. Zapisał go w swoim brulionie, który pęczył od notatek. Zwrócił się do Jabłońskiego z prośbą o jeszcze jedną przysługę. Czy może uprzedzić prezesa, że zatelefonuje do niego z Brzozowa może w przyszłym tygodniu? A teraz musi się pośpieszyć i prosi o samochód. Budzyński to równy chłop. Nie trzeba mu chyba przypominać, że kierowca będzie do dyspozycji przedstawiciela Centrali Związków Inwalidzkich...

Rozdział 28

W hotelu przywitano go jak stałego gościa. Wrócił do swojego pokoju, który zatrzymała dla niego recepcja. Obserwując siebie stwierdził, jak w miarę upływu lat coraz bardziej unika zmian. Chętniej niż poprzednio wraca do znajomych kątów. Ale poczuł się młodzieńczo wzruszony, kiedy szedł w kierunku budynku spółdzielni w przewidywaniu, że za kilka minut zobaczy Agnieszkę.

Budziła w nim uczucia, których się już nie spodziewał. Był człowiekiem upartym. Wszyscy tak twierdzili, niektórzy w formie zarzutu. Nie należał do mężczyzn, którzy rezygnują z kobiety, ponieważ jest zameżna i może nie być zaakceptowana przez środowisko zawodowe czy rodzinę. On nie zawahałby się powalczyć o tę śliczną, milczącą kobietę. Jednak nie w tej sytuacji, kiedy tropił jej męża. I dosięgnie go, choćby przyszło stracić mu ostatnią szansę „ułożenia sobie życia”, do czego namawiają go w sposób natrętny wszyscy, łącznie z Jankiem. Taki był chyba cel rozmów o domach prowadzonych ciepłą, kobiecą ręką.

Minął sklep z napisem „Kwiaty”. Był zamknięty.

O tej porze roku trudno było w Brzozowie zarówno o kwiaty, jak i klientów. W „Delikatesach” uszczęśliwiono go bombonierką, którą ekspedientka zgodziła się po dłuższym naleganiu zapakować. Znając już małomiasteczkowe stosunki był przekonany, że panienka wie, dla kogo kupuje słodycze.

Nowicką znalazł w dziale technicznym u inżyniera Szczepańskiego. Ubrana była w wełnianą garsonkę koloru jasnoniebieskiego, która jeszcze bardziej podkreślała jej delikatną urodę. Siedzieli z inżynierem ramię w ramię, co ubodło Rogosza. Niedobrze ze mną- pomyślał. Okazało się, że omawiali plan kwartalny, ponieważ prezes Budzyński zwołał na pojutrze konferencję regionalną w Rzeszowie. Może potrwać i dwa dni. Dla pracowników zawsze to jakiś wyłom w nudzie brzozowskiego bytowania. Przyjął chętnie gościnną herbatę, ale wydało mu się, że Agnieszka jest w stosunku do niego mniej serdeczna niż przed wyjazdem do Rzeszowa. A może bardziej zatroskana?

Szczepański ciągnął przerwany wątek rozmowy. Namawiał mianowicie panią Nowicką do kontynuowania studiów. Ma za sobą dwa lata na UJ. Czy nie byłaby idealnym sędzią dla nieletnich? Jak spojrzy, najtwardszy przestępca skruszeje jak sztufada po bajcu. Szkoda Agnieszki na Brzozów, te uciążliwe wyjazdy, chandryczenie się z inwalidzką klientelą. Jest młoda, za prędko zrezygnowała.

Nowicka poczuła się zażenowana. Nie zamierzała wciągać Rogosza w swoje sprawy, nadto nie znosiła być ośrodkiem, a w tym przypadku tematem rozmowy. Przepraszyła, że musi już wrócić do swojego biurka. Kiedy opuściła pokój, Szczepański zwrócił się do Rogosza:

- Miła kobieta, nieprawda? Wie pan, dlaczego dziś była bez humoru? Mąż odmówił przyjęcia posady w ministerstwie. Trzeci raz już mu proponują. Nie jest to wielki dzwon. Naczelnik w departamencie techniki.

Ale pani Agnieszka z pewnością liczyła, że jej się życie w stolicy ciekawiej ułoży. Ma na względzie przyszłość dziecka. A może zależy jej na kimś w Warszawie? - Spojrzał bez entuzjazmu na Rogosza. - Bo prawdę mówiąc dotychczas nie protestowała, kiedy mąż odrzucał poprzednie propozycje.

Rogosz spytał inżyniera, czym sobie pani Nowicka tłumaczy upartą odmowę męża. Inżynierowi wydawało się, że dyrektor obawia się o swoją samodzielność w dużej, biurokratycznej maszynie. Tu jest panem samego siebie. Chyba że wystrzeli taki redaktor w telewizji. Ale jak często może przyjeżdżać do Brzozowa? Zdarzyło się raz na ćwierć wieku.

Przy sposobności Rogosz dowiedział się, że mąż Agnieszki i u siebie mało kogo przyjmuje. Trzeba mu jedno przyznać. Wyżywa się w pracy. Ma posłuch. Rządzi niepodzielnie załogą... Ale co ona ma z tego? Agnieszka jest kobietą wymagającą ciepła, czułości. Nie mówiąc tego wyraźnie, dał do zrozumienia, że on by tej kobiecie tego rodzaju warunki zapewnił.

Rozmowa przyjęła niepożądany dla Rogosza obrót. Skorzystał z pierwszej okazji, kiedy klient zajrzał do pokoju inżyniera, żeby się ulotnić.

W pokoju Nowickiej zastał dziewczynkę, chyba dziesięcioletnią. Nietrudno było domyślić się, że to córka Agnieszki. Była miła, szczebiotała wesoło, bo niespodziewanie zwolniono ją ze szkoły z powodu dezynfekcji budynku. Nie odziedziczyła po matce ani urody, ani nawet podobieństwa. Jak na złość podobna była raczej do Nowickiego. Ciemna, szczupła, o gęstych brwiach. Ten pozór w zestawieniu z ogólnie znaną rzeczywistością musiał drażnić przyszywanego ojca. Ale jak

Rogosz słyszał, był jednak dobry dla tego dziecka. I to Waldemarowi Targowskiemu trzeba było zapisać na plus. Jeżeli nim był?

Rogosz skorzystał z okazji i wręczył małej bombonierkę. Rozwinęła papier, poczęstowała matkę i obcego pana. Powiedział jakieś konwencjonalne zdanie o zbliżających się świętach.

- A pan? - zapytała ciepło kobieta.

Zostaje sam, z synem. Nietypowe święta. Bez barszczu, uszek z grzybami, makowca.

Zazwyczaj w takich sytuacjach wysłuchiwał ze strony kobiet pełnych ubolewania uwag. Agnieszka zapytała z pewną troską, czy w Warszawie nie ma takiego zwyczaju, że ludzi samotnych zapraszają na wigilię... Po chwili przypomniała sobie, że mąż jej pytał o niego. Proponował, żeby Rogosz ich odwiedził. Była wręcz zdumiona. Zazwyczaj nawet znajomych czy współpracowników rzadko kiedy zaprasza do swojego domu. Co ma powiedzieć Jankowi?

Podziękował. Może zaczekają do powrotu pani Agnieszki z Rzeszowa? Zaświtała mu myśl, że Targowski - nigdy go w myślach inaczej nie nazywał - podejrzewa związek między przedłużającym się pobytem inspekcji z Warszawy a niepożądanym tej inspekcji zainteresowaniem dla jego osoby. A może chodziło o Agnieszkę? Choć swoim zachowaniem nie dawał najmniejszego powodu do niepokoju ze strony Nowickiego. Tak czy inaczej trzeba przyspieszyć realizację przemyślanego planu. I kiedy Nowicka zatelefonowała do sekretariatu, że zwalnia się na godzinę, żeby pójść z małą do dentysty, zwrócił się do niej z następującą prośbą: chodzi mu o spis wszystkich chałupników pracujących dla spółdzielni. Adresy, rodzaje zasiłków, dane personalne. Chciałby już przystąpić do czynności sprawozdawczych.

Prośba była w tej sytuacji jak najbardziej uzasadniona. Otrzymał do wglądu szufladę, zawierającą uporządkowane według spisu alfabetycznego karty personalne członków związku. Było ich razem 364. Każda zawierała dane o

wysokości renty, rodzaju kalectwa, stosunku do pracy. Obraz człowieka, widziany oczyma kierownika kadr.

Agnieszka zbierała się do wyjścia. Pomógł ubrać się dziecku, a później matce. Spotkania rąk, dotknięcie jej kożuszka, podanie rękawiczek miało swój podtekst, a Rogoszowi wydało się, że nigdy podobnych wzruszeń nie doznawał... Pozostał w pokoju sam. Miał przed sobą pilne zadanie: dokonać błyskawicznej eliminacji. Jeżeli da wyniki? Byłby to punkt wyjścia do identyfikacji Waldemara Targowskiego.

W pierwszym rzucie Rogosz wyłączył inwalidów, poszkodowanych w ostatnich piętnastu latach. Pozostało mu 48 kart. Stosunkowo dużo. W następnej z kolei eliminacji pozostawił sobie jedynie dossier pracowników spółdzielni, którzy przed wypadkiem lub chorobą pracowali w tartakach. Po zastanowieniu się dołączył do tych kart inwalidów, zatrudnionych uprzednio przy wyrębie lasu. Wszystkie inne ułożył w kolejności alfabetycznej i włożył z powrotem do szuflady.

Pozostało pięć kart. Pięciu mężczyzn. Trzech z nich otrzymywało rentę inwalidzką od 1960 roku. Dwóch od 1955. Zbliżał się do dat, kiedy to Waldemar Targowski, uciekając przed wymiarem sprawiedliwości i zemstą uczestników napadu, przyjechał w Bieszczady. W życiorysie była mowa o pracy w tartaku. Została podana nawet jego nazwa: „Leśna Przystań”.

Rogosz próbował zaraz po przyjeździe do Rzeszowa sprawdzić wiarygodność tych danych w wojewódzkiej ekspozyturze przemysłu drzewnego. Było to niewykonalne. Nikt nie prowadził statystyki organizowanych i likwidowanych tartaków od powstania Polski Ludowej. A lata pięćdziesiąte w Bieszczadach były jedną wielką prowizorką. Nie słyszano o przedsiębiorstwie, noszącym taką czy podobną nazwę. Jeżeli jednak istniało, pozostałoby przecież ludzie? Nie wszyscy rozpięchli się po różnych zakątkach kraju. Ktoś być może pamięta jeszcze Targowskiego?

Rozumowanie było logiczne, ale jedynie w tym przypadku,

jeżeli dwa zdania w życiorysie, mówiące o pracy w tartaku, nie były kłamstwem. Trzeba było wkalkulować w zaplanowane działania całkowite fiasko. Albo?

Dwaj inwalidzi, którym przyznano renty w 1955 roku, zaliczając je od roku poprzedniego, zainteresowali go w pierwszym rzędzie. Nie zrezygnował jednak ze źródła informacji, jakie mogli stanowić pozostali trzej.

Zgodnie z danymi, zawartymi w karcie personalnej, mieszkali w miejscowościach znajdujących się stosunkowo niedaleko Polańczyka, gdzie mieścił się satelicki zakład spółdzielni inwalidów. Stefan Garbarczyk prowadził swój jednoosobowy warsztat w Ustrzykach Dolnych. Franciszek Flur w Wyżnej. Ale jedno było ciekawe. Obaj zostali poszkodowani na zdrowiu w wypadku, który zdarzył się w dniu 17 lipca 1955 roku. Był to punkt wyjścia.

Rogosz opuścił swój pokój, poszedł do sekretariatu i poprosił o połączenie z prezesem Budzyńskim. Tego rodzaju telefon nie mógł nikogo dziwić.

Prezes został uprzedzony przez Jabłońskiego. Zapytał, czy koledze z Warszawy podobał się Brzozów. Może reflektuje na posadę kierownika spółdzielni? On sam złożył właśnie prośbę o przeniesienie do Rzeszowa. Ma dwoje dzieci w liceum. Młodymi trudno sterować mieszkając wspólnie, a co dopiero zaocznie, z Brzozowa. Rogosz podziękował za ponętą ofertę i pomyślał sobie: kto wie? Blisko Agnieszki. Koniec zrywania się w nocy, strachu, czy czegoś nie przeoczył, nie zapomniał... Powiedział prezesowi, że nad ofertą się zastanowi, a tymczasem prosi o samochód. Na pojutrze!

Budzyńskiemu termin dogadzał. Mają dwudniową niasiadówkę. Wóz jest niepotrzebny. Z Brzozowa przyjeżdżają dwie osoby: inżynier Szczepański i Nowicka.

- Właśnie! - powiedział ni stąd, ni zowąd Rogosz i prezes zrozumiał, że ten ważny inspektor z Komendy Głównej musi odbywać wyjazdy terenowe, w których asysta jest mu całkowicie zbędna. Życzył mu powodzenia i stwierdził, że w Brzozowie niezadługo pewnie wybuchnie bomba. Rogosz - pomyślał - nie wygląda na inspektora, który zajmuje się

tropieniem kieszonkowców.

Kiedy Agnieszka wróciła do pokoju, który wspólnie zajmowali, pracę swoją zakończył. Przekazał jej karty inwalidzkie i ponieważ zbliżał się koniec urzędowania zapytał, czy mógłby odprowadzić ją do domu. Przejdzie się przy sposobności.

Agnieszka wyraziła zgodę, ale wspomniała, że musi jeszcze załatwić zakupy.

- Tym lepiej - wyrwało się Rogoszowi. I pośpiesznie włożył palto, bo kobieta była gotowa do wyjścia.

Jakie to wszystko dziwne! Spacer w podłą pogodę po małym mieście, gdzie człowiek potyka się o kocie łby, a mimo to jest szczęśliwy. I to kto? Człowiek w końcu niemłody, przekonany o tym, że ma z głowy wszystkie miłości, flirty, namiętności. Jeżeli myślał czasem o połączeniu swoich losów z kobietą, widział siebie z Janką - niezawodnym kumplem. Ciągle się wahał, ale wyczuwał, że jego przyjaciele oczekują tego kroku. Bardzo był zresztą do Janki przywiązany. Nie stać go było na inne uczucia. A teraz przeżywał świeże wrażenia, wzruszał się jak uczeń dotykając ręki tej kobiety, sprawiał mu radość jej uśmiech. Niezależnie od beznadziejnej perspektywy dla nich obojga, nie był w tym stopniu pozbawiony wyobraźni, żeby nie docenić tej niespodzianki, którą mu ofiarowało życie. Dzięki niej inaczej o i czuwa słońce i słońce, inaczej przeżywa spacer i cieszy się, że mógł jej oddać przysługę, odbierając z rąk ciężką torbę. Tyle wiedział o sobie. Niewiele o tej kobiecie. Wydawało mu się, że go lubi. Gdyby miał czas, możliwość spotykania się... A przede wszystkim gdyby nie ta sprawa, która stanie między nimi.

Zapytała o plany Rogosza na następne dni. Odpowiedział zgodnie z prawdą, że wyjeżdża na inspekcję do zakładu w Polańczyku. Odwiedzi po drodze kilku indywidualnych producentów. Żałowała, że będzie na konferencji w Rzeszowie. Bardzo lubi okolicę między Soliną a Ustrzykami Dolnymi. Tam właśnie dwadzieścia lat temu pracował jej mąż. Był zwykłym robotnikiem. Jechali kiedyś wielką

obwodnicą we trójkę z Anulką i zboczyli koło Teleśnicy. Pokazywał jej polanę, która była lasem. Powiedział, że ma w tym swój udział.

A więc Targowski nie kłamał w życiorysie Nowickiego. Po cóż mówiłby żonie o pracy w lesie czy w tartaku? Kierunek, który przyjął, jest właściwy. Jeden z chałupników, drwal - teraz mówią robotnik leśny - mieszkał niedaleko Teleśnicy. Mógł się osiedlić w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś uległ wypadkowi. Ktoś go ratował, pomógł w powrocie do życia. Może ożenił się z miejscową dziewczyną?

Przechodzili obok piekarni. Kobieta przeprosiła go, weszła do sklepu. Za chwilę wróciła z pieczywem, które włożyła do drugiej torby i za nic nie chciała jej oddać Rogoszowi. Dostyc ma jednej. Zapytał o Anulę. Okazało się, że zabiera małą do Rzeszowa. Powinna kupić jej coś z ubrania. Wróć w niedzielę. Czy zastanie go w poniedziałek przy wspólnym biurku?

Po dłuższym namyśle odpowiedział, że może już będzie w Warszawie. Gdyby tak się stało, prosi, by czekała na jego list. Jest to niezmiernie ważne. Zrozumie, ale nie dziś. Trochę przeraziła się akcentem niepokoju w jego głosie. Ale umiała nie pytać. Rogosz szedł obok niej milcząco. Już nie myślał o Agnieszce. Podjął nagle decyzję: rozmowa z Targowskim odbędzie się w czasie nieobecności rodziny. Tyle może im zaoszczędzić. Trzeba będzie zajrzeć w końcu na posterunek, zapewnić sobie asystę. Byłaby to ostateczność! Chciał działać ostrożnie, oszczędzić kobiecie wrogiej ciekawości tłumu, sensacji, upokarzającej litości, na którą już niejedną raz w życiu była narażona. Mimo czułości, jaką miał dla Agnieszki, jego niełatwy zawód kazał mu rozumować trzeźwo, rozważnie. Nie kocha męża. Dziecko nie jest jego. Musi się w końcu dowiedzieć prawdy. Lepiej teraz, kiedy jest jeszcze młoda. Może jeszcze urządzić sobie życie. I na myśl o takiej ewentualności odczuł ból prawie fizyczny.

Agnieszka nagle zabrała od niego torbę i pożegnała się. Był przekonany, że uraził ją swoim milczeniem. Chciał przyspieszyć kroku, dogonić kobietę, może powiedzieć jej jakieś słowa istotne, wiążące - choć z pewnością by ich z siebie nie wydusił -

ale zobaczył zatrzymujący się w pobliżu mieszkania Nowickich samochód. Z czarnej, służbowej wołgi wysiadł Nowicki. A więc dlatego tak nagle odeszła! Agnieszka wyszła naprzeciw męża, jakby mając zamiar się przywitać. Ale mężczyzna szedł chmurny, zamyślony w stronę domu. Rogosz zawrócił do hotelu. Po chwili jeszcze się raz obejrzał.

Szli we dwoje, obok siebie, kierując się do małego ogrodu, okalającego jednopiętrową willę. Kobieta uginająca się pod ciężarem zakupów i mężczyzna nie zwracający na nią uwagi, nerwowy, milczący. A może się tylko tak Rogoszowi wydawało...

Rozdział 29

Kiedy następnego dnia wychodził wczesnym rankiem z hotelu, zatrzymał go portier.

- Z Rzeszowa przyjechał samochód. Już kierowca pytał. Dwa razy.

Niebieski fiat zaparkowany był rzeczywiście tuż przed hotelem, a w nim, jak należało się domyślać, kierowca pana prezesa. Rogosz zdjął ciężkie palto i usiadł z tyłu. Torbę z nieodłącznym magnetofonem położył obok i powiedział:

- Jedziemy do waszego zakładu w Polańczyku!

- Tak jest, panie kapitanie! - odpowiedział młody głos i Rogosz zaklął w duchu. Umówił się przecież z Budzyńskim i wydawało mu się, że prezes zrozumiał, o co chodzi.

Szofer od razu wyjaśnił nieporozumienie przedstawiając się:

- Starszy sierżant Karol Bratkowski. Do dyspozycji towarzysza. Ale samochód należy do Związku Inwalidów. Tak, jak pan kapitan sobie życzył. Prezes powiedział, że możemy nim jechać, gdzie chcemy. Mamy delegację „in blanco”. Za benzynę płaci komenda. Nie będziemy rujnować inwalidów.

- Ale kto tak zdecydował... - nie dokończył zdania, ale Bratkowski zrozumiał, że chodzi o jego osobę. Okazało się, że to kapitan Jabłoński. Denerwował się. Dzwonili z Komendy Głównej. Major Zawadka prosił o telefon, jak

tylko towarzysz wróci do Rzeszowa. Jeszcze jest prezent od kapitana.

Nie zatrzymując wozu sięgnął do teczki i wyjął z niej wielką kopertę. Przekazał do tyłu Rogoszowi. Była zalakowana. Rogosz zerwał pieczęć i zapalił światełko wewnętrzne w wozie, żeby obejrzeć portret młodego, ciemnowłosego mężczyzny o „charakternej” twarzy, zuchwałych ustach i bardzo gęstych, ale jeszcze nie krzaczastych brwiach. Młody Waldemar Targowski odtworzony przez grafika z Zakładu Kryminalistyki. Schował portret i powiedział do kierowcy: - Chyba będziemy „zdejmowali” sprawcę.

Starszy sierżant Bratkowski wsunął prawą rękę do wewnętrznej kieszeni na znak, że są jako tako ubezpieczeni.

- Cieszę się, panie kapitanie. Nigdy nie pracowałem z inspektorem Komendy Głównej. Gorący dzień nas czeka!

Rogosz wytłumaczył sierżantowi, że do Polańczyka i jeszcze kilku miejscowości nie jadą, żeby „zdejmować” kogokolwiek. Jeszcze wciąż musi zbierać dodatkowe dowody, które umożliwią to ostateczne spotkanie, na które czeka.

- Jak długo? - zapytał sierżant.

- Dwadzieścia dwa lata - spokojnie odpowiedział Rogosz. I w tym momencie uznał za słuszne i pożyteczne wprowadzić sierżanta Bratkowskiego w sprawę, prowadzoną pod kryptonimem „Konwój”. Miał już teraz pewność, że pod tym hasłem zostanie zachowana w aktach archiwum milicyjnego.

Rozdział 30

W zakładzie, który znajdował się na peryferiach Polańczyka, niebieski fiat zatrzymał się tylko w tym celu, żeby zaznaczyć swoją obecność oraz sprawdzić aktualność danych zawartych w kartach personalnych. Rogoszowi skojarzyło się to przez chwilę z pokojem, w którym pracował z Agnieszką. Ale była to chwila, ponieważ teraz w decydujących godzinach jego pamięć, zgromadzone

doświadczenie, zawodowa sprawność pracowały na rzecz ustalenia jednego szczegółu. Musiał dowieść, że Targowski i dyrektor Jan Nowicki to jedna i ta sama osoba.

Zaplanował tego dnia wizyty u dwóch inwalidów, którzy zatrudnieni byli dwadzieścia lat temu przy wyrębie lasu. Jak należałoby sądzić z dygresji Agnieszki, w tymże lesie, przynajmniej w tej samej okolicy zaczynał kiedyś od zera jej obecny mąż. Gdyby ci dwaj ewentualni świadkowie, trudno ich było nazwać inaczej, zawiedli, pozostawało jeszcze trzech. Ci jednak rokowali mniejszą szansę odtworzenia wydarzeń sprzed lat.

Najbliżej z Polańczyka było do Wyznej.

Pierwszy napotkany mieszkaniec osady wskazał im domek Franciszka Flura, tego, co robi rękawice.

- Czy zastaniemy go o tej porze w domu?

Zapytany szczerze się zdziwił:

- Flur? On nigdy domu nie opuszcza.

Flur był już starym człowiekiem. Kiedy uległ wypadkowi, dobijał czterdziestki. Jego stan zdrowia pozwalał mu wykonywać jedną ręką mechaniczne, powtarzające się czynności: wszywać na maszynie palec, obrębiać flanelowy mankiet, dostosowując rękawicę doksztaltu ręki. Ale umysł miał żywy i pamięć znakomitą. Nie mógł wprawdzie przypomnieć sobie wydarzeń ostatniego tygodnia, myliła mu się kasjerka w związku inwalidzkim z pielęgniarką z Ośrodka Zdrowia, ale dobrze pamiętał tamte dni, kiedy zdrowy i sprawny przywędrował w Bieszczady. Mówili mu, że tu ziemię dają za darmo, a on zaplanował sobie założenie gospodarstwa jak się patrzy. Tymczasem ziemia, to jeszcze nie wszystko. Trzeba było środków, żeby zmusić ją do rodzenia: maszyn, nawozów, pieniędzy. Zmarnował gospodarstwo, musiał iść do pracy w lesie.

- Polityka kredytowa, jeśli chodzi o rolnictwo, była nie taka jak dziś - powiedział z przekonaniem starszy sierżant Bratkowski, który wiedział o tym nie z własnego doświadczenia, był bowiem wówczas małym chłopcem. Ale za to obecnie ucześnie na rozmaite szkolenia, gdzie na ten

temat wykładają.

Bratkowski - młody jeszcze funkcjonariusz - obserwował Rogosza jak praktykant murarski, który podpatruje majstra. Rogosz, stary wyga, wie co robi. Pozwala się wygadać, żeby zdobyć w odpowiednim momencie jedyną, ale ważną dla śledztwa informację.

Chwila taka nadeszła i Rogosz przypomniał staremu tartak pod nazwą „Leśna Przystań”. Czy nie wozili dla tego zakładu drzewa z wyrębu?

Nie! Tartaku o tej nazwie nie pamięta. Były wówczas dwa: jeden koło Hoczowa, drugi niedaleko Teleśnicy. Nazywały się zupełnie inaczej. W Teleśnicy była „Brzozówka”, a w Hoczowie — „Stara Miłosna”. To właśnie przez ten tartak w Hoczowie zdrowie stracił. Miał tam jechać z transportem. Bardzo ich ponaglali. Drzewo go przycięło. Lekarz przyjechał za późno. Nie było nawet drogi na teren wyrębu. Na rękach go nosili do karetki.

Siostra Flura - stara panna, prowadząca gospodarstwo - powiedziała na ucho sierżantowi, że to faktycznie było całkiem inaczej. Brat wypił tego dnia, spał pod drzewem i nie słyszał, że obok zaczęli nowy wyrąb. Drzewa były rosochate, ciężkie. Przywaliło go.

Rogosz zapytał inwalidę, czy pracował z nim robotnik nazwiskiem Targowski. Na imię miał Waldemar. Pochodził z województwa warszawskiego.

Flur nie pamiętał. Powtórzył: Waldemar, Waldek! Nie! Nic mu to imię nie mówiło.

- A Nowicki? Na imię mu było Janek?

Nowickiego znał dobrze. Pracowali razem długi czas. Ale potem nikogo już nie widział. Pokazał na swoje nogi.

Jak wyglądał ten Janek? Może spróbuje sobie przypomnieć?

Nie musi próbować. Pamięta. Był ciemny, raczej średniego wzrostu. Twarz miał dobrą, bo i taki był z charakteru. Nie miał rodziców. Zupełny sierota. Przypominam sobie, że miał jedną nogę trochę krótszą. Może po wypadku?

Nie wiedział nic więcej, a czas naglił. Zbliżało się południe. Wieczorem kręte drogi bieszczadzkie stawały się

niebezpieczne. Rogosz spisał relację dotyczącą Nowickiego, z zaakcentowaniem szczegółów związanych z jego wyglądem. Inwalida podpisał zeznanie imieniem i nazwiskiem. Zapytał, czy to nie chodzi o rentę.

Kapitan odpowiedział z całą powagą.

- Nie! O zbrodnię.

Sierżant Bratkowski próbował wytłumaczyć, że są funkcjonariuszami milicji i prowadzą skomplikowane śledztwo. To oświadczenie sprawiło sierżantowi wyraźną satysfakcję.

Flur i jego siostra uznali, że panowie z miasta dowcipkują sobie i nie chcą im powiedzieć prawdy.

To i nie trzeba - pomyśleli sobie, pozostając sami ze swoim smutnym, ludzkim losem.

- Jedziemy przez Lesko - zdecydował starszy sierżant Bratkowski. - Jest jeszcze bliższa droga, ale kiepska. Za bardzo kapitanowi się śpieszy, żeby szukać w Bieszczadach skróconych dróg.

Wrócili do Leska i zjechali stosunkowo przyzwoitą szosą do Ustrzyk Dolnych.

Stefan Garbarczyk zajmował na peryferiach miasteczka jednopiętrowy domek wraz z żoną i teściami. Był inwalidą znacznie mniej poszkodowanym niż Flur. Miał amputowaną stopę, ale w Konstancinie zrobili mu protezę. Poruszał się swobodnie, a jego zarobek stanowił jedynie skromną część dochodów rodziny, na której utrzymanie składały się zarobki żony i teścia, kucharza w gospodzie turystycznej. Teściowa prowadziła im gospodarstwo. Domek otrzymali jako rekompensatę za swój dom, który pozostawili w Złoczowie. Ustrzyki stawały się coraz modniejsze. Nie mogli się opędzić przed letnikami.

Garbarczyka nie zastali w domu. Wyjechał do sąsiedniej wsi po szynkę. Mieli trochę czasu i dzięki owemu teściowi zjedli w gospodzie turystycznej nie najgorszy obiad za niedrogie pieniądze. Kiedy wrócili, gospodarz był na miejscu, a jego żona bajcowała przywiezioną „ćwiartkę”.

Punktem wyjścia przesłuchania była wizyta poranna u Flurów. Jak się okazało, Garbarczyk znał dobrze historię

wypadku inwalidy z Wyżnej. Podobna była do jego własnej. Zdaniem obecnego rozmówcy siostra tego Flura jest jędzą: - Zęby u niej jak w dziurawym płocie, a język strzępi - powiedział do Rogosza.

A historia tej katastrofy przedstawiała się następująco:

Pracowali w dwóch grupach dla jednego przedsiębiorstwa. Tego dnia załadowali ciężkie bale, las był stary i mieli jechać z transportem do tartaku w Hoczowie. Jak się nazywał? Może i „Stara Miłosna”? Nie pamięta. Jechali wąską drogą, bo szerokich wówczas nie było, i mieli jeszcze doładować drewno z sąsiedniego wyrębu, gdzie Flur właśnie pracował. Ciężarówka była stara, opony zużyte, nikt nie kontrolował stanu technicznego wozów tak, jak dziś. Grzało wtedy lipcowe słońce, rozparzało gumy. Przednia opona pękła. Jechało ich trzech na tych balach, bo mieli pomóc przy załadunku na wyrębie i wyładunku w tartaku. Wóz stracił równowagę, przewrócił się gwałtownie i spadli prosto na wyręb, a za nimi potoczyły się kłody, przywaliły ludzi. Ci, którzy pracowali na wyrębie, zdołali uciec. Ale Flur spał pod drzewem, zmęczony upałem. Obudził się w szpitalu i to po kilku dniach. Spośród nich trzech jeden zginął. Jak z nim jest, wiedzą z karty inwalidzkiej. A ten trzeci zdołał zeskoczyć w drugą stronę, gdzie rósł młody las. Tyle że go krzaki podrapały... Karetką, to prawda! Długo trwało, nim przyjechała. Telefonu w pobliżu nie było, turyści tamtędy nie jeździli. Gdyby lekarz był w pobliżu, być może Janek ocaliłby życie, a może i on sam nie byłby tak poszkodowany. Ten trzeci, któremu szczęście dopisało, wsiadł z nimi do karetki, żeby w razie czego świadczyć. I pojechali do szpitala w Sanoku.

Rogosz dla czystej formalności zapytał, czy pamięta nazwisko chłopca, który zginął.

Pamięta, oczywiście, że pamięta. Jak wypił setkę, zaraz zaczynał się żalić, że jest sierotą, a jak zachorował na chorobę Heinego-Medina, co teraz o tej chorobie ludzie już zapomnieli, nikt go nie ratował i dlatego ma jedną nogę krótszą. To był nawet miły chłopiec ten Janek Nowicki, tyle że do roboty przy

wyrębie nie miał zdrowia.

Rogosz poprosił Garbarczyka, żeby dobrze pomyślał i spróbował mu odpowiedzieć, czy ten trzeci, któremu nic się nie stało, nie nazywał się Waldemar Targowski.

Tego jednak Garbarczyk nie pamiętał. Pracowali razem kilka dni. W szpitalu, jak tylko trafił na salę chorych, stracił go z oczu. Nie pokazał się więcej. Może wrócił do lasu, choć po takim nieszczęściu każdemu odechciałoby się ryzyka.

Rogosz pokazał Garbarczykowi portret młodego Waldemara zrobiony przez grafika. Nic mu nie mówił! Sierżant Bratkowski spojrzął na gospodarza wyrozumiale. Jak po dwudziestu latach rozpoznać przelotnie spotkanego człowieka...

Pisanie protokołu przeciągnęło się, godzina była późna. Gospodarze zapytali, dokąd się jeszcze dziś wybierają. Rogosz zdecydowany był jechać do Sanoka. Dla Bratkowskiego było jasne, że chodzi o szpital, ale zaprotestował przeciwko nocnej jeździe. Kawał drogi, a mgła, że nożem siekać. Garbarcykowie zaproponowali gościnnie nocleg w pokoju przeznaczonym dla letników. Zaraz napalą. Mają jeszcze piece, ale w przyszłym roku, jakby tu zawitali, będzie już centralne. Jak widać, jednym się powodzi, drugim wręcz przeciwnie, a składa się na los ludzki nie tylko wiele okoliczności, ale i prawidłowość życiowych przypadków...

Rozdział 31

Już przy wjeździe do Sanoka było widać biały budynek szpitala. Gałęzie drzew sterczały bezlistne w oczekiwaniu śniegu, który nada krajobrazowi uroku puszystej bieli.

Fiat 125p nie zwracał niczyjej uwagi w roku 1975. Przed szpitalem parkowało sporo samochodów, dwie karetki. Rogosz zabrał ze sobą sierżanta. Spodobał mu się ten młody wywiadowca. Poza tym Bratkowski nie ukrywał podziwu dla starszego kolegi, a to znakomicie poprawia samopoczucie. Szedł za nim jak za panią matką, zadowolony, że bierze udział w nie byle jakim pościgu.

Minęli izbę przyjęć kierując się na pierwsze piętro, prosto do

gabinetu dyrektora.

Szpital był nowoczesny. Korytarze oświetlone jarzeniówkami. Pod ścianą stały wózki dla chorych, salowe roznosiły śniadania do dużych, jasnych pokoi. Sierżant był zachwycony, bo choć lubimy pokrytykować, każdy nauczył się traktować zdobycze w jakimkolwiek zakątku kraju jako swoje własne. Rogosz nie podzielał jego zachwytów. Przeczuwał, że ten nowoczesny wystrój nie ułatwi mu sprawy, która go tu przywiodła. I nie omylił się.

Zameldowali się u dyrektora. Jak było do przewidzenia, nie miał czasu, ale znalazł go, kiedy dowiedział się, kto i skąd. Na szczęście dla siebie, bo doprawdy jest bardzo zajęty, nic im nie może dopomóc. Szpital został wybudowany w ubiegłym roku. Nowy budynek, sprzęt, nowi lekarze, których z trudem ściągnięto nawet z Warszawy, oferując w osiedlu - widać je 7. okna - nie najgorsze mieszkania. Lekarzom proponuje się w Sanoku dwa pokoje w nowoczesnym budownictwie i wcale jakoś nie kwapią się do przyjazdu. Chcą być blisko kliniki, myślą o specjalizacji, karierze. A jak ktoś lubi pieniądze, jedzie na wieś. U nas rolnik, choć ma prawo korzystać z uspołecznionego leczenia, wierzy najbardziej w poradę płatną... Dyrektor, który tak bardzo się spieszył, miał teraz mnóstwo czasu, żeby pogadać o sprawach szpitala. Bratkowski mrugnął do Rogosza. Tracą czas i tyle!

Rogosz zapytał, czy pracuje w szpitalu albo w mieście jakiś lekarz, który pracował w starym szpitalu. Chodzi mu o lata pięćdziesiąte, konkretnie 1955. Oczywiście wie, że to była placówka prowizoryczna. Ale? - Dyrektor zastanowił się chwilę i przypomniał sobie kogoś takiego. To starszy wiekiem lekarz, który zatrudniony jest jeszcze na pół etatu. Ma nawet specjalizację drugiego stopnia, ale woli mieć czas na prywatną praktykę. Wybudował sobie piękny dom w Sanoku. Dlatego stąd nie wyjeżdża. Człowiek pozostaje tam, gdzie stoi jego willa. Chciałby im pomóc, spróbuje zatelefonować do doktora Borowicza, bo tak brzmiało jego nazwisko. Niestety owe pół etatu wypadało tego dnia na godziny popołudniowe. Dyrektor

był coraz bardziej uprzejmy. Ale mogą poprosić Borowicza, żeby wpadł do szpitala. Dyrektor wolałby pewnie być świadkiem rozmowy. Niby to przypadek z 1955 roku, a może skończyć się skargą na jego osobę.

Rzeczywiście niebawem zjawił się doktor Borowicz, zaniepokojony tym, że milicja go szuka.

Powiedzieli, że bardzo im są potrzebne karty chorobowe z poprzedniego szpitala.

Lekarz uspokoił się, że nic do niego nie mają (Kto z nas jest bez winy? Dopiero co kupował na lewo od szoferów benzynę!).

- Dokumentacja z 1955 roku? Jak zbudowano nowy szpital, wyrzucono archiwum na śmietnik. Takie są teraz porządki. Wciąż zaczyna się od nowa.

Rogosz przyznał mu całkowitą rację, prosił jednak, żeby sobie przypomnieli fakt przywiezienia z okolic Teleśnicy trzech rannych robotników. Jeden z nich nie żył albo umarł w czasie transportu, już w karetce. Drugiemu amputowano jedną stopę. Wspominał, że przebywał w tym szpitalu. Trzeci miał uszkodzony kręgosłup, -stracił obie nogi. Przywaleni zostali drzewem, którym załadowana była ciężarówka. Chyba nieczęsto zdarzają się tak ciężkie w swoich skutkach katastrofy?

- Dlaczego nieczęsto? Może teraz, ale nie wtedy. Życie ludzkie miało wyjątkowo niską cenę. Do polskiego Klondike przyjeżdżali rozmaici ludzie i nie znajdowali złota. Element nie był najlepszy, a prymitywni osobnicy, którzy są w dodatku rozgoryczeni, a więc piją, mogą powodować rozmaite kraksy.

Nic jednak o podobnej katastrofie nie słyszał. Może im tylko tyle powiedzieć, że paraplegika, któremu na dodatek trzeba było amputować nogi, nie zatrzymano by w sanockim szpitalu. Co to wtedy było? Trzy sale na krzyż i porodówka. Z pewnością karetka zawiozła go do kliniki wojewódzkiej. Mogli podtrzymać funkcję serca, ale w tym celu nie trzeba było wynosić chorego z karetki. Mniejsze uszkodzenie, owszem. Amputacji stopy może sam dokonywał. Jest chirurgiem, ale nie przypomina sobie. A zmarłych należy szukać na cmentarzu. Cmentarze miewają nieźle prowadzoną dokumentację. Lepszą niż niejeden szpital.

I tu spojrzął niechętnym wzrokiem na swego zwierzchnika. Był po prostu wściekły, że go wyciągnięto z domu. Czuł w tym rękę swojego szefa. Powiedział prowokacyjnie, nie patrząc w jego stronę, że musi wracać do domu. Czekają na niego prywatni pacjenci. Słowo prywatni zaakcentował.

Rogosz teraz rozumiał, dlaczego Flur nie wiedział o śmierci Nowickiego i kalectwie Garbarczyka. Znalazł się w klinice wojewódzkiej sam. Do tego czasu był nieprzytomny. Jedynie Garbarczyk mimo zranienia wiedział o przebiegu katastrofy, zachował wtedy pełną świadomość. Przynajmniej jedna okoliczność została wyjaśniona. Zapytał doktora Borowicza, czy pozwoli odwiedzić się do domu. Przykro im, że go fatygowali.

Przed willą, rzeczywiście niebrydką, Rogosz zatrzymał samochód i wysiadł z niego, żeby się pożegnać. Przy sposobności zadał doświadczonemu chirurgowi jeszcze jedno pytanie.

- Czy po dwudziestu latach, które minęły od śmierci, sekcja może wykazać niewielką deformację nogi, która powstała w następstwie choroby Heinego-Medina?

- Nawet gdyby zgon nastąpił dwadzieścia lat przed naszą erą. A w jaki sposób antropolodzy stwierdzają choroby, na które cierpiał Ramzes II? - Rzucił w inspektora pytaniem raczej retorycznym i zniknął za furtką.

- Zmarłych trzeba szukać na cmentarzu - powiedział Rogosz do sierżanta i Bratkowski zawrócił wóz.

Cmentarz znajdował się na przeciwległym krańcu miasta za ostatnimi domkami, chyba dlatego, by nie przypominać o nieuchronnym epilogu ludzkiego życia. Było tu cicho i grobów nie za wiele. W małych miasteczkach łatwiej jest żyć i mniej kłopotliwie umierać. W Warszawie tak samo trudno jest zdobyć miejsce na cmentarzu, jak i nowe mieszkanie.

Było bardzo cicho, nikt nie pilnował terenu, a dziadka cmentarnego znaleźli u siebie w domku po drugiej stronie uliczki. Drzemał na wyrku razem z wyleniałym kotem. Samotny, stary człowiek, który oswojony był na co dzień ze śmiercią. Nawet ją jakoś polubił. Pogrzeby były urozmaicheniem

i dawały poczucie własnej użyteczności. A bywało, że rodzina nie poskapiła grosza, przynajmniej zapraszała na stypę do niedalekiej gospody.

- Pochowany w 1955 roku? Teraz przychodzą?

Spojrzał chytrze na przybyłych, czy nie sterczy im z kieszeni jakieś szkło. Rogosz poprosił sierżanta, żeby skoczył do „Monopolowego”. Polecenie wydał głośno i dziadek zrozumiał, że ci obcy mężczyźni doceniają jego pracę. Nie ociążając się wyjął z szuflady dziesiątki zeszytów w twardych okładkach. Były ułożone latami, po porządku. Po chwili miał przed sobą rok 1955.

- Jaki miesiąc? - zapytał stary, niczym urzędnik w dziale ewidencji i założył na nos okulary, związane sznurkiem.

- Lipiec. Nazwisko Waldemar Targowski.

Dziadek wolno kartkował zeszyt, oczekując powrotu tego drugiego pana. Czy go czasem nie chcą kiwnąć? Za chwilę jednak ukazał się Bratkowski i wręczył staremu „żytnią”. Staruszek schował butelkę pod koc i zapytał inspektora:

- Targowski? Krewny panów? Grób się zachował. Jakby rodzinie zależało, można by coś postawić, jest tu zakład...

Włożył waciak i poszli razem na cmentarz, brodząc w zeschniętych liściach. Na samym końcu, obok dwóch żołnierskich grobów, uchowała się tabliczka, brązowa od rdzy, pogięta ze starości. Ale można z niej było bez trudności odczytać: „Waldemar Targowski syn Józefa i Pelagii. Urodził się 15 października 1932 roku. Zmarł śmiercią tragiczną 17 lipca 1955”. I niczym wykrzyknik krzyżyk, z którego pozostała tylko dolna część.

Rogosz wyciągnął tabliczkę, otrząsnął z ziemi, włożył do teczki. Stary nic nie rozumiał. Wrócili do małego domku i kapitan poprosił dziadka, żeby otworzył zeszyt na stronie, na której było nazwisko zmarłego.

I tu stary zaprotestował. Nie pozwoli sobie zabrać tych dokumentów. Od razu wydali mu się podejrzani. Odpowiada za dokumenty. Jest na państwowej posiadzie. Dwa lata mu brakuje do emerytury.

Rogosz zapewnił go, że nic mu nie zagraża. Wyjął z torby

aparatu fotograficznego, błysnął fleszem. Karta ewidencyjna z nazwiskiem Targowskiego została utrwalona jako dowód rzeczowy, który w dalszym etapie trafi na stół sędziowski. Na wszelki wypadek powtórzył jeszcze kilka razy zdjęcie. Powiedział do Bratkowskiego, że można by właściwie ekshumować zwłoki dla stwierdzenia defektu nogi. Zdecydują w Warszawie.

Stary posmutniał. Widać jakaś urzędowa wizyta, może z milicji? Liczył, że sobie razem chlusną. A już zupełnie stuknięty wydał mu się ten starszy facet, kiedy wręczył mu na pożegnanie sto złotych i kazał zamówić nową tabliczkę na miejsce przez niego zabranej. Żadnych kantów! Przyjedzie i sam sprawdzi. Trzeba na tej nowej tablicy wymalować... I napisał na kartce: „Jan Nowicki. Z matki Marii, ojca Henryka. Urodzony w 1935 roku. Zmarł tragicznie na posterunku pracy”. Sam nie wiedział, dlaczego dodał na końcu - nie mając zresztą żadnej pewności, czy dziadek stowy nie przepije - „Niech mu ziemia lekka będzie!”

Powiedział do Bratkowskiego:

- Jak najszybciej do Brzozowa. Dłużej nie mamy powodu zwlekać. - Zależało mu na tym, żeby rozmowa i zabranie Targowskiego z domu odbyło się przed powrotem Agnieszki z Rzeszowa. Pierwszy raz od dwóch dni o niej pomyślał...

Rozdział 32

Zdecydował się wstąpić na posterunek. Należy obstarwić dom Targowskiego. Teraz już nie wolno było popełnić najmniejszej omyłki.

Bratkowski ułatwił mu zadanie. Był w kontakcie z komendantem posterunku. Wprawdzie nieczęsto, bo też nieczęsto sprawa Brzozowa trafiała do Komendy Wojewódzkiej. Małe żuliki grasują w okolicy, ale nie o tej porze roku. Czekają na letników. Większego przestępstwa nie notowali w Brzozowie od wielu lat.

Sierżant przedstawił Rogosza młodemu komendantowi posterunku, który przypadki kryminalne lat pięćdziesiątych

znał jedynie z literatury. Ścięła go z nóg wiadomość o decyzji zatrzymania Nowickiego. Świat się wali... Jeżeli tacy ludzie... Wezwał do siebie dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Okazało się, że musi zmienić dyspozycje, bo jeden właśnie zaczynał dyżur, drugi go kończył. Wszyscy czterej wyszli więc z gabinetu, pozostawiając w nim Rogosza, który musiał odbyć pilną rozmowę z Rzeszowem. Dłuższą chwilę trwało poszukiwanie Jabłońskiego, wreszcie podniósł słuchawkę.

- Co się dzieje? Warszawa cię szuka. Pytali o Brzozów. Chyba się wybierają. Czy ty coś z tego rozumiesz?

- Teraz nie pytaj - powiedział Rogosz. - Słuchaj uważnie. Nie mogę zwlekać. Za dziesięć minut „zdejmuję” Targowskiego. Mam wszystkie dowody w ręku. Uprzedź Budzyńskiego, że wóz odeślę jutro, z Warszawy. Przywiezie go Bratkowski. A teraz prośba, całkowicie prywatna. Kobieta, wiesz, o którą mi chodzi, jest u Budzyńskiego na konferencji. Wymyśl coś, żeby nie śpieszyła się z powrotem do Brzozowa. Rozumiemy się?

Oczekiwało go »potkanie, na które tyle lat czekał, a czuł jedynie ogromne zmęczenie i chęć jak najszybszego przekazania komu trzeba sprawy, zebranych pracownic dowodów, zeznań i protokołów. Na zawsze skończyć ze sprawą „Konwoju”. Jeszcze tylko jeden wieczór. Zajmie się domem, Jankiem. Weźmie urlop.

Bratkowski zajrzał do gabinetu.

- Jesteśmy gotowi!

Postanowili wspólnie, że sierżant z Wojewódzkiej będzie czekał w samochodzie, przed domem Nowickiego. Do mieszkania wejdzie Rogosz. Zabierze podejrzanego. Rogosza będą asekurować dwaj funkcjonariusze, którzy pilnują okien. Wyjście jest jedno. Tędy wyjdzie kapitan ze sprawcą, który jest wciąż tylko podejrzanym. Wolno im powziąć decyzję na okres 48 godzin. Do tego czasu prokurator wyda postanowienie. Śledztwo dopiero się rozpoczyna, a nie kończy. Kiedy więc Rogosz z Nowickim wyjdą, kierując się do furtki, Bratkowski powinien zapuścić silnik. Drzwi od samochodu mają być otwarte. Siądą z tyłu. I z miejsca ruszą na szosę w kierunku

Warszawy. Bez sensacji! Bez szumu.

Krótką odprawą została zakończona. Rogosz postanowił iść pieszo. Zanim dojdzie, dom zostanie otoczony.

Na ulicach było bardzo cicho, spokojnie. Nuda wiała z wszystkich kątów. Wóz zaprzęgnięty w lyse chabety terkotał po wyboistej jezdni. Wyobraził sobie, co się będzie działo w miasteczku następnego dnia. Odsuwał od siebie myśl o Agnieszce. Nie teraz! Trzeba było pozbyć się balastu. Jeszcze kilka godzin, dzień. Nie zgodzi się na dalsze uczestniczenie w śledztwie! .

Nacisnął dzwonek. Drzwi otworzył ciemnowłosa mężczyzna, którego twarzy nauczył się już na pamięć. Oglądał ją tyle razy na zdjęciu i w kadrze filmu telewizyjnego. Wypowiedział możliwie obojętnym głosem formułę, którą przyszło mu powtarzać nie po raz pierwszy.

- Kapitan Rogosz z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Zmuszony jestem zawieźć pana do Warszawy dla wyjaśnienia pewnych szczegółów związanych z pańską osobą, Waldemarze Targowski.

Gospodarz nie wydał się zaskoczony, nie zdziwił się, nie zachnął, kiedy Rogosz wymienił jego prawdziwe nazwisko. Powiedział, że oczekiwał tej wizyty, wiedział, że po niego przyjdą. Nie mógł już dłużej czekać. Każdej nocy sądził, że ktoś zadzwoni. I wiedział, że to będzie Rogosz. Ta historia z kontrolą... Jest przygotowany do wyjazdu. Prosi jedynie o godzinę, kwadrans rozmowy. Jak mężczyzna z mężczyzną.

- A Markowski... Wrzos... Staroń nie prosili o życie?

To nie on zabił Markowskiego. Musi się wytłumaczyć. Podszedł do biurka. Rogoszowi przemknęła przez głowę myśl, czy nie postąpił lekkomyślnie przychodząc tu sam. Ale Targowski osunął się na fotel, znieruchomiał, czekał.

Należało go wysłuchać. Zeznania złożone w pierwszej chwili po zatrzymaniu mogą mieć decydujące znaczenie dla dochodzenia. Rogosz usiadł naprzeciw, przysunął do siebie swoją magiczną torbę.

- Proszę się nie krępować - powiedział Targowski. - Niech pan położy magnetofon na stole. Odpowiadam za moje

słowa. I wiem, że pan się spieszy. Nocna jazda i te furmanki nie oświetlone...

Wie dobrze, dlaczego kapitan wybrał taką porę. Chodzi o Agnieszkę. I tak nie będzie mogła pozostać w Brzozowie. Drugi cios w jej życiu. Jak go przetrzyma... Ma mówić do rzeczy? Za chwilę. Chodzi o Markowskiego. Nie zabił go, chociaż był tam, widział, jak Wrzos wchodził na podwórze. To Markowski ostrzegł go przed szantażystą. Telefonował do niego, powiedział, czego od niego żądają. Nie chciał cudzego nieszczęścia. Dlaczego miałyby zabijać swojego sojusznika? Chciał mu wytłumaczyć tę sprawę z pieniędzmi. Nie widział z nich grosza. Ktoś je ukradł. Kapitan zapewne nie rozumie. Tyle razy przemyśliwał tę rozmowę, powtarzał ją sobie w czasie bezsennych nocy... Kiedy zobaczył, że Wrzos opuszcza aptekę, zapukał. Nikt się nie odzywał, ale drzwi były otwarte. Broniek leżał martwy. I ta krwawa pręga na szyi... To on zabrał kłębek, żeby mieć w razie czego dowód przeciwko szantażyście. Żył spokojnie dwadzieścia dwa lata. Był bardzo ostrożny. Pracował jak koń, ale wciąż pamiętał, że ta sprawa pieniędzy stoi między nimi. I czyn popełniony przez Staronia. Nie chciał sypać kolegi. Ukrywał się. Matki nie widywał. Nie wie, czy żyje. Powoi i zapomniał, kim był. Przyzwyczyił się do nowego nazwiska. Zaczął nowe życie.

Kiedy przyjechali ci redaktorzy z telewizji, bronił się, powiedział, że nie weźmie udziału, nie lubi reklamy. Naczelnik jednak nalegał, a on był dyrektorem zjednoczenia. Minęło tyle lat... Tej samej nocy zatelefonował Wrzos. Ze go tak szybko znalazł. Przypomniawszy, że mają między sobą rozliczenia, żeby przygotował pieniądze, które jest im winien. Kapitan z pewnością nie rozumie. Musi wrócić do historii sprzed wielu lat.

Rogosz wyjął z teczki tabliczkę, zabraną z cmentarza sanockiego i położył ją bez słowa na stole. Mężczyzna spojrzał na Rogosza z podziwem.

- Jak pan się dokopał do tamtej sprawy? Tym lepiej! Oszczędzimy sobie wiele czasu, wcześniej będzie pan w Warszawie... Jak to było dalej? Wrzos powiedział, że

występuje w imieniu ich trzech. Nie chciałem wierzyć. Następnego dnia byłem u Markowskiego. Zadzwoiłem do apteki. Umówiliśmy się po południu, w kawiarni przy rynku. Przysiągłem, że nie widziałem tych pieniędzy. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale powiedział, że go żadna rewindykacja nie interesuje. Wystarczy mu to, co ma. Czytał kiedyś chyba wzmiankę o pieniądzach znalezionych przez milicję, ale nie skojarzył tej wiadomości z napadem na konwój. Wówczas zresztą nie bardzo wiedział, co chcemy zrobić. Markowski myślał, że ma poprowadzić jakiś wóz ze szmuglem. Uspokoił mnie, że wie i zaświadczy, kto zabił milicjanta. To od Markowskiego dowiedziałem się, że Staroń zrobił karierę w handlu zagranicznym. Jest w dobrych stosunkach z Wrzosem, więc na tamtego nie można liczyć... Powinienem był zaraz wyjechać z Oleśnicy. Ale bałem się, że Wrzos zastraszy Bronka. Od Markowskiego dowiedziałem się, że tamten jest w drodze. Postanowiłem zaczekać.

Targowski pętał się po rynku, aż dziwne, że go nie zauważyli. Omal nie speszyła go jakaś dziewczyna, która kręciła się dłuższy czas przed oknem, jakby podsłuchiwała. W tym momencie usłyszał dwa męskie głosy i zrozumiał, że Wrzos rozmawia z Markowskim. Namawiał Bronka, żeby wziął udział w szantażu. Jeżeli nie zostanie dokonany sprawiedliwy podział pieniędzy, mają zgodnie zeznać, że Targowski zabił milicjanta, kiedy napadli na konwój bankowy. Broniek zapytał, dlaczego przyjechał sam, bez Staronia, skoro to samo sądzą. Dopiero z odpowiedzi Wrzosa dowiedział się, że Staroń pracuje w „Chemaroxie” i przebywa w Libanie. Działa w jego imieniu, za jego zgodą. Broniek wciąż jednak odmawiał i żądał, żeby go pozostawili w spokoju. Wtedy Wrzos powiedział, że pójdzie do jego żony. Może ona go przekona. Markowski strasznie się zdenewrował, zagroził, że jakby przyszło co do czego, powie milicji, kto jest prawdziwym mordercą... Targowski usłyszawszy krzyki, przestraszył się i uciekł na drugą stronę ulicy. Usiadł na ławce, żeby sobie to wszystko ułożyć w głowie i zastanowić się nad tym, co mówił Wrzos. Chodziło mu o pieniądze. Więzienia

Wrzos się nie bał. A gdyby we trzech nacisnęli, liczył, że bogaty dyrektor Nowicki wyciągnie ukryte pieniądze, które może zmienił na złoto. Znacznie później, za późno wytłumaczył sobie postępowanie Staronia. Ten był zawsze chciwy, za nic nie zrezygnowałby z szansy odebrania pieniędzy, ale obawiał się być wmieszany w awanturę. I kiedy siedział na tej ławce, oświeciła go myśl, że nic im w gruncie rzeczy nic może grozić, jeżeli będą się trzymać solidarnie z Markowskim. Postanowił wrócić do apteki... Minał może kwadrans, nie więcej. Dziewczyna, która wydawała mu się podejrzana, zniknęła. Na zapleczu wciąż się świeciło. Wszedł i wtedy zobaczył...

- Mielіśmy ślady linii papilarnych Staronia, które świadczyły o tym, że był sprawcą zabójstwa milicjanta - zauważył Rogosz i sięgnął do teczki.

- Znowu jakiś dowód? - zapytał Targowski. - Nie traktuję tej rozmowy jako przesłuchania. Chciałem być wysłuchany. To już niedługo, panie kapitanie...

Wrócił do Brzozowa z nadzieją, że może Wrzos wystraszył się swego czynu i zrezygnuje z szantażu. Przychodziły mu różne myśli do głowy. Ucieczka, zmiana nazwiska. Majaczenia zrodzone ze strachu. W roku 1975 Polska przestała być dżunglą, w której łatwo się ukryć, jak to było kiedyś, w latach powojennych... Wtedy Wrzos zatelefonował. Nawet nie do domu, wprost do sekretariatu zjednoczenia. Ma przyjechać do Nowego Targu! Natychmiast. Jeżeli nie...

- Pojechałem! Powiedziałem mu, że wiem o Markowskim. Co więcej, mam kłębek, od którego odciął sznur, służący jako narzędzie zbrodni... Wrzos zachichotał. Twierdził, że nikt mi nie uwierzy. Nie jest frajerem, żeby pozostawiać swoją wizytówkę w aptece Markowskiego. Żadnego śladu po nim nie znajdują. I żebym nie liczył na to, że pozostawią mnie w spokoju. Jak tylko Staroń wróci, złożą doniesienie. Prowokował mnie i wyśmiewał eleganckie maniery, piękną zoneczkę, która mi dała w posagu bękarta... Dlaczego to zrobiłem? Nie dałby mi żyć. Chwyciłem za gardło. Powiesiłem, żeby upozorować samobójstwo. A kłębek zostawiłem. Był mi już niepotrzebny...

Kiedy wrócił do Brzozowa, wykąpał się, zjadł śniadanie jak co dzień. W drodze do biura, słuchając relacji swojego kierowcy o pogodzie, rozumiał, że będzie musiał rozmówić się ze Staroniem. Powie mu, że Wrzos wykończył Markowskiego, a później siebie. Może uda się zawrzeć rozejm. Powodziło im się obydwu nieźle, mogli żyć dalej w spokoju... Zatelefonował do „Chemaroxu” i dowiedział się, kiedy Staroń wraca z Bejrutu.

Czekał na lotnisku, żeby zobaczyć, jak wygląda, czy zmienił się przez te dwadzieścia dwa lata...

- Wtedy, na tym dworcu, widziałem pana, kapitanie. Czekał pan także na galerii, niedaleko mnie. I był pan napięty, jak i ja. Nie wiedziałem tylko dlaczego. Dopiero kiedy spotkałem pana jako inspektora kontroli w towarzystwie mojej żony, zrozumiałem, kto po mnie przyjdzie. To dlatego był pan dla Agnieszki taki uprzejmy. A ta głupia, niedoświadczona, obawiam się, że zadurzyła się w przystojnym warszawiaku... Zdrowo musiała mnie sypnąć. Odwdzięczyła się. Nie wiedziała, biedaczka, z k m sypia...

- A Staroń? - zapytał Rogosz, ponieważ nie był w stanie wysłuchiwać tej części spowiedzi, która dotyczyła Agnieszki.

Ze Staroniem rozmawiał. Tam, w łazience. Michał chciał wyjść z wanny, włożyć szlafrok. Nalegał, żeby się spokojnie wykąpał. Zaczeka. Ale Staroń bał się zostać w wannie. Nie wytarł się nawet, tylko narzucił szlafrok kąpielowy. Zapewniał go raz po raz, że nie chce od niego ani grosza. Wtedy zrozumiał beznadziejność nowej sytuacji. Michał musiał podejrzewać, że coś się stało z Wrzosem. Albo był z nim umówiony na lotnisku? Kilka razy pytał o kogoś w okienku informacyjnym. Następnego dnia zatelefonuje do Nowego Targu, do Oleśnicy. Będzie przekonany, że to on zabił Markowskiego i Wrzosa. Zadenuncjuje go ze strachu o własne bezpieczeństwo. Znalazł się więc w sytuacji bez wyjścia. Musiał zabić! Chciał przecież tylko zachować swój dom i stanowisko, na które sobie zapracował. Pragnął, żeby to dziecko, które kochał jak własne, było dumne z ojca...

Rogosz czuł się coraz bardziej zmęczony. Cały jego triumf, zakończenie operacji zgodnie z realizowanym przez tyle lat planem, wydał mu się bezsensowny wobec tej potwornej logiki. Włożył magnetofon do torby, powoli, systematycznie chował notatki. Powiedział głosem beznamiętnym:

- Trzeba jechać. Samochód czeka przed domem. Jak codziennie, panie dyrektorze.

Targowski wstał posłusznie z miejsca i zapytał, czy mógłby zabrać ze sobą parę drobiazgów. Rogosz zgodził się. Nie miał powodu do obaw. Dom był dobrze strzeżony. Zresztą dokąd miałyby dyrektor Nowicki uciekać? Nie ma już odwrotu. A może brak mu sił, a nawet chęci, żeby zadekować się przy wyrębie lasu, w zacisznym, dalekim od szosy tartaku.

Targowski przeszedł do drugiego pokoju, chwilę się krzątał, czegoś szukał i kiedy Rogosz zdecydował się go przynaglić, usłyszał suchy odgłos strzału. Wbiegł zaniepokojony, jeszcze nie uświadamiając sobie tego, co się stało. Targowski leżał na podłodze. Z nieruchomej ręki wypadł mu pistolet. Nie musiał sprawdzać oznakowania, ani modelu. Łuska, wyrzucona z tej broni, leżała zabezpieczona w aktach archiwum Komendy Głównej... Ktoś zadzwonił gwałtownie do drzwi. Wszedł Bratkowski. Za nim dwaj funkcjonariusze milicji. Zaniepokojeni odgłosem strzału biegli mu na pomoc. Pytania cisnęły im się na usta. Milczenie Rogosza było odpowiedzią.

Trzeba było zapanować nad nową sytuacją. Wydał dyspozycje Bratkowskiemu. Niech zatrzyma samochód i przewiezie denata do Rzeszowa na sekcję. On sam jedzie jeszcze dzisiaj do Warszawy. Zwrócił się do miejscowych funkcjonariuszy:

- Starajcie się, żeby wokół tej sprawy było jak najmniej sensacji. - Wiedział, że nie ma takiej siły, żeby jej uniknąć...

Rozdział 33

Następnego dnia rano był w Warszawie. Janek poszedł już do szkoły. Rogosz zdążył jeszcze wziąć prysznic i w autobusie 144

jak zwykle spotkał kapitana Andrzeja Jankowskiego. Kolega przywitał go przyjaźnie i zakomunikował mu ważną wiadomość: przed świętami pokazały się na rynku w dużych ilościach mandarynki, banany i pomarańcze. Mają znajomą ekspedientkę. Zdziwił się, że rzadziej teraz spotyka Rogosza w autobusie...

Rogosz wszedł od razu do majora. Nie odpowiedział na pytające spojrzenie Janki. W gabinecie zastał Kopcia. Nie wychodzi ostatnio od szefa - pomyślał z pewną niechęcią. Ale Roman przywitał go serdecznie, prawie wylewnie.

Mają ślad i to nie jeden. Na skutek pracochłonnej eliminacji znaleźli w centrali telefonicznej hotelu „Cracovia” numer telefonu, który kilkakrotnie zamawiał facet, rozpoznany przez pracownika recepcji jako amant Solarzówny. Ten sam recepcjonista zwrócił uwagę na jakby groźby czy wymyślenia, które w czasie jednej z tych rozmów dochodziły z kabiny. Ponadto udało im się ustalić dwa ślady linii papilarnych. Jeden na brzegu wanny w mieszkaniu Staronia, a drugi zdjęty z belki na stryszku, u Jędralowej. Niestety ślady tych linii wprawdzie korespondują ze sobą, ale nie odpowiadają żadnym utrwalonym w centralnej kartotece, która przecież zachowuje „pamiętkę” nie tylko po ludziach skazanych, ale i podejrzanych. A więc ten sam sprawca w obydwu przypadkach, nie znany dotychczas milicji. Najważniejsze zadanie to zbadanie śladów tego Nowickiego. Dziś jeszcze wywiadowca z ekipy, która prowadzi sprawę pod kryptonimem „Apteka”, wyjeżdża do Brzozowa. Po drodze wstąpi do Jabłońskiego.

- Nie trzeba już jechać do Brzozowa - powiedział Rogosz. I pomyślał, jakie to wszystko w życiu jest bez sensu. Mieliby go tutaj za kilka dni żywego. Znowu niefart! Do czego się dotknie. Ale gdzieś w głębi tliła się nadzieja, rozbudzona przez nowe uczucie, o którym nie chciał teraz myśleć.

Położył na biurku majora stary pistolet, symbol 1945-710 i zwrócił się do szefa:

- Pomyśl! Tyle lat szukałem tej broni. Morderca sam mi ją oddał. - Wyjął z teczki portret odmłodzonego sprawcy.

Powiedział do Kopcia: - Jego matka nazywa się Pelagia Targowska. Mieszka w Orzechowie, koło Zegrza. Rozpozna syna. Miał na imię Waldemar. Powiedzcie jej, że zaginiony dwadzieścia dwa lata temu syn nie żyje !...

P.S. Fakty, zdarzenia, rozmowy w historii „Słowo inspektora” są całkowicie fikcyjne. Nazwiska osób, występujących w tej opowieści, są zmyślane. Centrala „Chemarox” nie pracuje dla handlu zagranicznego. Akta zmarłych przechowuje skrupulatnie kościelny, a nie dziadek cmentarny, a tartaki w latach pięćdziesiątych nie nosiły dźwięcznych nazw, tylko numery...



- Czy po dwudziestu latach, które minęły od śmierci, sekcja może wykazać niewielką deformację nogi...

- Nawet gdyby zgon nastąpił dwadzieścia lat przed naszą erą. A w jaki sposób antropolodzy stwierdzają choroby, na które cierpiał Ramzes II?

- Nie trzeba już jechać do Brzezowa - powiedział Rogosz. I pomyślał, jakie to wszystko w życiu jest bez sensu. Mieliby go tutaj za kilka dni żywego. Znowu niełatwo! Do czego się dotknie...

Położył na biurku majora stary pistolet, symbol (045-710) i zwrócił się do szefa:

- Pomyśl! Tyle lat szukałem tej broni! Morderca sam mi ją oddał.

Cena zł 36,-

ISBN 83-207-0071-X

ISKRY

lesiojot